



PANNA FELICYA.

25 1.50
11

W BIBLIOTECE POWIEŚCI

podróży, pamiętników i opowiadań historycznych

wydawanej nakładem

KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

wyszły następujące dzieła:

- Ainsworth W., Crichton. 2 tomy.
 Bersezio W., Rina, romans włoski.
 Berthoud, Poświęcenie kobiety.
 Brackel F., Nora.
 Bulwer L., Rienzi, ostatni trybun rzymski.
 Bronikowski A. Powieści historyczne:
 Kazimierz Wielki i Estera. Moina.
 — Jan III. Sobieski i dwór jego. 2 t.
 Caballero, Klemencya, pow. hiszp.
 Carcano J., Angiola Marya.
 Carlen F., Rok zampęcia.
 — Kapryśna kobieta. 3 t.
 — Bracia mleczni. 2 t.
 — Róża z Tistelenu. 2 t.
 Collins W., O zmroku.
 — Panna czy pani?
 Conscience H., Tallzman.
 Cooper J. F., Ostatni Mohikanin. 2 t.
 — Pionierowie nad źródłami Suskehenny. 2 t.
 Dickens, Klub Pickwicka.
 Ebers G. Dr., Córka króla egipskiego.
 — Serapis. Romans histor. 2 tomy.
 Edwards A. B. Tysiąc mil na falach Nilu. 2 t.
 Enault K., Przeznaczenie.
 Feliński X., Paulina, córka Ewy Felińskiej.
 Feuillet O., Historia Paryżanki.
 Gerstäcker F. Regulatorzy z Arkanzas.
 Goeranyons K., Synowie Barona.
 Gryzoń, Wojewodzie. 2 tomy.
 Hacklaender F., Burzyk, powieść z nad jeziora.
 Z hr. Losiów baronowa M. Hagen. Z życia. Nowele.
 Horain. Z życia poety. Wspomnienia o Władysławie Syrokomli.
 J. Antoni Dr. ks. S. Chołoniewski Opis podróży kijowskiej.
 James H., Amerykanin. 2 tomy.
 Jokaj M. Nowy dziedzic. 2 tomy.
 — Serce kamienne. 3 tomy.
 — Powieści pomniejszych.
 — Błęka lwoczańska. 2 tomy.
 — Biedni bogacze 2 tomy.
 Kalinka ks. Jenerał Dezydery Chtąpowski.
 Kraszewski J. I., Na omentarzu, na wulkanie.
 — Pan z Panów.
 — Złoto i Błoto, powieść 3 tomy.
 Książniczka z Minsterbergu, powieść hist. z XIV wieku.
 Listy Jana III. króla polskiego do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń r. 1688.
 Niemcewicz J. N., Jan z Tenczyna.
 Pieńkowski K., Powieści.
 Przyborowski W., Rubin Wezyrski.
 Reade K., Kto chce kochać, cierpieć musi.
 Reade C. i Boucicault D., Skazaniec.
 Ridderstadt C. F., Czarna ręka.
 Sarnecki Zyg., Złote serce, powieść. 3 tomy.
 Sas B., Mozaika. 2 tomy.
 Sas Paweł, Pamiętnik znaleziony. 2 tomy w jednym.
 Sawicki, Podróż po Hiszpanii.
 Schwartz Z. N., Namietności.
 — Bratowe.
 — Dwaj bracia.
 — Dwie matki.
 — Na rozstajnych drogach.
 — Ofiara zemsty.
 — Przygody mojego życa.
 — Przyszłość Gertrudy.
 — Wdowa i jej dzieci.
 Sędzimir, Książniczka z gminu.
 Smith F. J., Bolesć i radość.
 — Straszna gospoda.
 Stanley H., Jak odszukałem Livingstona.
 Stinde, Rodzina Buchholców. 2 tomy.
 Sufczyński K. (Bodzałowicz), Opowiadania historyczne.
 — Rodzina Konfederatów. Starosta Warecki. Marzałek łomżyński.
 Szumski T., Zmierzczy i święty.
 Tarnowski Wł. Archiwum Wróblewskie.
 Tatmir L., Ferye alpejskie.
 Tretiak J., Pamiętnik Daniela.
 Wetherell F., Szeroki świat.
 Wilczyński A., Opiekunowie wdowca.
 — Kłopoty starego komendanta.
 — Nowe fotografie społeczne. 2 tomy.
 Wilkońska L. Powołanie.
 Wilkońska P., Na dwóch krańcach.
 Wiśniewski S., Powieści.
 Wybicki, Pamiętniki.
 Yonge, Dziedzic z Redclyffe. 2 tomy.
 Zacharjasiewicz J., Teorya pana Filipa.
 — Jedna krew.
 — Pomyłka serca.

PANNA FELICYA.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ.

(MORZKOWSKA).

WYDANIE DRUGIE.



INSTITUT
KSIĄŻEK PAŃ

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-340, Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

L W O W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1894.



2164

Kraków.— Druk Wł. L. Anczyca i Sp., pod zarz. J. Gadowskiego.

Panna Felicya robiła rachunek z kucharką.

Na stoliku o wytartej politurze stała mała lampka z zielonym daszkiem, a słabe jej światło padało na rejestr, zszyty z bibulastego papieru, w którym skrupulatnie zapisywane były domowe wydatki.

Przed panną Felicyą stała służąca, krępa, niezbyt młoda, o grubych rysach, tak zwana służąca do wszystkiego i podawała kupione dnia tego przedmioty.

— Dwa funty mięsa...

— Dwa funty — powtórzyła niespokojnie panna Felicya — dlaczegoż tyle? Mówiłam, żebyś wzięła półtora...

— Rzeźnik nie chciał odciąć, zostawiłam kości na jutro — odparła opryskliwie służąca.

A potem mówiła dalej:

— Dwa funty mięsa; dwa złote groszy sześć...

— Dwa złote groszy sześć?... Wczoraj był funt po złotemu...

— Dzisiaj zdrożało — odparła zagadniona — ledwo i tak dostałam. Pierwszą krzyżową zapłaciła służąca z przeciwka po złotemu groszy sześć...

Panna Felicya pochyliła głowę niżej nad rejestrem i można było widzieć dwa grube fałdy, rysujące się na jej czole.

— Pół garnca kartofli — podawała dalej służąca — 12 groszy.

— Przeszłego tygodnia były po 10 groszy, Zosiu! — zawołała Panna Felicya.

— Zdrożały... powiadają, że będą jeszcze dwa razy tyle kosztować. Chleb także zdrożał o grosz na funcie...

Panna Felicya odetchnęła głęboko, a oddech ten dziwnie podobnym był do westchnienia i pisała dalej.

— Śmietanka dla starszej pani i pana Adolfa dwadzieścia groszy — ciągnęła Zosia.

Tym razem panna Felicya nic nie powiedziała o cenie, zauważyła tylko, że śmietanka nie była dość dobrą i że lepiej było nawet drożej zapłacić, bo pan Adolf skarżył się, że mu kawa nie smakowała.

Służąca wyliczyła dalej skromne zakupy dnia. Cały wydatek nie przenosił siedmiu złotych, przecież cyfra ta wřdocznie przeraziła pannę Felicyę, która długi czas jeszcze pochyłona nad rachunkiem, sumowała coś, przewracała rejestr, zagłądała do kart dawno zapisanych i zatopiła się cała w tem zajęciu, które widać przedstawiało dla niej niezmierny interes; tylko fałdy na jej czole były coraz grubsze, a usta, powtarzające machinalnie cyfry, drgały nieznacznie.

Potem podniosła głowę, a błysk lampy, który dotąd padał tylko na jasną, gładko uczesaną głowę, teraz twarz jej oświecił w pełni.

Twarz ta, choć młoda jeszcze, piękną nie była; miała jakieś pospolite piętno, które czyniło ją podobną do wielu innych. Rysy były niezbyt kształtne, mięsisty nos spuszczał się nad szerokimi ustami, zaczerwieniony zimnem, panującym w pokoju. Wargi jej były rumiane, szczere,

świadczyły o bezwiednem może istnieniu zmysłowych pierwiastków i sprzeczały się z niewinnym wyrazem oczów. Usta te byłyby kształtne, gdyby nie to, że za każdym słowem lub uśmiechem, który co prawda rzadko bardzo na nich gościł, widać było zęby naprzód wysunięte i kły wystające jak u buldoga.

Nie można było jednak powiedzieć, by panna Felicya miała charakterystyczne podobieństwo z tem zwierzęciem, bo właśnie twarzy jej brakowało jakiejś charakterystyki. Szeroka u dołu twarz ta zwręzała się ku górze, jakby świadcząc o pewnem ścieśnieniu umysłu, jednak oczom jej małym, głęboko osadzonym, nie brakowało pewnej inteligencji; szerokie usta miały wyraz energii i siły, a wyrobienie okalających je mięśni świadczyło, że uczucia panny Felicyi były żywe, rozwinięte, że rządziły nią gwałtownie. Płeć biała w harmonii z jasnymi włosami i jasnym kolorem źrenic, pokryta była mnóstwem żółtych plamek, które odbierały jej świeżość, nadawały pozór zwiędnięcia i pozbawiały wszelkiego wdzięku, a w tej chwili smutny i poważny wyraz twarzy czynił ją jeszcze mniej powabną.

Przecież, jeśli lata pierwszej młodości minęły dla panny Felicyi, zachowała ona w całej postawie coś nieśmiałego, coś dziecinnego prawie. Małe jej oczy, błękitne jak haber miały wyraz zdziwienia i naiwności, szerokie usta uśmiechały się czasem w sposób niewinny, prawie figlarny, a przy najlżejszem wzruszeniu, przy każdym żywszem słowie, lub nawet czasem z powodu myśli jakiej niewypowiedzianej głośno, oblewała ją różowa fala rumieńca, jak dziewczęcę szesnastoletnie.

Teraz jednak uśmiech dalekim był od niej, przeciwnie twarz była surową i smutną. Złożyła w milczeniu ra-

chunkową książkę, zaplotła na niej ręce i tak pozostała czas jakiś w zamyśleniu, wodząc wzrokiem po ścianach małego pokoiku.

Była to widocznie bawialnia, świadczyło o tem całe umeblowanie, które, choć bardzo skromne, miało przecież jakąś pretensyę. Kanapa i krzesła starego fasonu, pokryte były włosianą materją, przerabianą w wielkie kwiaty; w rogu kanapy leżała poduszka z wypukło wyrobionym, pieskiem, spłowiałym tak bardzo, iż pierwotnej barwy jego nie podobna było odgadnąć. Piesek ten, arcydzieło pracowitości, jeśli nie smaku, miał niegdyś szklanne źrenice, ale jakiś niespodziany wypadek pozbawił go jednej z nich, pozostał więc na resztę czasów jednookim kaleką. Przed kanapą stał stół zasłany szydełkową serwetą; także małe kwadraciki wyrobione misternie, leżały na poręczach krzesel; środek stołu zdobiła a raczej zdobić miała patarafka, okrążona wieńcem włóczkowych kwiatów, a skromna lampa na niej stojąca, snadź zapalana tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, miała wielką buraczkową różę zatkniętą w kominku.

Nad kanapą wisiały portrety pary małżeńskiej w średnim wieku, widocznie wykonane przez jakiegoś prowincjonalnego artystę. Mężczyzna we fraku i w białej kamizelce, miał na wskazującym palcu wielki pierścień z krwawnikiem. Twarz jego była wygolona, a chybiony rysunek oczów obdarzył go rodzajem zeza, którym zdawał się spoglądać na swoją towarzyszkę.

Ta ubrana była w czarną, wyciętą, atlasową suknię, spiętą broszą z kamieniami takiej wielkości, iż wyglądały na klejnoty koronne jakiego wielkiego mocarstwa, albo na szkła czeskie; od broszy zwieszał się złoty łańcuch ze-

garka, a ramiona okrywał szal turecki wzorzysty. Włosy uczesane były wedle mody przedtrzydziestoletniej, a na ustach zesnurowanych, rysował się konwencyonalny uśmiezek, jaki zdobi fryzjerskie lalki i karmelkowe piękności. Czy portretowana osoba miała z niemi podobieństwo moralne, malujące się w tym uśmiechu, czy też obdarzyła ją nim tylko niezbyt bujna fantazyja lichego artysty? Czy była to obserwacya, czy też przypadek? Miało to zapewne pozostać tajemnicą, bo malowana kobieta zostawiła daleko po za sobą, wraz z latami młodości, ów stereotypowy uśmiech; dziś jej zżółkłe, pomarszczone oblicze, nie przypominało niczem wizerunku, wiszącego nad kanapą.

Oprócz dwóch portretów na ścianach salonu wisiąco jeszcze kilka spłowiałych fotografii, w tekturowych ramach, przedstawiających dziwnie pospolite postacie. Widząc ich wizerunki, dziękowało się niebu, iż nie zna się oryginałów. Odpowiadały one widocznie poziomem swoim damie w atlasowej sukni, stanowiły jej dopełnienie i towarzystwo. Były to zapewne osoby, wśród których wzrosła i wychowała się panna Felicya.

Pomiędzy fotografiami wyróżniała się jedna większym formatem, staranniejszą oprawą, a nadewszystko miejscem, jakie zajmowała. Wisiała bowiem tuż pod dwoma portretami na honorowem miejscu, nad kanapą.

Była to fotografia świeższa od innych, przedstawiała młodego człowieka, mającego nieokreślone podobieństwo z Felicyą. I on także nie miał nic wybitnego w twarzy, był to jeden z wielu, jeden z tłumu; mógł mieć urok jedynie dla tych, którzy znali go z bliska; którzy go kochali, inaczej można było tysiąc razy spotkać się z nim na ulicy i nie zwrócić na niego najmniejszej uwagi.

Obrazy i fotografie nie stanowiły jednak jedyne przybrania pokoju. Przeciwnie pełno tu było robótek i frazek bez żadnej estetycznej wartości, które porozstawiano w rozmaitych miejscach, z widocznym zamiarem upiększenia.

Pomiędzy dwoma oknami, nad niewielkim lusterkiem, nadającym niebieskawy kolor przedmiotom, stał stolik składany, a na nim dwa lichtarze srebrne czy platerowane, obwieszane paciorkowemi profitkami; pomiędzy nimi leżała wielka muszla pospolitego gatunku. Na rogowej etażerze zaś, zawieszonej pomiędzy oknem a drzwiami prowadzącymi do sypialnego pokoju, stało pełno przeróżnych gratów. Był tu kubek szklany do picia wód z napisem „Karlsbad“, rurka do picia tychże i bukietek ze skamieniałych kwiatów, pamiątki zapewne zagranicznej wycieczki, przechowane starannie. Było znowu kilka muszli, była filiżanka z ordynarnej czeskiej porcelany, ze złotym napisem *Zum Andenken*, w pośród wieńca buraczkowych róż i sinych niezapominajek; był nawet cukrowy baranek wielkanocny, nadgryziony wilgocią i popstrzony przez muchy, drewniany koszyczek z litografowanemi widoczkami, powiązany wstążeczką niegdyś błękitną, która jednak dawno straciła kolor pierwotny i t. p. rupiecie, jakie chyba bardzo uprzedzone oczy, mogły poczytywać za ozdobę.

Rupiecie te były przecież starannie omiecione z kurzu i poustawiane w niezmiennym porządku, w najwidoczniejszym miejscu. Muszlinowe firanki zwieszały się u okien, na których stały doniczki z prostemi kwiatami, jak: geranie, fuksye, lewkonie, które przecież pomimo pospolitości swojej, rozweselały zielenią ten skromny pokoik, którego powierzchowność świadczyła zarówno o ubóstwie materialnym, jak moralnym mieszkańców.

Nie było tu bowiem nic zdradzającego wyższe potrzeby, nawet tej pospolitej, codziennej strawy umysłowej, — dzienników. O potrzebie czytania, tak silnie i powszechnie wyrobionej w obecnym wieku, świadczył jedynie jakiś powieściowy dodatek, leżący pod oknem na stoliku, na którym panna Felicya rachowała się ze służącą.

Przez drzwi uchylone do przyległej sypialni, słychać było od czasu do czasu stękanie znajdującej się tam osoby, a ile razy słyszała je Felicya, tyle razy twarz jej krajała się głębszemi bruzdami i występował na nią wyraz nieokreślony, pośredniczący pomiędzy smutkiem a niecierpliwością.

Wreszcie spojrzała na gruby, stary, srebrny zegarek, wiszący na paciorkowym pantofelku nad stolikiem, zamnęła rejestr do szuflady, powstała i wzięwszy lampę, skierowała się ku sypialni.

Przechodząc koło zwierciadła, rzuciła w nie przelotne spojrzenie i poprawiła śnieżny żabot, stanowiący jedyną ozdobę jej ciemnej wełnianej sukni.

Potem dopiero weszła do drugiego pokoju.

Zapewne dla oszczędności był on nie oświetlony. Pokoik ten był o połowę mniejszy od saloniku, tak, iż zaledwie mieściło się w nim łóżko, sofa, — na której snadź sypiała panna Felicya — i komoda służąca zarazem za tualetę, jak to pokazywało stojące na niej lusterko.

Na sofce leżała w ciemnym szlafroku kobieta, oryginał uśmiechnionego portretu z nad kanapy. Twarz jej blada, nie miała śladu owej różowej cery, jaką posiadała niegdyś, rysy zatarły się i sponiewierały pod szorstkiem dotknięciem życia.

Nie wypisały się na nich szlachetne bole, wielkie cier-

pienia lub piorunne chwile, ale za to tysiąc drobnych trosk, powszednich niepokojów, małych zgryzot i ciasnych uczuć, nadało im pospolity i przykry wyraz, często szpecący starość, kiedy nie uszlachetnił jej ani wiek młody zapalem, ani dojrzały czynem żadnym. Miała ona posepność jakąś nie budzącą współczucia i smutek nie sięgający głębi, smutek mogący być rozerwanym jak smutek dziecka, za pomocą jakiegobądź cacka lub łakotki. Powaga wieku była u niej tylko chwilową napuszonnością, pełną grymasów i wymagań. Zdawała się raczej nadąsaną lub gniewną, niż zbolaną. Jeśli cierpała nawet, cierpienie to nie nosiło śladu poddania się, rezygnacyi lub wreszcie buntu — było raczej cierpieniem zwierzęcia, niż myślącej istoty.

Widząc wchodzącą córkę, poruszyła się na kanapce i przetarła oczy rażone światłem. Światło nie było jej wcale potrzebne, nie miała bowiem zwyczaju zajmować się jaką robotą lub czytaniem.

— Możeby mama wzięła lekarstwo — zapytała panna Felicya, zbliżając się do niej i sięgając po fiaskę, stojącą na małym stoliczku koło łóżka.

Stara kobieta nic nie odpowiedziała, ale skrzywiła się znacząco.

— A potem — mówiła dalej córka, nie odstępując od swego zamiaru i biorąc w rękę łyżkę — mama znowu narzekać będzie na ból boku, na ból głowy, albo na co innego. Doktor kazał brać lekarstwo w parę godzin po obiedzie, niech mama bierze...

— Co tam był za obiad! A zresztą lekarstwo takie gorzkie!

Panna Felicya nieznacznie wzruszyła ramionami, i nie już nie mówiąc, nalewała na łyżkę ostrożnie i uważnie.

— Czy masz przynajmniej karmelka na zagryzienie złego smaku? — spytała matka.

— Mam! mam! oto jest — odparła z widoczną niecierpliwością Felicya.

Przekonana tym argumentem, stara kobieta zdecydowała się wreszcie przełknąć lekarstwo.

— Brrr! — zawołała, otrząsając się ze wstrętem i przegryzając karmelkiem.

Potem wzięła ze stolika papierosa, zapaliła go i leżała puszczając dym i śledząc jego rozchodzące się kłęby.

Czas jakiś trwało milczenie; matka i córka nie miały sobie nic do powiedzenia. Felicya postawiła lampę na komodzie, wyjęła z koszyka jakąś sztukę bielizny i zajęła się pilnie jej cerowaniem. Podczas tej roboty, nasłuchiwała ona każdego szmeru, ale czyniła to nieznacznie, jakby lękała się obudzić matczyną uwagę.

Ile razy kroki jakie rozległy się w dziedzińcu, na który wychodziły okna, lub dał się na nim słyszeć głos jaki, można było dostrzedz jakiś blask w jej źrenicach i lekkie drżenie płótna w jej ręku; ile razy znowu dom cały zalegała cisza, twarz jej stawała się posępną, jakby zagasł w niej promień wewnętrznego słońca. Ale przesuwała igłą nieustannie.

Wreszcie w drugim pokoju zabręczały filizanki. Zosia podawała herbatę.

Stara kobieta podniosła się na ten dźwięk, jakby zbudzona.

— Adolfa nie ma! — zawołała z niepokojem nagłym. — Któraż to godzina?

Felicya nic nie odpowiedziała, pochyliła się tylko więcej nad robotą.

— Oho! już blisko dziewiąta odezwała się Zosia.

— Dziewiąta! — powtórzyła stara kobieta.

Zerwała się, odrzuciła papierosa gwałtownie i pobiegła do zegarka.

W tej chwili zapomniała widocznie o chorobie, przynajmniej nic nie przypominało w jej żywych ruchach niemocy lub cierpienia, a ponieważ w saloniku było ciemno, pochwyciła lampkę, przy której szyła Felicya i postawiła ją przed zegarkiem.

— Niechże się mama o niego nie troszczy -- prosiła ta ostatnia, idąc za nią.

Prośba przecież była najzupełniej daremną. Kobieta stała w miejscu, powtarzając na rozmaite tony:

— Adolfa nie ma!

Czas jakiś wlepiła oczy we wskazówki, posuwające się zwolna nieubłagany obrotom i jakby zniecierpliwiona ich monotonnym ruchem, zaczęła chodzić po pokoju nierównym krokiem.

Córka spoglądała na nią czas jakiś w milczeniu.

— Moja mamó — wyrzekła wreszcie — mama sobie zaszkodzi.

Ale słowa te pozostały bez żadnego skutku, stara kobieta była w stanie nerwowego rozdrażnienia, wzmagającego się z każdą chwilą, nie zdawała się nawet słyszeć perswazyi Felicyi, która po cichu krzątała się około herbaty.

Zosia zasała stoł przed kanapą serwetą przerabianą w pomarańczowe i niebieskie kwiaty, na niej postawiła taczkę, samowar, trzy szklanki i blaszany koszyczek z kilkoma bułkami, potem odeszła, gdyż uczyniła wszystko, co do niej należało.

Felicya dobyteła z szafki, stojącej przy drzwiach od

przedpokoju, paczkę z herbatą, sypiąc ją ostrożnie i oszczędnie, potem postawiła lampkę na stole, usiadła przy tej biednej zastawie i pogrążyła się w myślach, a jakkolwiek milczała, myśli jej z pewnością nie były weselsze od myśli matki.

Trwało to czas jakiś; ciszę panującą w pokoju prze-rywało tylko syczenie samowara, nierówny krok pani domu i wiatr jesienny, wstrząsający czasem szybami okien. I było tutaj rozpaczliwie smutno. Ten mały, brzydki salon, pełen ciasnego formalizmu, świadczącego o życiu skrępowanem materyalną biedą i brakiem szerszych poglądów — o smutnem, nędznem, groszowem życiu, zakłóconem jeszcze troskami urojonemi czy rzeczywistemi, a w którym musiano odmawiać sobie najmniejszego zbytku i poprzestawać na suchym kawałku chleba — obejmował szaremi ramami swemi i dusił samą atmosferą swoją te dwie kobiety, z których jedna była na schyłku życia, a druga prawdopodobnie nigdy zaznać go nie miała. Zdawało się, że wpośród tych ścian obitych brudno popielatym papierem, o takichże ciemniejszych arabeskach nie mogła powstać żadna myśl trzeźwiejsza, żaden jaśniejszy pogląd.

Samowar już wygasł kiedy Felicya przypomniała sobie obowiązki gospodyni; nalała dwie szklanki herbaty, postawiła jedną z nich przed kanapą, na miejscu zwykle zajmowanem przez matkę i przysunęła koszyk z bułkami.

Stara kobieta nie zwróciła na to uwagi; chodziła ona ciągle po pokoju, czasem splatając ręce i szepcząc sama do siebie jakieś wyrazy, jak to czynią osoby zaabsorbowane myślą swoją.

— Mamo! — odezwała się wreszcie Felicya — nalałam herbatę.

Nie odebrała żadnej odpowiedzi.

— Mamo! — wyrzekła znowu po chwili — herbata ostygnie.

I znowu te słowa nie wywołały żadnego znaku ze strony starej kobiety. Chodziła ona dalej, prawdopodobnie nie słysząc nawet głosu córki.

Panna Felicycja popatrzyła na nią posępnie, wzruszyła nieznacznie ramionami, potem powstała i dotknęła lekko jej ręki.

— Moja mamo, niechże mama siada i pije.

Widocznie teraz dopiero za pomocą tego dotknięcia głos jej doszedł do ucha tej kobiety. Jednak nie odpowiedziała nic, tylko wlepiła w córkę oczy pełne niepokoju i odparła, jakby sama do siebie:

— Nie ma Adolfa? Gdzie Adolf?

W głosie jej było coś nakształt krzyku rozpaczny.

— Albo to raz Adolf nie przychodzi na herbatę — zauważyła spokojnie córka.

Słowa te, wyrzeczone z przekonaniem, dowodziły, iż troska i niepokój, jakie można było zauważyć na czole Felicycji, miały jakąś inną przyczynę, niż nieobecność brata; że była to troska osobna, jej właściwa, której nie podzielała z matką i z którą zdradzić się nie chciała.

Stara kobieta przecież szła dalej za myślą swoją.

— Więc gdzie on jest, gdzie być może? — pytała gwałtownie.

— Zapewne gdzie u kolegów, u znajomych.

— Czy mówił ci, że dziś gdzie będzie? Nie był przecież ubrany na wieczór.

Panna Felicycja zrobiła ruch pełen lekceważenia.

— Coś musiało mu wypaść, poszedł zapewne bez projektu, skoro go nie ma dotąd.

— Nie, nie! On wie, jak jestem niespokojną w takich razach! Onby tego nie zrobił, dałby znać przynajmniej!

— Niby to Adolf ma pieniądze do wyrzucenia, a posłaniec nie kosztuje — odparła szorstko Felicya.

Słowa te zrobiły na matce pewne wrażenie.

— A gdyby zdarzyło mu się nieszczęście. Pomyśl tylko! — odparła.

— Cóż to Adolf małe dziecko, żeby go kto na ulicy przejechał czy co? — pytała córka.

— No, przecież tyle rzeczy się zdarza! teraz taki wichur; mogła mu spaść dachówka na głowę, albo też mógł zachorować.

— Chory tem bardziej wróciłby do domu. A dachówki...

— Czyż nie spadają?

— Mama to już nie wie sama co wymyślić! tyle tysięcy ludzi chodzi po ulicy...

Skończyła frazes charakterystycznym u niej ruszeniem ramion.

— Chodź mama lepiej pić herbatę, bo na nic ostygnie...

Rozumowania córki podziały na starą kobietę, albo też jak się to zdarza nerwowym osobom, zmniejszył się niepokój, skoro się nim podzieliła; a może łakomstwo go zmoгло, bo zgodziła się zająć zwykle miejsce przy herbacianym stole.

Teraz jak dziecko dała córce powodować sobą i jak

dziecko przybierała pieszczone ruchy, minki, szepcząc niemal pieszczotliwe wyrazy.

— Niedobre bułki — mówiła, oglądając je po kolei — ta Zosia nigdy nie przynosi takich z makiem, wiesz, takich, jak to ja lubię.

Panna Felicya milczała, widocznie myśl jej pobiegła innym torem.

— Felutko — odezwała się słodko stara kobieta — ja tych bułek jeść nie będę.

A potem dodała z proszącym i niespokojnym akcentem:

— Nie masz tam czego?

— Cóż nje mam mieć! Mama wie przecież, że zawsze są dla mamy sucharki.

Poszła do szafki, włożyła na miseczkę kilka sucharków, jeden lukrowany położyła na wierzchu i postawiła przed matką. Ten naprzód pochwycony został. Wyraz zadowolenia zarysował się przez chwilę na obliczu starej kobiety. Gryzła sucharki, zapijając je herbatą i nie zwróciła uwagi na to, że córka nic w usta nie wzięła.

Skoro jednak sucharki zniknęły z miseczki, skoro wypła herbatę i zapaliła papierosa, troska powróciła jej do pamięci.

— Jednakowoż — wyrzekła, nasłuchując daremnie znajomego kroku lub głosu — jednakowoż Adolf powinienby już powrócić. Czy ty się nie domyślasz, gdzie on poszedł?

Felicya wstrząsnęła głową przecząco.

— Moja mamó — odparła — to dobrze, że Adolf się rozerwie. Takie życie, jak my tu prowadzimy, nie może wystarczyć młodemu człowiekowi.

— Tak, tak, dobrze, że się rozerwie, tylko widzisz, gdybym naprzód wiedziała, nie byłabym taka niespokojna.

— Ależ po co się niepokoić, mama tyle razy niepokoiła się daremnie.

— Prawda — przyznała dobrodusznie — a jednak to silniejsze odemnie; kiedy go niewidzę, gdy minie godzina, o której wrócić powinien, zaraz przychodzą mi na myśl wszystkie nieszczęścia, jakie trafić się mogą...

Łzy rzuciły jej się do oczów.

— Niechże mama nie płacze, — perswadowała córka — zkądże znowu ma być nieszczęście...

— Och! o nieszczęście nie trudno, — mówiła dalej matka, a mówiła już teraz wśród łez rzęsistych. — Straciłam rodziców, siostrę i brata... a potem... potem umarł mój Józef...

Wymawiając to imię zwróciła wzrok ku portretowi, wiszącemu nad kanapą i ciągnęła dalej przerywanym głosem:

— To był cios największy... Z nim straciłam wszystko... Nie zawsze przecież byliśmy tacy biedni; za życia męża było co innego. Pamiętasz, on nam nie żałował niczego. On był tak dobrym!

I zaczęła powtarzać dzieje doskonale znane Felicyi: jak mąż jej umiał zarabiać i używać, jak nie zbywało im na niczem, jak potem z powodu jakiegoś złego interesu zgryzł się, zachorował i umarł, jak po jego śmierci wierzyciele zabrali majątek, dostatki, kosztowne sprzęty i została jej tylko szczupła emerytura, z której teraz żyć musiała wraz z córką i synem.

Wszystko to nie było racjonalnem tłumaczeniem niepokoju, jaki ją opanował, ale wiadomo, że każda głowa ma swoją właściwą logikę, która nie zawsze jest logiką

głów innych. Dlatego to tak często ludziom tak trudno porozumieć się z sobą. Trzeba też przyznać, że logika matki Felicyi różniła się w wielu punktach od zwykłej przeciętnej logiki ludzkiej. Stara kobieta powróciwszy myślą do przeszłości, znów zatrzymała się na niej.

— Jakie to życie dawniej było — mówiła przerywanym głosem — ubierałam się u Włodkowskiej. Ciebie bo to mniej obchodziło wówczas Felutko, byłaś jeszcze dzieckiem.

— Co tam ja! — mruknęła niechętnie Felicya.

Matka nie zważała na tę przerwę. Zajęta wspomnieniami ciągnęła dalej:

— Jak bywało zrobia mi suknię na wiosnę, to wszyscy na spacerach oglądają się na mnie, albo jak mąż wyprowadził mnie na wieczór w balowej toalecie to znowu zrobiłam wrażenie. Przychodziłam późno umyślnie, kiedy wszyscy już byli zebrani. A mój Józef mówił: „A co, jaką mam żonkę, niech się młode schowają“. Bo też figurkę miałam ot taką...

I pokazywała żółtymi palcami jakąś idealną objętość.

— A dogadzał mi, ach! dogadzał. Musiałam mieć codzień do kawy ponczowe babki od Lourse'a, albo owe ciastka z wanilowym kremem...

Uśmiechała się do przeszłości i nie odbierając odpowiedzi na wspomnienia, które właściwie odpowiedzi nie wymagały, zwróciła się wyraźnie do córki, która przez ten czas widząc, że się matka uspokoiła, a nie chcąc traścić chwil próżno, przyniosła sobie koszyk z sypialnego pokoju i naprawiała bieliznę.

— Czy pamiętasz, jak raz złajał służącego, bo przy-

niósł babki od Kocha, a nie od Lourse'a, a ja to zaraz poznałam?

— Pamiętam, że mama strasznie grymasiła — odparła Felicya z rodzajem smutnego lekceważenia.

Uwaga ta przecież wcale nie obraziła starej kobiety, przeciwnie, uśmiechnęła się, jakby słowa te były dla niej pochlebne.

— Tak, tak — dodała prawie wesoło — byłam wybredna...

Wyrazy te zdawały się brzmieć dziwnie wśród tego pokoju, tak mało odpowiedniego do wybrednego smaku, wśród otoczenia brzydkich, pospolitych sprzętów, wśród tej nędznej, herbacianej zastawy.

— Co tam próżno wspominać — odezwała się znowu Felicya.

— Może też kiedy jeszcze powrócimy do dawnego położenia — mówiła po chwili matka. — Adolf... kto wie jak daleko Adolf dojść może. Pracuje tak, jak ojciec, zostanie urzędnikiem, potem pójdzie coraz wyżej...

Mówiła sama do siebie, nie zważając na córkę, która z głową pochyloną nie odpowiadała nic; ani nie przerywała matczynych marzeń.

W tej chwili jednak ten zwrot myśli okazał się niebezpieczny. Przypomniała sobie nieobecność syna i zaczęła znowu na ten temat rozwodzić żale i niepokoje.

Było rzeczywiście już koło godziny dwunastej. Tym razem wszelkie perswazyje Felicyi okazały się daremne. Matka płakała, zrywała się, biegła po pokoju, rzucała się na kanapę, słowem, postępowała jak osoba dotknięta realnem nieszczęściem, a pozbawiona zupełnie panowania nad sobą.

Na odgłos jej płaczu i wyrzekań przebudziła się Zosia, a ponieważ była to w gruncie dobra dziewczyna, przybiegła przestraszona, chociaż sceny podobne zdarzały się nieraz bez powodu i spoglądała szeroko rozwartemi oczami na pannę Felicyę i od czasu do czasu czuła się w obowiązku wtórować swojej pani, wołając: „O mój Jezu! O Najświętsza matko!”

Wśród zamieszania sprawionego tą niespodziewaną sceną, nikt nie dosłyszał kroków na schodach, ani tego, jak ktoś obrócił klucz w zamku, otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Dopiero gdy odezwał się głos męzki: „Cóż się to stało?” — kobiety podniosły głowy i zobaczyły Adolfa, który w kapeluszu i zmoczonym paltocie stał wśród nich.

Matka podniosła się z kanapy, na której rzucała się jakby w paroksyzmie gorączki i ocierając oczy, uśmiechała się z wyrazem rozkoszy. Zosia, widząc, że nie jest więcej potrzebną, wróciła cichaczem do kuchni, a panna Felicya zawołała:

— Widzi mama, jest! jest! powrócił! nic mu się złego nie stało, po co było te wszystkie historye wyprawiać?..

— Alboż co? — zapytał nowoprzybyły, zdejmując powoli paltot i rękawiczki.

— Nie było cię — zawołała jeszcze żałośnie stara kobieta, choć usta jej uśmiechały się teraz — a ja... ja niepokoiłam się strasznie... lękałam się, iż przytrafi ci się nieszczęście jakie?..

— Co znowu! — przerwał młody człowiek — przecież dzieckiem nie jestem, nie pojmuję, czemu się mama troszczyła.

— Nie mówiłeś nic, że na herbatę nie przyjdiesz.

— Przecież mama na mnie nie czekała, prosiłem o to tyle razy — pochwycił z odcieniem niecierpliwości. — Ale to późno już — dodał po chwili — myślałem, że mama śpi oddawna...

— Nie byłabym zasnęła dopóki byś nie wrócił.

Słowa te podrażniły go, zamiast rozczulić; odpowiedział, jakgdyby nie rozumiał o co jej chodziło:

— Dlaczego by mama czuwać miała? Otwieram zwykle drzwi cicho i staram się nie robić najłżejszego hałasu.

— To nie to, Adolfie — wyrzekła, patrząc na niego z czułością — ja byłabym niespokojna...

Chciał znowu perswadować jej, ale ona nie dała mu na to czasu.

— Ty jesteś wszystkim mojem na świecie — zawołała — dumą, nadzieją, pociechą, podporą...

Nie mógł na to nic odpowiedzieć, pochylił się i pocałował ją w rękę. Był to jednak więcej akt obowiązku niż uczucia. Młody człowiek zdawał się zmęczony i smutny i przyznać to trzeba, nie wyglądał wcale na podporę rodziny, na tego, który miał ziścić czyjebądź nadzieje.

Wysoki, wybujały, delikatny, z rysami napiętnowanemi jakąś niezdecydowaną miękkością i cierpieniem, wyglądał równie wątko fizycznie jak moralnie.

Siostra pytała go, czy nie chce herbaty, ofiarowała się sama rozgrzać samowar, ale podziękował za jej troskliwość. Przybycie jego nie wniosło tutaj ożywienia ani wesela, jakie zwykle jest udziałem bujnej młodości; nie wcisnął się za nim z szerszego świata żaden promyczek do tego zapadłego kąta; nie przynosił tu nawet brukowych nowin, któreby stanowiły nic jakąś, łączącą te kobiety z miastem, w którym się znajdowały i ze społeczeństwem,

co je otaczało. Przeciwnie, usiadł na krześle i pograżył się w apatycznym milczeniu, a Zosia tymczasem przyniosła z sypialnego pokoju materac i urządziła mu poślanie na kanapie.

Matka oczekiwała widocznie, aż powie jej gdzie spędził wieczór, widząc przecie, że milczy, postawiła wręcz zapytanie.

Odpowiedział dając nazwisko jednego z biurowych kolegów, który zaprosił go na wieczór z powodu imienin.

Ona zadowolniła się tem tłumaczeniem, chociaż oczy Felicji spoczęły podejrzliwie na bracie. Nie zdejmował on paltota i z głową opartą na ręku siedział nieruchomy.

Był on może piękniejszym od Felicji, przynajmniej rysy jego były kształtniejsze, ale za to brakło im gorętszych błysków energii i uczucia, jakie twarz jej piętnowały. Było w tych rysach coś niedopowiedzianego, nierozwikłanego, jakaś apatya, pochodząca może z braku fizycznej siły, o czem zdawała się świadczyć matowa bladeść powlekająca je, zwykła w organizacjach bezkrwistych. Niebieskie oczy jego miały wyraz zamglony, blade wargi były bez uśmiechu i nie mogły dać wskazówki co do charakteru lub usposobień człowieka, jakby milczenie, do którego nawyknął, udzielało się nawet ich kształtom; usta te stanowiły organ mowy, rzadko używany, otwór służący tylko do przyjmowania pokarmów — nic więcej.

Zresztą znać na nim było wyraźnie przygnębienie jakieś, może spowodowane nadmiarem pracy, może fizycznym cierpieniem, a może zgryzotą. Gdy tak siedział w pozornej nieruchomości, podparty na lewej dłoni, palcami prawej targał nerwowym ruchem żółte wąsiki, które porastały z rzadka nad górną wargą...

— Niech mama się położy — przerwała wreszcie panujące milczenie Felicya — mama zmęczona i Adolf także...

Wyrzekła te słowa stanowczo i natychmiast usłuchaną została. Matka powstała, syn pocałował ją w rękę i obie kobiety weszły do sypialnego pokoju. Przy progu jednak panna Felicya odwróciła się i rzuciła bratu spojrzenie długie, wymowne, obciążone miłością. On odpowiedział na nie smutnym skinieniem. Potem drzwi się zamknęły i każde z nich udało się na spoczynek. Tak się przynajmniej zdawało... Felicya rozebrała matkę, sama jednak nie zdjęła sukni, odpięła tylko żabot i schowała go starannie, obwinąwszy wprzód w papier. Obie kobiety uklęknęły do pacierza. Starsza odmówiła półgłosem „Ojcze nasz“, „Zdrowaś“, „Wierzę“, a potem długie modlitwy za umarłych. Felicya modliła się gorąco; powstała wreszcie i miała się już rozbierać, kiedy usłyszała gwałtowny kaszel brata.

Twarz jej sposepniała nagle, wzrok skierowała z niepokojem ku matce. Ale ta obwijała się kołdrą, nie zwracając wielkiej uwagi na symptomat zatrwajający Felicyę.

Gdy jednak kaszel nie ustawał rzekła:

— Adolf pewno znowu dostał kataru.

I nie przywiązując snąc do faktu tego żadnego znaczenia, przyłożyła głowę do poduszki.

Felicya nie poszła za jej przykładem, poczekała chwilę, zgasiła lampę i na palcach podeszła do drzwi. Przecież zaledwie ich dotknęła, odezwał się znowu głos matki:

— Gdzie idziesz?

— Pójdę zobaczyć, czy nie ma jeszcze tego lekarstwa, co mu doktor przepisał, pamięta mama, parę tygodni temu, kiedy tak bardzo kaszłał?



Matka odwróciła się do ściany. Ona co przed chwilą odchodziła od przytomności z powodu urojonego niepokoju, teraz, jak dziecko, nie zdawała sobie sprawy z groźnego symptomatu, jaki stanowił kaszel syna i zasypiała przy nim bez trwogi.

Skoro Felicya weszła do salonu, przy bladym świetle dopalającej się świecy ujrzała brata, który schwycony paroksyzmem kaszlu, rzucił się nawpół rozebrany na kanapę i starał się go uspokoić. Poszła do okna, tam pomiędzy podwójnymi szybami stała fiaska z lekarstwem; wzięła ją, sprawdziła przy świetle, że płyn był czysty i zadowolona przyszła mu podać.

Po chwili paroksyzm przeminął. Adolf zmęczony usiadł na pościeli i oddychał ciężko. Był bledszy jeszcze niż zwykle, oczy miał zaczerwienione, a na czoło wystąpiły mu drobne kropelki potu.

Felicya spoglądała na brata z wyrazem miłości, podnieconej troskliwością, a dochodzącym do tak wielkiej potęgi, iż uczucie to przekształcało jej pospolite rysy i nadawało im dziwny urok.

— Połóż się — nalegała, bo w pokoju było zimno i wiatr jesienny zdawał się po nim przechadzać.

Adolf był jej posłuszny, a ona obcierała mu czoło zwilżone potem. Chciała odejść, lecz on zatrzymał ją za rękę.

— Zostań, Felo — wymówił z cicha.

Zrazu nie chciała na to przystać, wiedziała, że brat musi wstać rano i pójść do biura, wiedziała, że mu spoczynek potrzebny, on przecież nalegał dodając:

— Kaszel wybił mnie ze snu, a tak mi dobrze pozostać chwilę z tobą swobodnie.

Nie opierała się więcej, usiadła przy głowach jego posłania na krześle i widząc, że mu już jej usługi niepotrzebne, gładziła ręką jego włosy lekko, delikatnie.

Przez czas jakiś milczeli oboje. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, albo też odwykli od zwierzeń; przecież łatwo było zrozumieć po sposobie, jakim przemawiali do siebie, iż związek łączący ich był silny, iż kochali się bardzo, wspierali wzajemnie jak mogli.

Adolf pierwszy przemówił:

— Znowu otwiera się wakans w biurze.

Oczy panny Felicyi zabłyśły, pochyliła się nad bratem i zapytała urywanym głosem:

— I cóż?..

Słowo było krótkie, ale wyraz, z jakim go wypowiedziała, wymowny. Świadczył on o wielu nadziejach powstałych i zawiedzionych, o wielu podobnych zwierzeniach i podobnych zapytaniach.

— Dowiedziałem się o nim — mówił dalej brat — w poobiednich godzinach i nie tracąc chwili zacząłem sobie szukać protekcyi.

— Przecież awans należy ci się z prawa — zawołała siostra — dwa lata pracujesz darmo.

— Są, co pracują dłużej — odparł smutnie.

— Ale są tacy, którzy weszli po tobie, a już dostali stałą pensję, a ty robisz za wszystkich.

— To i cóż? potrzeba protekcyi...

Sami ten wyraz *protekcyja* przejął Felicyę dreszczem trwogi. Brat szukał jej tyle razy już... i nie znalazł.

— Wiesz co, Adolfie! — szepnęła — zdaje mi się, iż byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś zupełnie przeniósł się do tego rejenta, u którego piszesz w wolnych godzinach.

Wyrzekła to z pewnem wahaniem w głosie, jakby lękała się bratu odebrać nadzieję otrzymania miejsca o jakie się starał.

— Tak myślałem i ja nieraz — odparł — tylko widzisz żal mi tego zmarnowanego czasu. Dwa lata, to przecież coś znaczy, myślę sobie nieraz, że choć dzisiaj ciężko, to przecież z czasem się czegoś dosłużę, a potem będę miał coraz więcej.

— Masz słuszość — wyrzekła siostra, przekonana zupełnie jego argumentami.

— Nie mówiłem przy mamie o tym wakansie — ciągnął dalej Adolf — bo ona niepokoiłaby się zaraz i troszczyła daremnie.

Feličya skinęła głową potakująco. Sama była także silnie zainteresowana, bo zapytała:

— A ty jak myślisz, czy dostaniesz teraz etat?

— Alboż ja wiem — szepnął ze zniechęceniem — staram się, robię co mogę... tylko... tam ciśnie się tylu...

— Trzebaby się docisnąć, docisnąć koniecznie — wyrzekła z mocą.

On wstrząsnął głową.

— Łatwo tobie mówić! Ale widzisz, im więcej rozglądam się po świecie, tem bardziej widzę, jak to wszystko trudno... Są ludzie, którym się wiedzie... nie wiem dlaczego; co postanowią to zrobią, co zechcą otrzymają... Myślałem nad tem nieraz i zrozumieć nie mogę... Przecież i ja się nie lenię i ja pracuję i ja się staram... a wszystko daremnie... Już widać taka moja dola... i walczyć z nią się nie da...

Mówiąc to, ożywił się trochę, uniósł się z poduszek, oparł głowę na rękę właściwym sobie ruchem i spoglądał

na siostrę smętnemi oczyma, jakby zapytywał ją o wytłumaczenie zjawiska własnego losu.

Gdyby Felicya znała życie, byłaby mu zapewne powiedziała, że przy coraz twardszych warunkach bytu, walka się zaostrza, że chociaż często powodzi się na świecie ludziom nie przebijającym w środkach, jednakże wytrwałość i zdolność dobijają się zwykle prędzej czy później należnego im miejsca. Ale zkądże ona o tem wiedzieć mogła. Ona widziała tylko w bracie istotę pokrzywdzoną, cierpiącą i ukochaną. To też patrzyła na niego oczyma, w których paliły się: niepokój, ciekawość i oburzenie. Kiedy powodziło się innym, dlaczegóż się jemu powodzić nie miało? Szukała widocznie w głębi myśli przyczyny tego zjawiska.

— Ty bo może Adolfie — szepnęła wreszcie — nadto hardy jesteś, prosić nie umiesz?

— Och! hardość moja — odparł z nietajoną goryczą — zniknęła dawno, pokonała ją bieda. Nie lękaj się, potrafię i ja także być natrętnym, prosić, żebrać nawet. Bo kiedy pomyślę o matce, o tobie, o wszystkim czego tu brakuje, o...

Chciał mówić dalej, o czemś, co mu więcej może niż wszystko inne leżało na sercu. Zatrzymał się jednak, przygryzł wargi i dodał głosem, który drżał mu mimowoli.

— At! o sobie niema i co myśleć nawet...

Słowa, wyraz twarzy, ruch im towarzyszący, świadczyły o zupełnem zniechęceniu.

Siostra odczuła to, zarzuciła mu rękę na szyję nagłym ruchem i zawołała gwałtownie:

— Przeciwnie Adolfie! ty naprzód, ty przede wszystkim. Któż powinien być szczęśliwy, jeśli nie ty?

Uśmiechnął się słysząc to, ale smutno i blado, jak człowiek, który odwykł od uśmiechu; było mu tak, jakby myśli i uczucia jego, mrożone ciągłym zetknięciem z wrogimi żywiołami, tajały zwolna pod serdecznym wpływem siostrzanego uścisku. Odetchnął ciężko i mówił cicho, może sam do siebie:

— Jakby nie wiele było mi potrzeba: dwa pokoiki... na co dwa?... jeden tylko, gdziebym mógł, jak do klatki ptaszka mego wprowadzić. Co mi świat, co mi wszystko, pracowałbym od świtu do nocy niezmordowanie, nie znałbym spoczynku, ni święta, byle żyć tem prawdziwym, zwykłym życiem ludzkim, mieć ją swoją i powracać wieczór do domu, gdzieby mnie ona czekała! Felo, ja przecież nie chcę nic nadzwyczajnego, ja to powinienem osiągnąć!

Milczała, położyła dłonie na twarzy, ażeby ukryć palące runieńce, które na nią wystąpiły. Może i ona marzyła także na swoją rękę, może i jej pragnienia nie sięgały dalej ani wyżej, może tylko były więcej dla niej niż dla niego niedościgłe.

A tymczasem on powtarzał pochłonięty własnymi myślami tak, iż nie zważał na to, co się z nią działo:

— Prawda Felo, że ja to przecież kiedyś mieć mogę?

— Dlaczego! — zawołała z namiętym wybuchem — są dole wydziedziczone! Dlaczego taka dola padła mnie i tobie. Wszak są ludzie biedniejsi od nas, którzy nie mają ani salonu z kanapą i lampą, ani służącej, a którzy mogą kochać się swobodnie, ożenić, mieć rodzinę, uciechy własne obok trudów i cierpień, a dla nas są tylko te ostatnie.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie. Gwałtowność

ta zadziwiła go — przecież nie nasunęła żadnego podejrzenia względem jej własnych uczuć. Odparł uspokajająco:

— Trudno, Felo! Jak jest, tak być musi, nie odmienimy się... tylko żeby nam chociaż trochę lżej było...

Opamiętała się zapewne, lub też powróciły jej do myśli codzienne troski bytu, bo wyrzekła z trwogą widoczną:

— Och! żeby było lżej, bo ja już nie wiem co począć; wszystko drożeje z dniem każdym, oszczędzam, skąpie, a brzegu z brzegiem związać nie jestem w stanie. Właśnie o tem chciałam z tobą pomówić, bo z mamą to się na nic nie zda.

— Tak, z mamą się na nic nie zda — powtórzył z przekonaniem. — Ale cóż ja poradzę? Czy sądzisz, że mogę więcej zarabiać, a mniej wydawać, niż dotąd. Gdybym mógł, zrobiłbym to niezawodnie. Już i tak często, kiedy przepisuję u rejenta, głowa mi ciąży jak ołów, a mroczki przed oczyma latają i piersi kołą od ciągłego schylania.

— Niechże Bóg broni — zawołała, obejmując go ramionami — byś pracował nad siły.

Wstrząsnął smutnie głową.

— A jednak coś uczynić potrzeba.

— Tak, coś uczynić potrzeba — powtórzyła jak echo. — Ja już nic wcale uszczuplić nie mogę.

Nie zaprzeczał. Zdawał się namyślać nad problematem postawionym przez siostrę, który rzeczywiście trudno było rozwiązać.

— Więc ty i teraz nie masz nadziei dostania wakującej posady? — szepnęła.

Spuścił głowę na piersi.

— Miałem ją już tyle razy — odparł z rezygnacją.

Felicja klasnęła rękami, jak człowiek zawiedziony.

— Więc dopókiż tak będzie? — spytała gwałtownie.

Spojrzał na nią w milczeniu, a w jego oczach malowała się bezsilność i smutek.

Kobieta nie zdolna zapanować nad sobą, zerwała się z miejsca, jak gdyby w mocy jej było wpłynąć jakimś sposobem na rozstrzygnięcie tej sprawy. I przypomniawszy sobie, iż leży to zupełnie po za granicami jej możliwości, mówiła gorączkowo:

— Gdyby ten zwierzchnik, od którego zależy twoja nominacja, wiedział, że tu idzie nie o los już, ale o życie kilku osób! Ty pewno nie powiedziałaś mu tego Adolfie. Trzeba żebyś powiedział, trzeba koniecznie.

Twarz jego sposepniała więcej jeszcze, zarysowało się na niej rozdrażnienie człowieka, którego świeżą ranę dotykają brutalną ręką.

— Nie męcz mnie Felo — wyrzekł zwolna. — Czy sądzisz, że dlatego, iż mam szalone marzenia... ja o was nie dbam? Bądź spokojna. Zrobiłem wszystko, co mogłem; ale cóż mam ludzić siebie i ciebie...

Felicja załamała ręce, w milczeniu otulając się grubą chustką, którą zarzuciła na siebie z powodu zimna, panującego w pokoju. X

— Ha! — szepnęła — więc przyjdzie nam tak zmarnieć powoli. Kiedyśmy się sprowadzili do tego mieszkania przed czterema laty, ty brałaś jeszcze swoją częśćkę emerytury, płaciliśmy za to mieszkanie 1,200 zł., ja zarabiałam haftem, szydełkową robotą, szyciem, czem się dało i z oszczędnością można się jeszcze było utrzymać jakoś i raz w rok nawet pójść do teatru, albo pojechać w lecie za miasto do Pruszkowa, lub Jabłonny na dzień cały. Po-

tem twoja część emerytury odpadła i było już ciężiej a teraz i mieszkanie całe 1,400 zł. kosztuje i niczego dokupić się nie można i sługa droższa i swoich robót sprzedać nie mogę, bo kaźden teraz chce zarobić, ludzie się napraszają ze wszystkim.

— Tak ludzie się napraszają ze wszystkim — powtórzył Adolf z namysłem — widzę ja to wszędzie...

Przez czas jakiś patrzyli smutnie na siebie, jak dwoje rozbitków na tonącej łodzi.

W pokoju było coraz zimniej; świeca dopaliwszy się zupełnie zajaśniała przez minutę żywszem światłem, a potem knot pogrzyżył się w stopniałej stearynie i rzucał drżące blaski, przygasając i rozjaśniając się kolejają.

Grube ciemności zalegały pokój; co chwila rozproszone, powracały znowu.

Ani brat ani siostra nie zważali na to, zapatrzeni w stokrąg grubsze ciemności własnej doli.

Wreszcie wśród ciszy panującej tutaj jakiś zegar wydzwonił donośnie drugą godzinę.

Felicya usłyszała to i zerwała się z miejsca.

— Już strasznie późno — zawołała — a ty musisz jutro wstać rano.

W milczeniu, nie zapalając światła, ażeby nie obudzić matki, wsunęła się do sypialnego pokoju; stąpała na palcach, rozebrała się bez najlżejszego szmeru i drżąc z zimna położyła się na sofce, która służyła jej za łóżko.

Usnąć jednak nie mogła; myślała o wszystkim o czem mówiła z bratem: o tej nędzy domowej, którą napróżno starała się całymi siłami usunąć lub zmniejszyć, o tym wakansie otwierającym się w jego biurze i o tem czy brat etat dostanie i wreszcie o tej dziewczynie, którą on

nazywał ptaszyną swoją. Nie potrzebowała się pytać, kto to taki, znała dobrze czarnooką, czarnobrewą Marynię; ona zawsze śpiewała jak istna ptaszyna, siedząc u okna; piosnka i uśmiech nie schodziły z jej ust koralowych. Kiedy spoglądała na przechodzących, w źrenicach jej zapalały się figlarne iskierki, migotały one złotem i rubinem, ale kiedy patrzyła na Adolfa, to źrenice te nabierały słodczy niepojętej, były w nich łzy, pocałunki, obietnice i całe serce szesnastoletnie. Drobna i zwinna jak myszka, miała szybkie nóżki i zręczne paluszki. Jednym tchem zbiegała z trzeciego piętra na dziedziniec i równie szybko wlatywała na górę; każda robota paliła jej się w rękę, a chociaż była ubogą sierotą i nosiła najskromniejsze tkaniny, perkalikowa sukienka ubierała ją lepiej, niż niejedną jedwabie i aksamity, a czarne warkocze zdobiły pyszną koroną jej główkę, uginającą się pod ich ciężarem. Jakżeż tu było Maryni nie kochać. To też Adolf kochał ją jak szalony. Ale cóż było po jego miłości, kiedy nie mógł ani się z nią ożenić, ani nawet ulżyć jej doli, choć dola ta była twardą i trzeba było bardzo mężnego serca, albo złotej promiennej młodości, by znieść ją z uśmiechem i piosnką, jak to czyniła Marynia.

Była ona na opiece u niemających krewnych, którzy mieli dzieci kilkoro a trudnili się krawiectwem. Marynia musiała i dzieci doglądać i kucharce pomódz i kuzynce posłużyć i szyć a jeszcze w dodatku nieraz miała wymówkę i przykre słowo.

Panna Felicya myślała o bracie i jego kochaniu, a może myślała i o czem innem jeszcze, chociaż czuła dobrze, iż to daremnie.

Ale kto myśl zatrzymać potrafi, kto zbada o czem

przemarzy dziewicza głowa w nocy bezsennej, szczególnie kiedy rzeczywistość wszystko zostawia marzeniu, kiedy życie jest gorzkie, nędzne, bez miłości i szczęścia, a serce gwałtowne.

X Felicya nie należała do istot spokojnych, zrezygnowanych, przyjmujących z pochyloną głową pociski losu. Nie uzdolniona do walki, określona nieprzebytem kołeni ciasnych pojęć, powszednich myśli, konwencyonalnych wyobrażeń, wychowana w zupełnej nieznajomości horyzontów myśli, które są znamieniem dziewiętnastego wieku, posiadała jednak gorące serce i gwałtowne uczucia. Ale te były dla niej tylko narzędziem męki, rozбивały się w pustkowiu jej życia, daremnie szukając sobie ujścia.

Piękna, nie skrępowana codzienną nędzą i troską, jaką nędza wyradza, Felicya byłaby zapewne kochaną i kochałaby nawzajem; stałaby się jedną z tych żon, co to nie tylko gotowe są podzielić z mężem dobrą i złą dolę, co w potrzebie zasłaniać go będą pierśią własną od pocisków losu, ale które nawet odtrącone, zdradzone, sponiewierane, pomimo to kochać nie przestają i jak pies wierny przyjmują z ukochanej ręki zarówno pieszczoty, jak razy — bez skargi. Byłaby poświęconą matką, jak lwica, broniącą dzieci swoich.

Ale ona była nieładna, nieszczęśliwa, nie uzdolniona do niczego, nie nauczona nawet myśleć, ani rozumować. Wiedziała, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mogła się spodziewać zwykłej doli niewieściej, że miłość w marzeniu jedynie uśmiechnąć się do niej mogła. Więc marzyła, jak marzyć umieją wydziedziczeni — bez nadziei. Czy tylko bez nadziei?...

Znajdźcie człowieka, coby był jej pozbawiony, bez

ślądu żadnego, bez iskiej, a szczególnie znajdźcie taką kobietę. Kobiety czasem wierzą w niepodobieństwo, wierzą na' przekór rozumowi. I dziwić się temu nie można. Zamknięte są przed nimi wszystkie niemal drogi działania. A czemś koniecznie żyć trzeba.

Nazajutrz, pomimo nocy bezsennej, panna Felicya wstała rano jak zwykle. Trzeba było przygotować dla brata śniadanie, a w tem nie pozwalała się nigdy wyręczać. Sama zrobiła kawę na naftowej maszynce, zagotowała śmietankę, a ponieważ paliło się w jedynym piecu, który ogrzewał salon i sypialnię zarazem, przyrządzała mu tam grzanki z bułki.

Ranek, była to najpracowitsza i najprzykrzejsza godzina dnia w małym mieszkaniu. Zosia naprzód paliła w piecu, przynosiła wodę, stawiała ją w kuchni i szła na miasto z koszykiem. Toaleta Adolfa odbywała się w ciemnym przedpokoju, panna Felicya tymczasem wносиła pościel jego do sypialni, porządkowała salon, przygotowywała śniadanie, znów narzucając na stół pomarańczową serwetę.

Przy ostrem świetle poranka, przedmioty rozwyrażały się i ukazywały widoczne rany, jakie im czas zadał.

Politura na meblach w wielu miejscach była starta, a nawet niespożyta tkanina, pokrywająca kanapy i krzesła, gdzieś na rogach odsłaniała wnętrza mebli; rudawe wnętrza wydobywało się też z pod lśniącej czarnością i wyrabianej włosienicy.

Obicie ścian także było zbrukane; wystąpiły na niem plamy, pasy i spłowienia, świadczące, iż nie odmieniano go od lat wielu. Koło okien znać było ślady wilgoci. Okna te nie wielkie, wychodziły na dziedzińczyk, wążki jak ko-

rytarz; widać było przez nie jedynie prostopadłą, ślepa ścianę przyległego domu, przewyższającą wysokość oficyny, w której znajdowało się mieszkanie rodziny Słońskich.

Ściana ta, pociągnięta wapnem i wystawiona na wschód, nabierała rano w promieniach słońca rażącego koloru i rzucała przykre światło, które odbijało się w przeciwległych mieszkaniach. Tylko kanarki zbudzone ze snu, ulubione ptaki pani Słońskiej, świegotały zapalczywie przefruwając z pręcika na pręcik.

Były to jedyne głosy odzywające się tutaj. Adolf blady, kaszlący, zmęczony, pił kawę, rozmyślając o wakansie w biurze, o protekcyi, której trzeba mu było szukać, o biedzie domowej i o czarnych oczkach Maryni; Felicya krzątała się po pokoju zapatrzona w brata, dla którego miłość promieniała w jej oczach i stroiła go we wszystkie wdzięki, jakich nie posiadał. Niepokój malował się w jej oczach. Chwilami zatrzymywała się przy nim, pochylała się nad jego ramieniem, jak gdyby chciała mu coś powiedzieć; przypomnieć ten etat, o którym wczoraj mówili, naglić do podwojenia usiłowań, dodać mu energii... Ale skoro spojrzała w jego oczy, umilkła nagle... Lękała się sprawić mu przykrość, zakłócić ten pozorny spokój z jakim spożywał ranny posiłek. Lękała się także być usłyszaną przez matkę, która ubierała się w drugim pokoju i lada chwila do salonu wejść mogła. Zresztą na cóż przypominać mu miała to, o czem on sam pamiętać musiał.

Czuła przecież chęć konieczną dodania jakiej podniety tej znużonej, apatycznej naturze; nie dowierzała jego usiłowaniom. Przychodziły jej myśli różne, tworzyła kombinacye wymarzone, które rozbijając się musiały o jej nieznaną znajomość stosunków życiowych. Gdy wychodził, wybiegła

za nim do przedpokoju, a w czasie kiedy kładł paltot, szepnęła nieśmiało:

— Adolfie...

Był już na wychodnem, zatrzymał się.

— Czego chcesz? — spytał z pewnym niepokojem, bo jak ludzie przywykli do rozmaitych przykrości życia, lękał się wszystkiego, co wychodziło po nad przyjęty obyczaj.

— To nic! — zawołała, rozumiejąc ten odcień — chciałam tylko... Adolfie, powiedz mi, wszak ty dostaniesz ten etat?..

Wzruszył ramionami z nieukontentowaniem i zdziwieniem.

— Felo — wyrzekł — dzieckę z ciebie. Coż ja mogę ci odpowiedzieć?

Rozumiała to dobrze; to, co czyniła, było zupełnie bezużyteczne, a jednak powstrzymać się nie mogła. Lękała się o skutek zabiegów brata, ale nie było w jej mocy zmienić właściwości jego charakteru lub wlać w niego energię, wyrachowanie, szybkość kombinacyi, których nie posiadał.

— Prawda — szepnęła pomieszana. — Ja tylko chciałam ci przypomnieć... prosić cię... Och! Adolfie, gdybyś ty raz dostał etat, choćby najmniejszy, jakże bylibyśmy wszyscy szczęśliwi!

Z temi słowami rzuciła mu się na szyję z takim ruchem, jakby rzecz ta zależała od niego, a ona prosiła go, by po nią sięgnął.

Uściskał ją z pewną niecierpliwością, nie odpowiedział nic i wyszedł.

Ona pozostała przez chwilę w przedpokoju zatopiona

w kombinacjach różnych względem nadziei brata i protekcyi, potrzebnej mu od tej chwili. Dopiero gdy kroki jego, słabnąc coraz bardziej, zginęły w oddali, przyszło jej na myśl pełno praktycznych rad i wskazówek, których trzeba mu było udzielić.

Chciała biedz za nim, powiedziec mu coś... Wyjrzała nawet przez okno kuchenne... Wołała go. Ale Adolf zapuszczał się właśnie w ciemny korytarz głównego korpusu kamienicy, zastępujący bramę wjazdową, której dom ten, jak wiele sąsiednich, nie posiadał.

Nie usłyszał więc jej głosu...

Wówczas, z gniewu na samą siebie, uderzyła się ręką po czole.

— Że też ja mogłam nie pamiętać o tem — szepnęła.

Przyszło jej na myśl dogonić go na ulicy, zanim dojdzie do biura, by udzielić mu rad, które przysły jej nagle do głowy.

Ale panna Felicya była nieubrana, a za nic w świecie nie byłaby się pokazała na mieście w chustce na głowie; zanimby zaś uczesała się, włożyła kapelusz, woalkę, okrycie, brat byłby w biurze od dawna.

Nie rada z siebie, powróciła do salonu, gdzie właśnie wchodziła matka.

Pani Słońska przybrana była, nawet o tej godzinie, z pewną elegancją; czepeczek jej, kołnierzyk, mankietki, były śnieżnej białości; delikatna rączka, na której nie znać było pracy żadnej, trzymała nieodstępny papierosa.

— Adolf już poszedł? — zapytała, siadając na swoim zwykłym miejscu i gotując się z pewnem zadowoleniem do wypicia kawy, którą nad wszystko lubiła.

Felicja zamiast odpowiedzi skinęła tylko głową i postawiła przed matką garnuszki z kawą i śmietanką. Ta piła, grymasząc, jak to prawie co rano miało miejsce. To kawa nie była dość mocną, to śmietanka dość gęstą, to znowu jedna lub druga nie była gorącą — słowem, codziennie prawie zdarzało się coś do przygany.

Zwykle Felicja przyjmowała te uwagi z pewną niecierpliwością, dziś nie odpowiadała na nie wcale. Myśl jej pracowała nad czem innym.

Zwykłą także rozmową poranną matki z córką było opowiadanie snów. Sen — marzenie każde — jest życiem tych, którzy innego nie znają. Dnia tego jednak pani Słońska daremnie pytała o sny córki, ta zbyła ją krótko, mówiąc, że nie śniło jej się nic woale.

Kiedy jednak sama zaczęła opowiadać, jak we śnie czesała długie siwe włosy, Felicja zwróciła na to uwagę. Wiadomo bowiem, że według senników, siwe włosy stanowią pomyślną wróżbę, są symbolem bogactwa. Pani Słońska wyciągnęła ztąd wniosek, iż niezawodnie wygra na loteryi; wyjęła więc z szuflady komody piątą część losu, który trzymała na wspólnkę z kilku innymi osobami, a chociaż numer jego znała na pamięć, przypatrywała mu się czas jakiś z przyjemnością, jakby widziała w nim, niby w magicznem zwierciadle, ziszczenie wszystkich swych marzeń.

Felicja, jakkolwiek nie miała bezwarunkowej wiary w sny, jaką odznaczała się jej matka, wzięła przecież śen ten za wróżbę pomyślną, ale nie spuściła się na nią. Pałił ją niepokój, żądza działania i uczynienia czegoś bądź ze swojej strony.

To też nie czekając, aż skończy się śniadanie, ubierać się zaczęła z gorączkowym pośpiechem.

— Gdzież ty idziesz? — spytała pani Słońska, która nie lubiła sama zostawać w domu.

— Do kościoła — odparła.

— Przecież to dziś nie święto żadne?

— To nic, chciałabym się pomodlić...

A potem dodała po chwili, nie chcąc skłamać ani też wszystkiego powiedzieć:

• — Za pomyślność Adolfa.

Matka nie mogła jej się sprzeciwić.

— Idź! idź! — wyrzekła — pomódl się też i o to, bym na loteryi wygrała...

Felicya skinęła głową.

Już była na progu, gdy matka zawołała:

— A pamiętaj, idź ostrożnie, uważaj, żeby cię broń Boże przypadek jaki nie spotkał.

— Dobrze, dobrze mamo.

— Pamiętaj, ja będę niespokojną.

Felicya nie słuchała już więcej. Do takich przestróg była przyzwyczajoną, nudziły ją.

Wybiegła więc z mieszkania i zeszła ze schodów jednym tchem. Zatrzymała się dopiero na dole. Pogoda listopadowa była piękna, słońce wydobyło się właśnie z przysłaniających je mgieł porannych i zabarwiło różowo przeciwległą ścianę.

W podobny dzień na polach rosa zamarzłem srebrem przyobleka łąny zbóż, trawniki, krzewy ogrodów i kobierzec liści, zaścielających ziemię. W ciasnym jednak dziedzińcu kamienicy na ulicy Freta nie było ani listka, ani źdźbła trawki, coby widok ten przypominał. Tylko kamienie, obmarznięte gdzieśgdzie, tajały od nóg przechodniów,

które wydeptały po nich czarne ścieżki, wiodące do mieszkań, do pompy i ku wchodowej sieni.

Panna Felicya odetchnęła z przyjemnością świeżem, chłodnem powietrzem, jakby czerpała w niem orzeźwienie. Otuliła się czarnym syberynowym płaszczykiem, przebiegła szybkim krokiem dziedziniec, wązki, ciemny korytarz, łączący go z ulicą i znalazła się na chodniku.

W tej dzielnicy miasta, zamieszkałej najwięcej przez pracującą ludność, ruch zaczyna się wcześniej, to też było tutaj rojno i tłumnie, ale nie owym tłumem strojnym, próżniaczym, spacerującym na Krakowskim-Przedmieściu, na Senatorskiej lub Miodowej ulicy, co to idzie zwolna, rozgląda się wkoło, zatrzymuje przed wystawami sklepów. Ludzie tutaj biegli, każdy w swoją stronę, potrącając się i nie zważając na siebie, spiesząc do zatrudnień lub interesów.

Panna Felicya przesuwiała się wśród nich chodnikiem, aż do kościoła Dominikanów. Msza wychodziła przy jednym z bocznych ołtarzy; uklękła i zaczęła modlić się gorąco. Modlitwa sprawiała jej ulgę i przyjemność, budziła ufność.

Niedaleko od miejsca gdzie klęczała, były drzwi od zakrystyi; widziała ludzi wchodzących i wychodzących z niej. Pragnęła bardzo dać na mszę i prosić o odprawienie nabożeństwa na intencję ziszczenia nadziei, ale niestety ubóstwo domowe nie pozwalało jej na to... Sama byłaby sobie z rozkoszą odmówiła przez dni parę obiadu, lub siedziała w nieopalonym pokoju, byle módz mszę zakupić, ale tu nie chodziło o nią samą, a matce i bratu nic już uszczuplić nie mogła.

Za to, gdyby modły jej zostały wysłuchane, ślubo-

wała uroczyście odprawić nabożeństwo dziękczynne. To jednak nie uczyniło zadość tej potrzebie działania, temu pragnieniu przyczynienia się czemkolwiek do otrzymania dobrego rezultatu, które ją paliło. Przyszło jej na myśl, iż mogła zadać sobie jakie umartwienie i ofiarować je na intencję pomyślnego skutku zabiegów brata. Postanowiła więc dzień ten przesuszyc o chlebie i wodzie, a ofiara była tem wyższą, iż wychodząc z domu zapomniała o śniadaniu; głód zaostrozony rannem powietrzem, zaczynał jej dokuczać.

Głód sprawiał jej rodzaj bolesnej rozkoszy; pragnęła okupić jaką ofiarą pomyślność brata i rada była, że cośkolwiek ucierpiała z tego powodu. Trochę spokojniejsza wyszła z kościoła. Wierzyła, iż ofiarą swoją dopomogła mu. Czy jednak było to wszystko? Czy nie zdołałaby nic więcej uczynić? — namyślała się nad tem, wychodząc z kościoła. Po głowie snuły jej się różne myśli i plany. A gdyby też ona sama poszła do zwierzchnika, od którego zależała nominacya Adolfa i przemówiła za nim? Choć mało znała świat i stosunki ludzkie, rozumiała jednak dobrze niedorzeczność tego zamiaru. Zwierzchnika tego nie znała zupełnie, zaledwie wiedziała jego nazwisko. Czy nie zaszkodziłaby bratu, zamiast pomódz? A przytem coby ten zwierzchnik mógł o niej pomyśleć?..

Na samo to przypuszczenie rumieniec występował jej twarz. Myśl jednak, raz puszczone podobnym torem biegła dalej... Czyby nie mogła zaprotegować brata zapomocą trzeciej osoby? Zdawało jej się, iż gdyby znaniem było położenie Adolfa, on niezawodnie dostałby pożądaną posadę. O zdolnościach jego nie wątpiła ani na chwilę. Niestety... nie znała nikogo, prawie nikogo...

Tak myśląc, szła jednak prosto przed siebie, jakgdyby miała cel jaki. Może tylko chciała użyć świeżego powietrza?.. Dość, że z Długiej ulicy skręciła na Miodową, a ztamtąd przeszła na Krakowskie-Przedmieście. Nie nęciły jej jednak wystawy sklepowe, nie zatrzymała się przed żadną z nich; szła, zwracając daleko więcej uwagi na ludzi, niż na martwe przedmioty.

Miała wzrok wyborny; pomimo woalki małe jej oczy dostrzegały z niezmiernej odległości przedmioty, to też nie potrzebowała podnosić zrenic na przechodzących, rozpoznawała ich, zanim się do niej zbliżyli. Długi czas wstok jej obojętnie błąkał się pomiędzy nimi, aż wreszcie, dochodząc już do starej poczty, zobaczyła widać kogoś, co ją zainteresował, bo twarz jej oblała się szkarłatem i pomieszanie jakieś odmalowało się wyraźnie w całej jej postawie. Trwało to jednak krótko; odzyskała panowanie nad sobą, a gdy zrównała się z idącym naprzeciwko młodym człowiekiem, który złożył jej uprzejmy ukłon, już wszystkie te oznaki wzruszenia minęły.

Młody człowiek, który był ich sprawcą, nie zdawał się ani ich podzielać, ani podejrzewać nawet. Szedł spieszonym krokiem i gotował się minąć Felicję, gdy ta oddając mu ukłon, przystanąła, tak widocznie pragnąc zawiazać rozmowę, iż młody człowiek musiał zatrzymać się także.

— Ah! panie Konradzie — zawołała — jak to dobrze, że pana spotykam...

— Czy, broń Boże, kto chory u państwa? — odparł zagadniony, zdradzając tym wykrzyknikiem swoje lekarskie powołanie.

— Nie, nie — podchwyciła pospiesznie — ale potrzebowałam z panem mówić. Jakiż to traf szczęśliwy!

Trzeba przyznać, że w każdym razie panna Felicya dopomagała trafowi, albowiem doktor miał swoją godzinę w lecznicy w domu Roeslera, a ona godzinę tę znała, jak znała drogę, którądy iść mu wypadało, gdyż mieszkał na Nowym-Świecie.

Nie wiadomo, czy przyszło mu to, lub nie przyszło na myśl.

— Cóż pani rozkaże? — pytał, widząc, że Felicya nie spieszy się z wypowiedzeniem tego, czego żądała.

Stała ona zmieszana, bezwiednie może zastuchana w dźwięk jego głosu.

— Panie Konradzie — zaczęła wreszcie — pan masz wielu znajomych w mieście, a my... my nie znamy prawie nikogo...

Umilkła i spoglądała w twarz jego uśmiechniętą przyjaźnie, ale zdradzającą pewien odcień zniecierpliwienia.

— Pan się może śpieszy? — spytała.

— Rzeczywiście, pani, o jedenastej mam być w lecznicy.

Było już po jedenastej.

— Powiem panu w dwóch słowach o co chodzi. Wiem, że pan jesteś naszym przyjacielem, dałeś tego dowody...

Ale wypowiedziawszy to, nie wiedziała już, jak ciągnąć dalej, ani czego właściwie żądała, tembardziej, że młody człowiek czekał dalszych wyjaśnień, nie zdając się niczego domyślać.

Położenie stawało się z każdą chwilą kłopotliwszem.

— Panie Konradzie — zaczęła znowu cała zarumieniona — czy wiesz pan, że jest wakans w biurze Adolfa...

Doktor spoglądał na nią z wzrastającym zdziwieniem.

— Nie pani — odparł — nie wiedziałem tego.

— Prawda... zkażdzebyś pan mógł wiedzieć... ja tylko mówię to, bo myślałam... sądziłam...

Oczekiwała widocznie, by odgadł, o czym myślała, ale gdy on tego nie czynił, dodała gwałtownie:

— Miałam nadzieję, że pan dopomóż mi możesz.

Wypowiedziawszy to, chciała spojrzeć mu w oczy, ale coś niepojętego powstrzymało ją, zmuszało do spuszczenia powiek, rumieniło twarz i razem cisnęło, nie wiedzieć czemu, łzy do oczów.

Przez chwilę oczekiwała odpowiedzi, choć w uszach czuła szum krwi wzburzonej; wreszcie usłyszała głos jego, a w tym głosie wyraz zdziwienia.

— A to jakim sposobem?

Naraz uczuła smutek i zawstydenie wielkie i zaledwie zdołała wypowiedzieć:

— Myślałam, że pan znasz kogo w jego biurze.

— Nie pani, ale choćbym znał nawet...

— Prawda — pochwyciła z odcieniem goryczy — prawda, cóż to pana obchodzi.

— Ależ nie — zawołał — obchodzi mnie bardzo; z panią i Adolfem znamy się przecież od dzieciństwa... tylko nie pojmuję w czym tutaj pożytecznym być mogę?

Spojrzała na niego błędnymi oczami, jakby nie rozumiała dobrze tej prostej odpowiedzi, potem zastanowiła się widać nad dziwacznością swego postępowania i próbowała je wytłumaczyć, bo wyrzekła szybko, starając się zapanować nad sobą:

— Daruj mi pan, panie Konrądzie, myślałam, że doktor ma wszystkie drzwi otwarte i że słowo jego znaczy wiele, a dla nas kwestya etatu Adolfa jest tak ważną, iż nie wiedząc do kogo się udać, udałam się do pana. Biedny Adolf, jemu tak potrzeba choć trochę lepszej doli, on...

Chciała się rozwodzić dalej nad losem brata, pomówić o nim długo, obszernie, może dlatego, iż czuła potrzebę wywnętrzenia się, może po prostu, z powodu, iż tym sposobem przedłuża rozmowę z Konradem. Ale on się spieszył — i widząc, że niema mu nic innego do powiedzenia, przerwał:

— Przykro mi, że państwo jesteście w kłopotcie.

Wypowiedziawszy ten zdawkowy frazes, skłonił się i biegł dalej do lecznicy.

Felicya wstrzymywać go nie mogła. Stała nieruchoma na chodniku, mimowolnie obracając się za nim, jak kwiat za promieniem słońca. Nie uzyskała nic, nawet nadziei, ani obietnicy żadnej, a jednak było jej w tej chwili tak lekko, jakby posiadała wszystko, czego tylko pragnęła. Pan Konrad ani jednym słówkiem nie przekroczył granic najzwyczajniejszej grzeczności, mówił z nią nawet ze źle ukrywaną niecierpliwością, pomimo to, parę słów z nim zamienionych, rozjaśniło jej myśl i rozweseliło serce. Spoglądała na świat innemi oczyma. Wszystko wydawało jej się pięknem w około, czuła rozkosz życia, jak gdyby to życie chowało dla niej dobrodziejstwa jakie.

Szła powolnym krokiem w kierunku, w którym oddalił się młody lekarz, zapatrzona w jego postać, ginącą wśród przechodniów, a usta jej półgłosem powtarzały machinalnie ostatnie wyrazy, jakie wymówił przy pożegnaniu: „Przykro mi, że państwo jesteście w kłopotcie“ Czy-

niąc to nawet, naginała głos swój do jego głosu, naśladowała dźwięk mowy i rozkoszowała się tym dźwiękiem, rozbudzającym w jej wyobraźni jakieś niepojęte marzenia.

Serce miała przepełnione wdzięcznością za te proste, nic nie znaczące słowa.

— Jaki on dobry — mówiła sama do siebie — jaki poczciwy, jaki szlachetny!

I uśmiechała się wesoło, jak ktoś, kogo spotkało bardzo pomyślne zdarzenie.

Powracała powoli do domu, idąc śladami jego kroków. Przechodząc przez dom Roeslera, zatrzymała się chwilę przymknęła oczy i odetchnęła głęboko. On był tutaj. Czytała napis wywieszony na drzwiach lecznicy, czytała go długo, jakby oderwać się od niego nie mogła; widziała, jak ludzie szukający porady wchodzili i wychodzili i zazdrościła im niemal choroby, zazdrościła im przynajmniej tej chwili, w której stali wobec niego, słyszeli jego głos, widzieli spojrzenie.

Felicya nie zdawała sobie wyraźnie sprawy z psychicznego procesu, jaki się w niej odbywał, bo w takim razie byłaby starała się zapanować nad uczuciami swemi i nie poddawała im się tak bez kontroli. Czuła tylko, iż myśl jej znękana wpadała w błogi stan ukojenia, ciszy, iż ogarniały ją marzenia, jak sen powiewne; nie miała siły z nich się wyrwać i nie badała ich istoty.

Przez czas, gdy stała tutaj wpatrzona w szare okna lecznicy, zapomniała o nędzy domowej, o kłopotach codziennych i o wakansie w biurze Adolfa.

— Czy pani na kogo czeka? — zapytał ją jakiś mężczyzna, doktor zapewne, wychodzący z lecznicy.

Te słowa oprzytomniły ją nagle. Uczuła trwogę wielką,

by nie spotkał ją kto znajomy, a nadewszystko by Konrad wychodząc nie zobaczył jej tutaj na progu.

Odpowiedziała coś niezrozumiałego, zarumieniała się i odeszła śpiesznie.

Znalezienie się jej nie zwróciło uwagi; wiele kobiet przychodzi do lecznicy po poradę i później wejść nie śmie, wstydząc się bądź to cierpień swoich, bądź ubóstwa, które nie pozwala im sprowadzić do siebie doktora. Odeszła więc, nie wstrzymywana i nie badana. Przecież zdwajała kroku, jakby ją kto gonił i dopiero odetchnęła swobodniej, znalazłszy się na Miodowej ulicy.

Tutaj zatrzymała się zdyszana, kiedy nagle usłyszała koło siebie głos jakiś.

— Jak się pani ma?

Naprzeciwko niej stała mała, wywiedła kobieta, ubrana w ciemną suknię, w ciemny płaszczyk i ciemny kapelusz trochę fantastycznego kształtu, nad którym wznosiło się imponujące czarne pióro z jakimś wojowniczym zacięciem. Twarz ocieniona tym kapeluszem, miała wyraźną charakterystykę. Kobieta, do której należała, od dawna zostawiła młodość za sobą; świadczyła o tem wyraźnie ciemna, prawie oliwkowa cera pełna zmarszczek. Nie była jednak starą jeszcze, o tem znów świadczyła żywość ruchów, blask ciemno-piwnych oczów, które biegały wkoło i przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot, w ten sposób, że nic uwagi ich ująć nie mogło, a wreszcie włosy kruczej czarności. Prawdopodobnie ta kobieta, nawet w szesnastu latach, pęknię nie była. Z pomiędzy gęstych, szeroko zarysowanych brwi, wyrastał nos krogulczy, cienki, śpiczasto zakończony i spuszczał się nad wążkami wargami, którym nie brakowało dowcipu. Zdawało się tkwić na nich

szyderstwo połączone z dobroduszością, a błyszczące oczy okrążone zmarszczkami, śmiały się i migotały, osadzone pod długą powieką.

Pretensyi żadnej nie było w stroju ani wyrazie twarzy maleńkiej kobietki. Nie dbała ona widać ani trochę o wrażenie, jakie na przechodniach uczynić może; chodziło jej tylko o to, co jej samej mogło być dogodnem lub przyjemnem, bo na całej powierzchowności miała wypisane jakieś szydercze lekceważenie świata i jego przepisów, jak gdyby wyraźnie mówiła: „Co mi tam“. W jednej ręce, obleczonej czarną, starą rękawiczką o rozprutych palcach, pomimo pięknej pogody, niosła zrudziały parasol i wywijała nim energicznie jak żołnierz bronią; w drugiej miała obdartą książkę do nabożeństwa. Nie wyglądała jednak wcale na osobę oddaną wyłącznie pobożnym praktykom, przeciwnie, można było przysiąc, że kościół traktowała jak ludzi — po swojemu. Było w niej coś samoistnego, niezdolnego nagiąć się do drobiazgowych praktyk i biernego posłuszeństwa, jakkolwiek sama siebie miała za bardzo pobożną i bardzo prawowierną.

Felicya poznała od razu pannę Wiktoryę Kordulską, którą znało całe Stare-Miasto, a która miała sobie za święty obowiązek nietylko znać wszystkich mieszkańców swojej dzielnicy i wszystkie wybitne osobistości Warszawy, ale nawet wiedzieć o ich stosunkach i domowych sprawach.

Pannę Kordulską można było posądzić o dar znajdowania się naraz w kilku miejscach, lub przerzucania się z miejsca na miejsce z szybkością myśli; to pewna, że zjawiała się zawsze niespodzianie tam, gdzie zdarzył się jakibądź wypadek, gdzie był kłopot lub troska.

Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że starała im się

zaradzać, o ile to było w jej mocy. Radziła też nieustannie, dobrze czy źle, czy ją słuchano czy nie. Ale radziła.

Musiała też wiedzieć, co się u kogo działo.

Zadawała zwykle mnóstwo pytań, ale nie było w jej zwyczaju słuchać czyjejbądź odpowiedzi; wiedziała dobrze, że kto chce mieć istotne wiadomości, powinien rachować na to, co dostrzeże, nie na to, co usłyszy; pytała więc jedynie dla formy, dla zyskania swobody obserwacyi. Bystre jej, biegające oczka widziały jeszcze lepiej to co ukryć przed nią chciano, niż to, co jej pokazywano, a że przytem namiętnie mówić lubiła, bez żadnego skrupułu dogadzała temu niewinnemu gustowi, nie dając nikomu przyjsć do słowa.

I teraz spotkawszy Felicyę, zatrzymała ją bez ceremonii i zanim ta znalazła odpowiedź na jej powitanie, ciągnęła dalej:

— Pani pewno z kościoła, tak jak ja, kto z Bogiem, to i Bóg z nim, jest o co się modlić, jest, jest doprawdy.

Świdrujące spojrzenie utopiła w Felicyi, która mimowolnie spuściła wzrok przed nią, ale powtórzyła z głębokiem przejęciem:

— Och! jest!

Kordulska zaśmiała się znacząco.

— A zwłaszcza też teraz — dorzuciła szybko. — Albo to ja nie wiem, że właśnie jest wakans w biurze pana Adolfa.

— Zkądże pani wiesz? — przerwała Felicya.

— Zkąd? mniejsza! Ja wszystko wiem. Zresztą czy to tak trudno? Byłam właśnie u żony pomocnika naczelnika wydziału, której siostrzenica jest bratową mojej bratowej, to tak jakby pokrewieństwo. A ona mówi do mnie:

„Jest znowu wakans“. I śmieje się, skoro widzi, że mąż nie uważa. Mężczyźni to się zaraz wszystkiego boją.

Felicya słuchała zainteresowana niezmiernie.

— Dlaczegoż ona się śmiała — spytała — dlaczego śmiała się, kiedy mąż nie uważał? czegoż on się mógł bać?

— No! to bardzo łatwo zrozumieć!

Tymczasem wzrok Felicyi świadczył wyraźnie, iż dla niej przeciwnie było to nietylko trudno, ale niepodobna.

Więc Kordulska powtórzyła raz drugi:

— To bardzo łatwo zrozumieć. Śmiała się, bo naczelnik będzie miał znowu z tego korzyści?

— Korzyści! jakie korzyści?

Tym razem panna Kordulska okazała tak wielkie zdziwienie z powodu niedomyślności Felicyi, iż podniosła w górę nietylko rękę uzbrojoną parasolem, ale i tę w której trzymała książkę do nabożeństwa.

— No! czyż pani tego nie wie? Zwykłe korzyści jakie odnoszą się przy obsadzaniu posady. Teraz taki świat, nic darmo! Ot, niedawno Staś, wie pani! Staś, mój siostrzeniec...

Zaczęła jakąś długą historję o swoich siostrzeńcach, a miała ich kilkunastu, ale Felicya nie słuchała dalej, uderzona słowami, które były dla niej rodzajem objawienia.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła — czyż to być może!

Panna Kordulska pojęła odrazu, do czego się ten wykrzyknik stosował i mówiła dalej, teraz już z wyrazem wyższości i protekcji, jaka należy się bezwiednym od świadomych.

— A cóż pani myślała! czy to rzeczy inaczej idą na

świecie! A zkądżeby ludzie tyle wydawali w tych ciężkich czasach? Rzucają za okno... ale cudze pieniądze. A wszak to niema sukni niżej kilkuset rubli, a za łożę na teatr czy to raz płaci się tyle coby uczciwej rodzinie na trzy miesiące życia wystarczyło, a wieczór każdy kosztuje. Ho! ho! naczelnik pana Adolfa ma na kogo wydawać, żona elegancka i trzy córki dorosłe. Zkądby jemu wystarczyło? Pensyę bierze nie złą, ale ta pensya, to kropla w morzu. Przeszłej zimy na jednym balu panny miały suknie...

Rozpocynała znowu detaliczny opis tych sukien, bo wiedziała, w którym magazynie były zrobione, zkąd pochodziły kwiaty, jaki fryzyer panny czesał. Znowu jednak przerwała jej Felicya, którą to wszystko mało obchodziło; pochwyciła ona w swoje — obie ręce starej panny i pytała gorączkowo, patrząc jej w oczy:

— Ależ w takim razie...

Nie dokończyła myśli swojej, przecież Panna Kordulska domyśliła się o co chodzi. Bystre jej, świdrujące oczki zamigotały.

— A tak! tak! — wyrzekła odpowiadając na rozpaczliwy głos dźwięczący w tych kilku słowach i kiwając głową znacząco.

Była chwila ciszy, przez minutę Felicya zdawała się pognębioną. Teraz może rozumiała przyczyny niepowodzeń brata; rozumiała dlaczego inni mieli przed nim pierwszeństwo. I cóż ztąd jednak, cóż z tego, że rozumiała, pomódz mu nie była w stanie.

— Więc cóż tu poczyć? — zawołała znowu, zapominając o tem, że zwierza się tym sposobem zupełnie.

— Nie ma rady! trzeba, trzeba koniecznie jeśli chcecie coś uzyskać — mówiła panna Kordulska, robiąc gest

wymowny. — Inaczej pan Adolf dziesięć lat aplikować będzie.

Jak gdyby łuski opadły jej z powiek, Felicya przejrzała jasno; wiedziała, że panna Kordulska miała słuszność, że tak będzie niezawodnie. I w tem położeniu nie była w stanie nic uczynić. A jednak czuła, że coś uczynić musi.

— Ile? co? jak? — zapytała, składając ręce przed starą panną.

Ta jednak tego nie wiedziała dokładnie, powtórzyła tylko swój gest wymowny.

— Coś dać, ale dać trzeba.

Stara panna mówiła jeszcze coś długo, Felicya nie była w stanie jej słuchać, zajęta rozwiązaniem tego nierozwiązalnego problemu. Pomimo to Kordulska odprowadziła ją do samych drzwi domu i obiecała przyjść dowiedzieć się jaki obrót rzeczy przybiorą, chociaż nikt jej o to nie prosił.

Felicya powracała zupełnie przybita przez ciemną sień i wazki dziedzińca i tutaj spotkała Marynię, która z zarumienioną od ognia twarzą, biegła po wodę z dzbanuszką, śpiewając dzwięcznym głosem: „Kwiatki wyjawcie jej, cel duszy mej...“

Ujrawszy pannę Felicyę, Marynia ucichła nagle zastydzona i patrzyła na nią tak wyraziście ślicznymi oczyma, że Felicya uśmiechnąć się chciała. Ale blade jej usta drgały próżno, a nie mogły złożyć się do uśmiechu.

Widok Maryni sprawił jej ból wielki, przypomniał wszystkie obalone nadzieje. Stał jej w myśli Adolf, smutny, zniechęcony, kiedy pytał z wyrazem rozpacz: „Dla czego jednym wszystko się wie, a innym nic“.

Nie miała siły przemówić do Maryni i chwiejącym krokiem szła na górę, goniona niespokojnym wzrokiem dziewczyny, która nie wiedziała, czemu przypisać takie obejście sąsiadki.

Panna Felicya może w głębi duszy nie była zadowolona z wyboru brata, przecież kochała go tak bardzo, iż nigdy nie okazała tego Maryni. Teraz myślała ona o tem tylko, by wynaleźć jaki sposób zyskania nominacyi jego na wakującą posadę, a tem samem ziścić lub przynajmniej przybliżyć spełnienie marzeń młodej pary.

Weszła do mieszkania z rumieńcami gorączki na twarzy; zaraz na wstępie spotkała ubierającą się matkę.

Pani Słońska nie miała czasu dnia tego niepokoić się o córkę, ani tworzyć chorobliwych przypuszczeń o wszystkich nieszczęściach, jakie spotkać ją mogły, gdyż w tej chwili zajęta była czem innem. Słońce świecące po wielu dniach niepogody, nasunęło jej myśl przechadzki.

Chęć podobna była niezmiernie rzadką; czasem tylko zdarzały się dnie, w których pani Słońska zrywała się niespodzianie ze swej kanapki, odrzucała papierosy, przypominała sobie, że kiedyś była piękną i zdawała się gonić młodość ubiegłą.

Wówczas wydobywała dawne stroje, przykrojone do obecnej mody; za pomocą resztek kosmetyków, oszczędzanych z największą starannością, zacierała o ile to być mogło ślady czasu, wywoływała znów sztuczne rumieńce na policzki, a wtedy można było w niej poznać oryginał portretu wiszącego nad kanapą; bruzdy jej twarzy, powleczone grubą warstwą blanszu i różu, wygładzały się, a odświeżone usta przybierały znów konwencyonalny uśmiech, jaki na nich spoczywał.

W takich tylko chwilach pani Słońska wychodziła na ulicę i to wówczas, gdy miała toaletę odpowiednią swoim wyobrażeniom. Były to rzadkie dni świąteczne jej życia.

Jeżeli to była niedziela, szła do kościoła, a potem do Saskiego ogrodu, lub przechadzała się po Krakowskim-Przedmieściu i Nowym-Świecie, wszędzie tam, gdzie były tłumy. Jeżeli to był dzień powszedni, szukała także miejsc uczęszczanych. Szła zwykle z synem lub córką, chętniej z nim niż z nią, czasem z obojgiem; nie dlatego, by podzielić się z dziećmi myślami lub wrażeniami, bo na tych przechadzkach zwykle nie mówiła nic, ale milczała uśmiechniona, z oczami, które bądź to z powodu kunsztownego podmalowania, bądź podniecenia chwili — błyszczały dziwnie.

Brała które z dzieci — napróżd bo tak wypadło, a potem, że nigdy w życiu nie umiała sobie radzić sama, że lękała się, by jej nie przejechano, nie potrącono. Dlaczego chodziła na owe spacerunki wśród tłumu? Jakie myśli czy marzenia gościły wówczas w jej duszy? To zapewne było tajemnicą dla niej samej. Zrywała się jak chory z łoża boleści, czuła budzące się nagle dawne żądze i pragnienia. Ale żądze i pragnienia były bezsilne.

Daremnie chciała wyobrazić sobie, iż jest znowu piękną, szczęśliwą kobietą, jaką była dawniej. Złudzenie to trwać nie mogło. Po kilku godzinach powracała do domu wyczerpana i znużona. Zdejmowała z rodzajem niecierpliwości ubranie odświętne i w ciemnym szlafrocisku kładła się znowu na kanapie z papierosem w ustach. Tylko twarz jej, gdy się na nią patrzyło bez woalki, czyniła wrażenie maski i raziła dziwnie wśród ubożego otoczenia.

Powróciwszy z takich wycieczek, pani Słońska była

drażliwszą niż zwykle, a za każdym kłębem dymu wydobywało się z jej piersi westchnienie. Później uspakajała się się stopniowo, wpadała w zwykłą apatyę, aż znowu zbierały się w niej nowe siły, nowe pragnienia — i znów wybuchały podobnym paroksyzmem.

Dnia tego, korzystając z nieobecności córki, która, ile razy matka dobywała swoje słoiki i pędzelki, wzruszała ramionami, z wszelką swobodą umalowała sobie twarz i trzeba przyznać, robotę tę doprowadziła do pewnego arcyzmu.

Kiedy Felicya powróciła, delikatne rumieńce lekko przysypane pudrem, zastąpiły zwykłą żółtawą bladość jej cery. Dwa regularne łuki brwi ciemnych zataczały się nad oczami, usta powleczone karminem wraz z barwą młodości przybrały stosowny uśmiech, ów uśmiech bezmyślny, którego nie wykształciło życie. A gdy włożyła czarny aksamitny kapelusz, co rok starannie przerabiany, pomimo iż każdej zimy służył zaledwie kilka razy i upięta na nim czarną koronkową woalkę, to trzeba było przyznać, że strój i sztuka cudów dokazać mogą, bo wyglądała przynajmniej o dwadzieścia lat młodszą niż codziennie.

Przeglądała się też w zwierciadełku, stojącym na komodzie z widocznym zadowoleniem, zawiązując w kokieteryjny węzeł wstążki od kapelusza.

— Dobrze, żeś wróciła — odezwała się, widząc wchodzącą córkę — śliczny czas, miałam przejść się trochę...

Mówiąc to, nie spojrzała wcale na twarz Felicyi, nie dostrzegła jej zafrasowanego wyrazu, była jedynie zajęta sobą.

Felicya nic nie odpowiedziała, było jej wszystko jedno iść z matką, czy zostać w mieszkaniu, skoro czuła się zupełnie bezsilną wobec okoliczności. Siadła w milczeniu

na pierwszym krześle koło drzwi, czekając niecierpliwie, aż matka się ubierze. Pani Słońska zaś z drobiazgową akuracnością ludzi, którzy spieszyć się nie potrzebują, dla których czas nie ma wartości żadnej, a godziny są obojętne, kładła syberynowe okrycie starannie oczyszczone i strzepywała z niego mikroskopijne pyłki, jakie jeszcze dostrzedz zdołała, przyczepione do materyału.

Uczyniwszy to, dopiero wyjęła z pudełka kołnierz i zarękawek tumakowy, wcale dobrze zachowane, z których rozeszła się mocna woń piżma. Kołnierz zapięła, wsunęła z przyjemnością ręce w zarękawek, podbity fiołkowym atłasem, lubując się nawet przez rękawiczkę miękkim dotknięciem materyi. I tak ustrojona, obejrzawszy się raz jeszcze ze wszystkich stron, o ile na to pozwalały rozmiary toaletowego lusterka, rzuciła na córkę okiem pełnym tryumfu i żalości razem, jakby chciała mówić: „A co jak świetnie wyglądam jeszcze? Czy nie jestem stworzona do wszystkich zbytków życia, których mi brakuje?”

Widocznie także, wraz z odświeżonym strojem i sztucznym odmłodzeniem twarzy, myśl jej a nawet ciało nabierało rzeźwości. Wyprostowała się, a przez to zdawała się wyższą, niż zwyczajnie; krok jej stał się elastyczny tak dalece, iż nic nie zdradzało w niej istotnego wieku.

Ubrawszy się już zupełnie, zwróciła dopiero uwagę na Felicyę i doznała rzeczywistej przykrości, z powodu, iż toaleta córki, jakkolwiek czysta i przyzwoita, nie mogła iść w porównanie z jej własną. Felicya była cała czarno ubrana, gdy tymczasem fiołkowe wstążki i upięcie kapelusza, oraz fiołkowa podszewka zarękawka, nadawała coś strojnego ubiorowi matki.

Pani Słońska dnia tego, może dzięki właśnie temu

ubiorowi, była w wybornym humorze, podeszła więc do Felicyi i spojrzała na nią z czułością.

— Poczekaj, Felutko — wyrzekła — jak wygram na loteryi...

Wyraz ten: loterya — podrażnił Felicyę, szczególnie w chwili, kiedy tak ciężka troska leżała jej na głowie.

— Niech też mama raz da pokój z tą loteryą — odparła szorstko.

Ale pani Słońska nie zważała na tę przerwę i mówiła dalej:

— Zobaczysz, kupię ci taki sam kołnierz i zaręka-
wek tumakowy; niema jak tumaki, noszę je już lat dzie-
sięć a patrz, jak świeże; takie same widziałam w oknie
u futrzarza i zaszłam zapytać się, wiele kosztują. Sto ru-
bli!.. czy uwierzysz?.. sto rubli!.. bo to są tumaki bo-
rowe, nie takie zwyczajne.

Sto rubli!.. Cyfra ta zastanowiła Felicyę.

— Czy mama jest pewna — zapytała nagle — że
garnitur ten jest wart aż tyle?

— Najpewniejsza. Zresztą możesz iść i zapytać pod
teatrem wiele kosztuje, tam właśnie podobny widziałam.

Oczy Felicyi błyszcząły, przeszła jej myśl jakaś.

— Czy mama wie?.. — zawołała.

Urwała nagle; namyślała się, czy roztropnie uczyni,
idąc za pierwszym popędem.

— Cóż takiego? — rzuciła pani Słońska niedbale.

Przez ten czas znowu spoglądała w lustro i cieszyła
się sobą.

— Czy mama wie — powtórzyła Felicya już zupeł-
nie zdecydowana skutecznie pierwszy zamiar — że w biu-
rze Adolfa jest znowu wakans.

Wiadomość ta zelektryzowała kobietę, widać to było nawet na jej wymalowanej twarzy.

— Jest znowu wakans — powtórzyła. — Czy tylko pewno?

— Najpewniej. Adolf powiedział mi to wczoraj.

Nie zastanawiała się, dlaczego nie powiedziano jej tego od razu, tylko mówiła dalej:

— Dobrze, że wiem, pójdę do żony naczelnika Adolfa, przecież to moja koleżanka z pensyi, prosić ją będę, błagać...

Felicja milczała, spoglądając bystro na matkę jasnymi oczyma, jakby chciała tym sposobem przyprowadzić do porządku jej myśli i rozciągnąć nad nimi kontrolę.

I nie wiadomo, czy pod wpływem tego spojrzenia, czy własnych wspomnień, pani Słońska mówiła dalej coraz ciszej, przerywanym głosem:

— Wprawdzie prosiłam już kilkakrotnie... raz powiedziała mi, że wakansu nie było, że się omyliła...

— Mama się nie myliła, Adolf wie przecież dobrze, czy który z jego kolegów awansował.

— Raz znowu żałowała, że wcześniej nie powiedziała jej o tem, bo mąż już miejscem rozrządził; obiecała wprawdzie pamiętać o Adolfie na drugi raz, ale kiedy powiedzieliście mi o wakansie, nie dopuszczono mnie wówczas do niej. Lokaj mówił, że pani w domu niema, a ja przecież słyszałam jej głos z przedpokoju.

— Czy mama nie rozumie co to znaczy? — spytała znowu Felicja.

— Ja nie wiem; wówczas był czas szkaradny, miałam stary kapelusz, starą suknię, parasol, a wiesz, mój parasol nie jest wcale elegancki. Ale dziś...

— Tu wcale nie o mamy ubranie chodziło — wyrzekła zniecierpliwiona Felicya.

— A o cóż więc?

I oczy jej ze zdziwieniem i niepokojem spoczęły na córce.

Ta uśmiechnęła się z goryczą.

— Oto — zawołała, powstając z miejsca i zbliżając się do matki — że posady w biurze dostają się tym tylko, którzy dają sute podarunki. A mama przychodziła z próżnemi rękoma.

— Jezus Marya! — szepnęła kobieta z przestraczem.

A potem dodała po chwili z wyraźną wymówką do Felicyi:

— Zkąd ty to wiesz?.. to być nie może!

Ona nie tłumaczyła się, tylko popatrzyła przez chwilę na matkę.

— Gdybym nie wiedziała z pewnością, nie mówiłabym. Dawno myślałam, że w tem coś być musi, że Adolf siedzi ciągle na tej aplikacyi. Ludzie szeptali, nie chciałam wierzyć. Ale teraz, teraz niech mama sobie dobrze przypomni wszystko i te wizyty swoje...

Nie przeczyła więcej. Przypomniała sobie wszystko i śnać doszła do tego samego przekonania co Felicya, bo wyrzekła niepewnym głosem:

— Więc cóż my teraz uczynimy?

Była chwila ciszy. Być może, iż córka powtarzała w myśli to samo pytanie, być może, iż przyszła już do jakiej konkluzyi, którą jednak podzielić się nie uważała za stosowne.

— Cóż my uczynimy? — powtórzyła matka załamując ręce.

I znowu nie było odpowiedzi, aż wreszcie Felicja zdobyła się na nią.

— Znajdziemy czem wkupić się w łaskę pani naczelnikowej, albo Adolf nigdy nie doczeka się posady — wyrzekła stanowczo.

-- Ależ to niesprawiedliwie, to bardzo niesprawiedliwie — wołała pani Słońska.

— I cóż? czy mama dotąd nie wie, że niesprawiedliwość panuje na świecie — odparła niemal z pogardą Felicja.

W tej chwili wzburzenie wewnętrzne nadawało jej szorstkość dziwną; gniewały ją dziecinne wykrzykniki i dziecinne żale nie prowadzące do niczego, kiedy działać było potrzeba.

— A gdyby udać się do samego naczelnika — wyrzekła po chwili pani Słońska.

— Zamknęłaby mama na zawsze karierę Adolfowi lub spowodowała jego wydalenie z biura.

— Ależ my nie jesteśmy w stanie robić kosztownych prezentów.

Nie odbierając odpowiedzi na ten wykrzyknik, dała niespokojnie:

— My nie posiadamy nic, cobyśmy dać mogli.

I znów po chwili ciszy zawołała żałośnie, prawie ze skargą:

— Prawda Felutko?

Wlepiła błagalne oczy w córkę, bo uważała dobrze, iż wzrok jej utkwiony był w ten tumakowy garnitur, który ją tak szczęśliwą i dumną czynił.

— Ty przecież nie sądzisz... — szepnęła wreszcie.

Nie miała siły dokończyć zaczętej myśli.

Ale Felicya była bezlitosną dla tego błahaego żalu.

— Przeciwnie — wyrzekła twardo — zdaje mi się, gdyby mama chciała tylko...

— Ja chcę, ja chcę — wołała ze łzami w oczach pani Słońska. — Mój Boże, czegożbym ja dla Adolfa nie uczyniła!

— Tu nie chodzi o Adolfa, ale o nas wszystkich, a ja sądzę, że gdyby mama posłała ten zaręczawek i kołnierz pani naczelnikowej, a potem poszła prosić ją o protekcję dla Adolfa, tym razem protekcya byłaby skuteczną...

Pani Słońska zapewne myślała to samo; westchnęła ciężko, w milczeniu zdjęła z siebie futrzany garnitur, rozłożyła na łóżku i przyglądała mu się. Nigdy on nie wydawał jej się tak piękny, tak elegancki. Dostała go od męża w rocznicę ślubu, dziesięć lat temu. Była wówczas jeszcze młodą kobietą, a zaręczawek podszyty był jasną błękitną materją. Łączyły się z nim wspomnienia dni szczęśliwych.

— Felutko! — zawołała nagle, tknięta jakąś myślą. — Czy ty mi zaręczysz, że on tę posadę dostanie? A gdyby go ominęła?

Nie, tego zaręczyć nie mogła. Kto wie, czy to samo przypuszczenie nie nasunęło się jej także.

Przez chwilę obie kobiety spoglądały na siebie niepewne i strwożone.

— Ha! — wyrzekła wreszcie Felicya — gdyby tak było, przynajmniej nie będziemy miały sobie nic do wyrzucenia.

— Tak, nie będziemy sobie miały nic do wyrzucenia — powtórzyła powoli matka.

Potem usiadła na krześle z opuszczonemi ramionami. Smutek jej tworzył kontrast z rumieńcami twarzy, z tą

pożyczaną młodością, którą troska obecnej chwili krajała w bruzdy i fałdy.

— Mamy iść na spacer — odezwała się wreszcie Felicya. — Chodźmy.

Ale chęć spaceru odeszła panią Słońską razem ze zdjęciem tumakowego garnituru.

— Pójdziemy kiedyindziej — szepnęła.

Powoli zaczęła zdejmować z siebie okrycie, woalkę, kapelusz i chowała je we właściwe miejsca; gdy przyszło do tumakowego garnituru, nie patrząc prawie, włożyła go do pudełka i podała je Felicyi.

— Trzeba to posłać do pani naczelnikowej — wyrzekła zaledwie dosłyszalnym głosem.

Ręce jej drżały, gdy oddawała pudełko. A kiedy Felicya wyszła, ażeby spełnić to polecenie, łzy trysnęły z oczów starej kobiety i płynąc po twarzy ścierały z niej barwy lilij i róży, psując kunsztownie podmalowane powieki. Ocierała chustką splekane oczy, czyniąc jednocześnie okropne spustoszenia w swej sztucznej młodości. Ona przecież nie pamiętała o tem; czuła tylko, że opuszcza ją jeden po drugim zabytek lepszej przeszłości, że traci powoli wszystko co jej miłym było, że zapada coraz głębiej w jakąś przepaść biedy, starości, zapomnienia.

Wrażenia jej przecież głębokie nie były; z nawyknienia spojrzała w lustro i przelekła się własnego obrazu. Z westchnieniem starła do reszty owe kosztowne kosmetyki, których żałowała na codzień, zapaliła papierosa i rzuciła się na sofę, jak dziecko splekane, przekonana, iż uczyniła dla syna największe poświęcenie, na jakie zdobyć się mogła i że syn winien jej wdzięczność nieograniczoną z tego powodu.

Dziwnem przeciwieństwem został jej się żal do Felicji, która wymogła na niej to poświęcenie i nie dość, według jej zdania, miała dla niego współczucia i uznania.

— Ta dziewczyna nie ma serca! — powiedziała sama do siebie.

Fakt ten, jakkolwiek smutnym wydawałby się niejednej matce, nie wywołał przecież żadnego głębszego objawu żalu. Pani Słońska zaciągnęła się papierosem, wyrzekłszy te słowa, wróciła do zwykłego przedmiotu marzeń i zaczęła wyobrażać sobie wszystko, co zrobi, jak wygra na loteryi. Pani Słońska stawiała sobie możliwe cyfry i stosownie do nich prowadziła ściśle obliczenia. Nieraz, gdy suma nie wystarczała na rozmaite użytki, cały dzień biła się z myślami, jak gdyby przed skutecznieniem na prawdę ważnego sprawunku. Loterya stanowiła dla niej wątek marzeń nigdy nie wyczerpany.

Naczelnik biura, w którym pracował Adolf, pan Konstanty Bajorski, zajmował z powodu wysokiego stanowiska świetny apartament w gmachu rządowym. Apartament ten, gustem i staraniem żony jego pani Zuzanny, a rządowymi pieniędzmi, przybrany był wspaniale, tak, iż od razu wchodząc do obszernego przedpokoju, zdobnego w kwiaty i zwierciadła, każdy mógł poznać, że to nie była siedziba byle jakiej zwyczajnej osobistości.

Pan Bajorski przecież, gdy go kto spotkał na ulicy, w towarzystwie, lub na jakimś neutralnym gruncie, wyglądał zupełnie na zwyczajnego człowieka. Mały, chudy, siwy, z krótko przystrzyżonymi jak szczotka włosami i wielkim nosem, uderzyć mógł tylko wyrazem niezadowolenia i cierpkości, wrytym zwykle na jego twarzy. W oczach jego, szczególnie wóczas gdy był sam lub sądził, że nikt

nie zwraca na niego uwagi, malował się nieraz wyraz dojmującego bólu, dla tego może zasłaniał oczy ciemnymi okularami, chociaż wzrok miał wyborny i przy pracy zwykle zdejmował okulary lub podnosił je na czoło.

Prawdziwie trudno było odgadnąć, dla czego pan Bajorski był niezadowolony, wszakże wszystko wiodło mu się znakomicie; miał żonę piękną jeszcze, pomimo, iż zbliżała się do pięćdziesiątki, oddaną zupełnie rodzinie i trzy dorodne córki, słynące z wdzięków i elegancyi.

W biurze, w domu, a szczególnie w obec swej małżonki, pan Bajorski nabierał powagi właściwej swemu położeniu i nie wyglądał zgoła na zwyczajnego człowieka. Wówczas głowa jego przechylała się w tył, w charakterystyczny sposób, dolna warga odymała się hardo, broda wsuwała się majestatycznie pomiędzy sztywne kołnierzyki, a kąciki ust na dół opuszczone, zdawały się grozić tym, którzyby przystąpili do niego z jaką prośbą, lub dopuścili się jakiej bądź poufałości.

Widocznie pan Bajorski nie zapominał, że był wysokim urzędnikiem, który własną pracą i zdolnością dobił się obecnego położenia, i chciał, by o tem pamiętali inni. Mówiono po cichu, że sam przebywał niegdyś ciężkie koleje, ale to działo się bardzo dawno temu. Od czasu jak się ożenił z panią Zuzanną, wszystko mu się wiodło, awansował coraz wyżej, aż dostał się na dzisiejszą posadę.

Prawda, że pani Zuzanna była niepospolitą kobietą; rządziła domem, dziećmi, mężem, a nawet — jak twierdzili złośliwi — i jego biurem, w sposób absolutny bez żadnego uwzględnienia konstytucyjnych dążeń wieku, które wobec niej i w rzeczach nad któremi władzę swoją rozciągała, nigdy nie ujawniały się niczem.

Miała ona sposób mówienia dobitny i treściwy, który równał się rozkazowi i nie dopuszczał nawet cienia opozycji. Zwykle też słuchaną była natychmiast, zanim komukolwiek przyszło na myśl jej rozkazu nie wypełnić. Służba, domownicy, ba! mąż sam, drżeli przed nią, chociaż nie miała zwyczaju podnosić nigdy głosu, ale głos ten jasny i czysty posiadał dziwną doniosłość. A kiedy wymawiała z właściwym sobie przyciskiem „Konstanty“, to pan Bajorski usłyszał ją, choćby niewiem jaka wrzawa panowała wkoło, choćby był w trzecim pokoju — i przybiegał stawić się na rozkaz i po rozkazy.

Pani Zuzanna jednak postępowała, jak dobrzy samowładcy, którzy nie nadużywają swojej potęgi i zadawalniają się jej faktycznem istnieniem. Byle wszystko szło po jej myśli, nie dbała o to, czy przyznawano jej prawo bytu.

Wysokiego wzrostu, stosownej tuszy, nosiła na płaskim i pogodnem czole stanowczy wyraz. Jak nie było żadnego wahania w jej postępowaniu, tak nie było go i w myśli. Panowała prawem swej natury bezspornie.

Panowanie jej było tego rodzaju, iż szło na użytek materialny domu i męża. Pani naczelnikowa utrzymywała dom na świetnej stopie, na co zresztą pozwalała wysoka pensya męża, oprócz tego jednak wydawała wieczory, robiła wycieczki za granicę, ubierała siebie i córki w najlepszych magazynach, bywała na wszystkich modnych przedstawieniach, miała łożę z gabinetem na włoską operę, a były to już wydatki, na które pensya męża z trudnością wystarczyć mogła. Wystarczyła jednak zupełnie w ręku pani Zuzanny, a nawet musiały z niej pozostawać pewne oszczędności, bo kupiła naprzód willę w sąsiedztwie War-

szawy a potem wieś nieco odleglejszą. Jakżeż tu było jej rządów nie chwalić.

Nie chwalili ich jednak wszyscy, jak to widzieliśmy z mowy panny Kordulskiej, a niektórzy utrzymywali nawet, że dzięki tym rządóm, pan Bajorski wyglądał często jak z krzyża zdjęty i nie śmiał ludzióm w oczy spojrzeć. Dzięki tym rządóm nabrał tego dumnego obejścia, gdyż bał się zawsze, żeby go kto o co nie prosił. Bo cóż znaczyłaby próśba do niego zwrócona, gdyby nie poparła jej lub stanęła jej wspak pani Zuzanna.

Powiadają, że każda potęga ma słabą stronę, przez którą skruszoną być może; sprawdzało się to i na pani Bajorskiej. Słabym jej punktem były trzy córki Mania, Jania i Ludka, piękne, wykwiłtne, świetnie wychowane, które ona ubóstwiała, które jedne mogły stanąć skutecznie w kolizyi z jej wolą. Fakt ten jednak nie nastąpił dotąd nigdy; pomiędzy panią Bajorską a pannami Bajorskimi panowała rozczulająca jednogodność. Wszystkie jednako pragnęły jeździć do modnych kąpieli, bywać na wyścigach, słuchać zachwycających tenorów i nieporównanych primadon z łoży pierwszego piętra, lub przerzucać materye w magazynach, przymierzać kapelusze i wybierać te, w których im było najwięcej do twarzy.

Była jeszcze jedna rzecz, w której życzenia pani Zuzanny i jej córek zupełnie się zgadzały; pani Zuzanna pragnęła, by którakolwiek z nich poszła za mąż i było to zarówno gorącym pragnieniem Mani, Jani i Ludki, tembardziej, iż Mania dobiegała lat dwudziestu pięciu, a Ludka była już pełnoletnią.

Ponieważ jednak w tym razie wola pani Zuzanny, wsparta wolą trzech jej córek, nie była wystarczającą,

ale trzeba było innej jeszcze woli, dotąd nie stało się jej zadość i panny stroiły się, bawiły, jeździły, śmiały, tańczyły bezskutecznie.

Ta jedna przeciwność wywoływała chmury na czoło pani Zuzanny i zasępiła jego pogodę, ale jako niewiasta wytrwała, nie ustawała w nadziejach i staraniach usilnych, w których córki dopomagały jej jak mogły najlepiej.

Prawda, że panny i matka patrzyły wysoko i nie raczyły nawet zwrócić uwagi na biurowych urzędników, którzy zapewne byliby z chęcią poślubili piękne córki swego zwierzchnika.

— Na takiej partyi zawsze skończyć można... — mówiła pani Zuzanna, skoro była mowa o podobnem zamążpójściu.

Tymczasem uważała, że do końca jeszcze córkom daleko było i dlatego marzyła zawsze o bogatych obywatelach, bankierach, przemysłowcach lub tym podobnych. Obywatele, bankierzy, przemysłowcy bywali na jej balach, tańczyli z pannami, przynosili cukierki do łoża, urządzali nawet na ich cześć majówki, i już nieraz zdawało się matce i pannom, iż lada dzień przyjdzie do oświadczyn, ale jakoś do oświadczyn nie przychodziło nigdy... Pani Zuzanna naradzała się w tym względzie z córkami, domyślała się raz, że ktoś złośliwy przeszkadza, to, że zaszyły nieprzewidziane przeszkody, to znowu, że jakaś znana kokietka stanęła na drodze Mani, Jani lub Ludce. Fakt przecież pozostawał faktem.

Daremnie zrywała z panią X. lub panią N., które o złośliwość posądzała, badała różne stosunki, a w końcu przeklinała znaną kokietkę. To nie zmieniało położenia. Kiedy jednak raz próbowała o tem mówić z mężem, pan

Konstanty nie odpowiedział ani słowa, tylko rzucił na nią spojrzenie dziwne, głębokie, smutne, jakby obciążone wyrzutem — spojrzenie, które przebiło się przez ciemne szkło okularów, a potem odszedł, wsuwając brodę pomiędzy kołnierzyki, ale czynił to tylko z przyzwyczajenia; wyraz twarzy sprzeczał się z tym ruchem, pełnym napuszonego majestatu. I rzecz dziwna, odtąd pan naczelnik był wykluczony ze wszystkich narad matrymonialnych.

Tego rodzaju rozmyślania i narady nie były jednak jedynym polem działalności pani naczelnikowej. W takim bowiem razie nie różniłaby się ona od wielu innych kobiet. Miała ona narady rozmaite z osobami rozmaitego położenia i rozmaitych wyznań. Osoby te wchodziły kuchennymi schodami i widać dobrze były znane służbie, która puszczała je bez wahania i natychmiast uwiadamała panią za pomocą pewnych umówionych znaków, nawet wówczas, gdy byli goście. Działo się to jednak tylko w nadzwyczajnych razach, zwykle interesanci ci przychodzili rano i pani Zuzanna dawała im audyencyę w osobnym pokoju, wielkim jak wszystkie, składające apartament rządowy, w którym stały szafy ze strojami jej samej i córek. Na środku tego pokoju był stół wielki, podobny do biurka, z głębokimi szufladami, starannie zamykanemi; przy nim to przyjmowała interesantów.

Interessantami były figury niczem nie odpowiadające świetności domu pana naczelnika, figury, które widocznie były tutaj nie na swoim miejscu i które zwykle jedynie w charakterze wierzycieli przestępują podobnie pańskie progi. Przeciwno temu przypuszczeniu jednak przemawiał kwitnący stan interesów państwa Bajorskich, pośpiech z jakim sama pani biegła na ich spotkanie, a nadewszystko

uniżona postawa, jaką względem niej figury te przybierały. Widocznie więc stosunki łączące tych ludzi z panią Zuzanną, były odmiennej natury.

Jak pomiędzy wierzycielami, kiedy dom jaki ma ich wielu, znajduje się zawsze jeden bardziej zaufany i bardziej natrętny, który gra względem wszystkich innych rolę dowódcy, tak samo było i pomiędzy interesantami pani Zuzanny; była tam Chaja Morgenblat, która najczęściej przychodziła, konferowała najdłużej i snadź najlepiej znała obyczaje, potrzeby i pragnienia całego domu, bo panny, które nie mieszały się bynajmniej do interesów matki, znała z imienia — i przypuszczaną bywała niekiedy do narad tualetowych, a może nawet i innych.

Konferencje takie zwykle odbywały się około południa, w godzinach biurowych, po śniadaniu, na które zbierała się cała rodzina.

W dniu, w którym panna Felicya i jej matka powzięły postanowienie popierania wszelkimi siłami kandydatury brata na otwierającą się posadę, państwo Bajorscy siedzieli właśnie przy śniadaniu. Naczelnik milczał swoim zwyczajem, a pani Zuzanna z córkami prowadziła ożywioną rozmowę o koncercie, na którym były dnia poprzedniego i o wieczorze, na który się dziś wybierały, kiedy dzwonek odezwał się w przedpokoju, a po chwili wszedł lokaj niosąc pudełko.

Było to przecież zwyczajem domowym, że pudełka, paczki i t. p., które przynoszono często do państwa Bajorskich, wchodziły zawsze tylnymi drzwiami i wprost odnośzone były do pokoju z szafami. Ale lokaj był świeżo przyjęty, nie znał zwyczajów domowych i nie rozumiał piorunującego spojrzenia, jakie mu pani Zuzanna rzuciła.

— Co to jest? — zapytała wówczas z obowiązku.

— Nie wiem, proszę pani, przyniósł to jakiś posłaniec, powiedział, że kazano mu tu oddać.

Nastała chwila ciszy; panny półgłosem prowadziły dalej z sobą rozmowę, pan Konstanty nachmurzył się, odsunął talerz, na który dopiero położył kawałek befsztyku i jakby przypomniawszy sobie pilny interes, czempędzej wyszedł z pokoju.

Pani Zuzanna przygryzła wargi i cmoknęła niemi, co już było dowodem najwyższego niezadowolenia, bo jako wzorowa żona, dbała o wygodę męża i nie mogła darować, jeśli cokolwiek przerwało mu ważny akt odżywiania. Zazwyczaj nawet wprost oponowała przeciw temu, jeśli miał zamiar odejść od śniadania lub poświęcić obiad jakiej ważnej sprawie. Dziś nie uczyniła tego, tylko cały jej gniew spadł na służącego. Zgromiła go za jakiś pyłek dostreżony na kredensie, za zagięcie w serwecie i za tysiące rzeczy, na które zwykle nie zwracała tak pilnej uwagi, a następnie dopiero zaleciła stanowczo, by nigdy żadną przesyłką nie zatrudniano ją w jadalnym pokoju, w czasie śniadania, obiadu lub herbaty. Pudełko zaś kazała zanieść do pokoju z szafami, gdzie też udała się sama.

Tam je otworzyła z pewnym rodzajem niecierpliwości, w której przebijała się ciekawość i coś coby można nazwać chciwością, gdyby marne pudełko przysłane przez posłańca, a więc nie zawierające skarbów żadnych, mogło wzbudzić podobne uczucie w kobiecie jej położenia.

W pudełku był kołnierz i zarękawek tumakowy, podbite świeżutkim fiołkowym atłasem.

Pani Zuzanna ściągnęła usta, dar ten wydawał jej się nie zbyt świetny, a przytem przychodził nie w porę. Córki

i ona sama miały piękniejsze garnitury futrzane. Na dnie pudełka był bilet wizytowy: „Amalia z Niwickich Słońska“.

— Słońska, Słońska! — powtórzyła z namysłem. — Cóż to za Słońska?..

Matka biednego aplikanta, która tyle razy prosiła ją o protekcję dla syna, wypadła jej zupełnie z pamięci. Bo też prosiło ją o to tyle osób!..

Dopiero po chwili, wyrazy „Amalia z Niwickich“ obudziły w niej żywsze wspomnienie. Rzeczywiście była to jej koleżanka z pensyi. Pani Zuzanna jednak nie była osobą sentymentalną i koleżeństwo podobne o tyle miało dla niej znaczenia, o ile mogło być na cośkolwiek pożyteczne w życiu praktycznym. Inaczej czyż zajmowałaby stanowisko jakie dziś było jej udziałem?

To też wspomnienia pensyonarskie, tak samo jak dar odebrany, wywołały charakterystyczne ściągnięcie ust pani Zuzanny, które nic dobrego nie wróżyło.

— Ach! Amelka — szepnęła pogardliwie — zawsze była głupią...

Dalej Pani Zuzanna domyśliła się zaraz, że szło o etat młodego Słońskiego. Posada, o którą się dobijał, była bardzo nie wielką, najmniej płatną i najmniej znaczącą w całym biurze.

— No, no! — szepnęła znowu po chwili — zobaczymy...

W tej chwili zapukano do drzwi i służąca weszła z oznajmieniem, iż Chaja Morgenblat pragnie z nią pomówić.

Jakoż tuż za służącą ukazał się delikatny profil izraelitki o wielkich czarnych oczach i rysach regularnych, wyciętych jakby z kości słoniowej.

Była to kobieta lat może dwudziestu pięciu, wspaniałej piękności, jaka czasem jest udziałem rasy semickiej. W oczach jej palła się inteligencja, ruchliwe wargi, nozdrza i delikatne odcienia twarzy, świadczyły o wyrobieniu, o doświadczeniu życiowem. A jakkolwiek używała tych darów do małych celów, przecież do ich osiągnięcia potrzeba było nieraz użyć tak wiele dyplomacyi, zabiegów, znajomości ludzi, ile używają ich wielcy tego świata do zmienienia losów Europy. Ci co znali Chaję Morgenblat, co wiedzieli, z jakimi trudnościami walczyć musiała, wiedzieli dobrze, iż brakło jej — nie zdolności, ale sfery właściwej.

Izraelitka na progu zaraz jednym rzutem oka objęła panią Zuzannę, spostrzegła pudełko zamknięte teraz, które stało przed nią i pewne niezadowolenie, malujące się na tej twarzy zwykle pogodnej. Trzeba jej było naprzód wiedzieć przyczynę tego niezadowolenia. Nie należała jednak wcale do natrętów, którzy zarzucają pytaniami tych z którymi mają do czynienia; bieglejsza stokroć od panny Kordulskiej, wiedziała dobrze, iż pierwszą zasadą powodzenia w zawodzie dyplomatycznym jest badać nie pytając i nie wydać się nigdy ze swoją niewiadomością.

To też Chaja, zamiast mówić, czekała chwilę, gdyż wiedziała z doświadczenia, że pani Zuzanna, która z nią nie widziała żadnej potrzeby grać komedyi, wypowie najprędzej sama wszystko, czego pragnie i żąda. Jakoż nie omyliła się. Pani Zuzanna, zaledwie znalazły się same, zajęła miejsce na starym fotelu i jej usiąść kazała, zapytując:

— No i cóż?

Chaja zrozumiała dobrze, do czego odnosiły się owe słowa, bo odparła bez namysłu:

— Chwała Bogu, wszystko dobrze. W biurze teraz będzie ruch.

— Ech! co za ruch! — odparła pogardliwie pani domu — że tam wakuje etat na trzysta rubli, wielka rzecz!

Oczy Chai zamigotały.

— Prawda, że to niewielka rzecz — wyrzekła z uśmiechem — ale będzie coś lepszego.

— Coś lepszego? — powtórzyła zaciekawiona naczelnikowa, bo widać nie dziwiło ją to wcale, że Chaja lepiej od niej wiedziała, co się dzieje w biurze.

— No tak! coś dużo lepszego.

I nie drożąc się ze swoją wiadomością, jak to czynią niektórzy, mówiła dalej:

— Starszy pomocnik sekretarza Sierpecki...

— Sierpecki — przerwała pani Zuzanna — wiem wiem. Przystojny blondyn w okularach... Dobrze tańczy.

— On tu nawet bywał u pani naczelnikowej — mówiła dalej Chaja. — Co to mówić, jemu się nawet bardzo podobała panna Ludwika.

Pani Bajorska pogardliwie ściągnęła usta.

— Być może — przerwała niecierpliwie — starszy pomocnik, ma pensyi blisko 800 rs., cóż on robi, choruje, umiera... co?

— Po có ma umierać, on weźmie dymisję — odparła Chaja z uśmiechem, który odsłonił dwa rzędy zębów równych i białych.

— Weźmie dymisję, a to dlaczego? — zapytała żywo pani Zuzanna.

— On się żeni bogato.

Żonę naczelnika nie powinno było obchodzić ożenienie

jakiegoś tam biuralisty, mającego 800 rs. pensyi; przecież niebyła ona na próżno kobietą i matką trzech pełnoletnich córek, więc zapytała skwapliwie.

— I z kimże to?

— No, on się żeni z córką fabrykanta powozów, z jedy-naczką, będzie tam z milion złotych majątku.

— Proszę! — szepnęła z pewnem nieukontentowa-niem pani Bajorska, chociaż niewiadomo do czego ściągało się to nieukontentowanie, czy do tego, że panna jakaś szła za mąż, czy też, że były w Warszawie tak bogate dzie-dziczki i że te robiły tak liche partye.

— Teraz o kawalerów trudno — mówiła dalej Chaja, która brała snadź tę kwestyę z kupieckiego stanowiska popytu i podaży — a to bardzo porządny człowiek i z do-brej rodziny.

— Szczęść Boże! szczęść Boże! — wyrzekła z wido-cznym przekąsem naczelnikowa.

Chaja też zmiarkowała to zaraz i zwróciła rozmowę na przyjemniejsze tory.

— No, niech on się żeni z kim chce — dodała — to najmniejsza, ale on wyjdzie z biura! co to będzie awansów!

Powiedziawszy to, zbliżyła się do pani Zuzanny i mó-wiła ciszej:

— Młodszy sekretarz dopiero się ucieszy, on ma już tysiãczek złotych samemi imperyalami!

— Tysiãc złotych — powtórzyła pani Bajorska z nie-zadowolaniem — za 800 rs. pensyi.

— No, on przecież ma 600 i tak, to tylko mu 200 przybywa. A jak będzie trzeba, to on przecie dołożyć może.

Pani Bajorska nie odpowiedziała nic.

Chaja przez chwilę badała ją wzrokiem.

— Tam jest — mówiła dalej — urzędnik z drugiego wydziału, ten dałby całe dwieście, byle być starszym sekretarzem, ale to może być krzyk, bo on niedawno jest w biurze i tylko co awansował.

Pani Bajorska ruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że ją ten krzyk nic nie interesował.

Przezorna izraelitka dodała:

— No, ja wiem, że to pani naczelnikowej nic nie znaczy, przecież kiedy można, zawsze lepiej bez krzyku. Gdyby to młodszy sekretarz nie chciał dać, to co innego, ale on da i inni dadzą, jak pójdzie awans po starszeństwie. I pan naczelnik będzie kontent.

Nie wiadomo, czy ten ostatni wzgląd miał jaki wpływ na panią Zuzannę, w każdym razie nie wypadało jej go lekceważyć.

— Naniyszę się — odparła dyplomatycznie — jeszcze ten Sierpecki nie wziął dymisy.

Chaja uśmiechnęła się znowu.

— Czy to ja kiedy jaką plotkę zrobiłam — spytała z wyrazem przyjaznego wyrzutu — czy powiedziałam to, co nie miało miejsca?

— Nie, nie, ja tego nie pomyślałam — tłumaczyła się pani Zuzanna. — Tylko teraz nadchodzą imieniny Mani, daję wieczór, potrzeba mi tylu rzeczy.

— No, już ja w tem, że pani naczelnikowa będzie miała i wino i ciasta i sarnę i drób, a wszystko w najlepszym gatunku...

Zatrzymała się, patrzyła chwilę na panią Zuzannę jakby

wyrozumiewała jej usposobienie, a widząc, że było przyjazne, dodała :

— Ale młodszy pomocnik może rachować na miejsce Sierpeckiego?

Jakże tu było Chai odmówić, to też pani Zuzanna odparła :

— No, już ja będę za nim.

— Jak pani naczelnikowa za nim, to tak, jakby on miał nominację — wykrzyknęła tryumfująco Chaja.

Interes był widocznie skończony, żadna z dwóch kobiet nie wątpiła o tem. Obie wybornie porozumiały się pomiędzy sobą.

Pomimo ostatecznej zgody, Chaja nie odchodziła, widocznie miała jeszcze coś do powiedzenia.

— To nie dość dać wieczór dla panny Maryi — zaczęła znowu po chwili — trzeba przecież prezentu na imieniny.

— Trzeba prezentu — powtórzyła pani Zuzanna, spoglądając z boku na pudełko z garniturem tumakowym, który nie zdawał jej się stosownym, bo Mania miała eleganckie, najświeższej mody futerko.

Izraelitka schwyciła w lot to spojrzenie, zrozumiała że może i z tajemniczą miną wydobyła z kieszeni safianowe pudełko, otworzyła je i pokazała gustowny medalion.

— No, ja wiem, że panna Marya potrzebuje właśnie medalionu i że ten jej się spodoba; panna Marya będzie miała niebieską suknię a tu właśnie turkusy z brylantami.

Nie wiadomo z kąd czerpała te wiadomości, ale to pewna, że były prawdziwe.

— Śliczny medalion! — zawołała pani domu.

A wiedząc dobrze, iż nic darmo na świecie, spojrziała

badawczo na Chaję, zapytując ją tem spojrzeniem, co czy-
nić należy, ażeby zawiesić ten klejnot na szyi najstarszej
córkii.

— No — rzekła z prostotą Chaja — niech tylko pan
Rozmiński, ten nowy aplikant, dostanie etat, co teraz za-
wakował. Czy to o wielkie rzeczy chodzi? Sama pani na-
czelnikowa powiedziała trzysta rs. rocznie, to bagatelka!

— Rozmiński przed sześcioma miesiącami dopiero
wszedł do biura — odparła pani Zuzanna.

— Tak, tak — powtórzyła Chaja — nie było miej-
sca, pan naczelnik na aplikację przyjąć nie chciał, ale on
przysłał ten zegareczek panny Janiny... i miejsce się
zrobiło.

Garnitur tumakowy pani Słońskiej nie mógł wytrzy-
mać porównania z zegarkiem i medalionem; ten Rozmiń-
ski był widocznie bardzo sprytnym i przyzwoitym chło-
pcem; pani Zuzanna wahać się nie mogła. Zresztą Chaja,
jakby czytając w jej myśli, dodała:

— Już ja widzę, że pani naczelnikowa ma kogo innego
na myśli. A czy to ten kto inny nie może zaczekać, prze-
cież taki piękny i kosztowny medalion wart zastanowienia,
to nie zawsze się zdarzy, a taki nędzny trzystorublowy etat
zawakuje niedługo, tylko patrzeć.

Rzeczywiście, pani Zuzanna miała skrupuły. Bądźco-
bądź Słońska była jej koleżanką z pensyi, prosiła tyle razy
za synem, syn ten już trzy lata służył bezpłatnie, a wre-
szcie i garnitur tumakowy miał swoje znaczenie, jakkol-
wiek przyszedł nie w porę i nie mógł iść w porównanie
z medalionem Rozmińskiego.

— Czy z pewnością zawakuje? — spytała skwa-
pliwie.

— Z pewnością — potwierdzała Chaja. — Nawet zawakuje większy, bo na trzysta pięćdziesiąt rubli. Elbowicz stara się o przeniesienie do izby skarbowej, bo tam wuj jego dostał wysoką posadę. Czeka tylko, aż tam otworzy się miejsce.

— Bo tutaj — szepnęła pani Zuzanna — jest młody człowiek, który już trzy lata aplikuje, znam jego matkę i ona...

— Aha! Słońska — wtrąciła Chaja — ona prosiła za synem, prosiła, jak każda matka. Cóż to dziwnego? prosi każdy, tylko nie każdy prosić umie. Ale pani naczelnikowa przez samą przyjaźń, to będzie wolała zaprotegować tego syna na lepsze miejsce. Im potrzeba.

Ostatnie słowa dodała zupełnie seryo.

Pani Zuzanna jednak nie zastanowiła się nad niemi, przeciwnie, rada Chai widocznie trafiła jej do przekonania.

— Tak, tak! — wyrzekła pospiesznie, jakby lękając się jakiej zmiany — skoro znowu zawakuje posada, to będzie Słońskiego, a teraz... teraz daj mi ten medalion, już ja w tem, że Rozmiński pójdzie na etat...

Na tem skończyła się konferencya; Chaja wiedziała, iż na słowo naczelnikowej rachować mogła, a pani Zuzanna znów, że Chaja była równie sprytną, jak dyskretną. Dotrzymanie zaś warunków traktatu, nie stwierdzonego żadnem pismem i który nie miał świadków żadnych, zagwarantowane było zobopólnym interesem. Pani Zuzanna bez Chai obejść się nie mogła, nietylko bowiem była z niej wyborna pośredniczka w wątpliwych interesach, jakie pani Bajorska prowadziła, ale Chaja była jak widzieliśmy, doskonale wtajemniczona we wszystkie szczegóły biurowego

życia i jego kulis. To czyniło ją dla pani Zuzanny niezbędną.

Chaja Morgenblat wiedziała o tem i jeśli nie nadużywała swego położenia, to tylko dla tego, iż nadużycie nie dawałoby jej żadnych korzyści. Miała przytem takt sobie właściwy; nadużycie, zbytnia poufałość, nie miały dla niej żadnego powabu.

Wyszedłszy od pani naczelnikowej, spojrziała na stary, złoty zegarek, który nigdy jej nie opuszczał i przekonała się, że w tej chwili nie mogła się widzieć z żadnym z urzędników, których interesami zajmowała się tak gorliwie. Wszyscy byli w biurze, a ona, choć doskonale była uwiadomiona o wszystkim, co się w niem działo, miała za zasadę nigdy się tam nie pokazywać. Widywała się z urzędnikami w domach ich lub na ulicy, tym sposobem nie wzbudzała niczyjej uwagi i zachowywała wszelką swobodę działania.

Wbrew ludziom, którzy lubią chełpić się swemi wpływami, Chaja wołała działać z ukrycia; jak wszyscy wielcy politycy, chętnie pozory odstępowała innym, byle posiadać istotę rzeczy.

Ponieważ więc miała parę godzin wolnych, skierowała się do własnego mieszkania. W narożnym domu, przy zbiegu ulic Zielonej i Żłotej, zajmowała na parterze pokój z kuchnią, a wbrew nieporządkowi, zarzucanemu często jej współwyznawcom, skromne mieszkanko uderzało wzorową czystością i ładem, które już naprzód widne były w kuchni. Okna obrócone na południe, wychodziły na obszerny dziedziniec, a w nich tyle było zieloności, iż liście stanowiły nieprzebitą frankę i chociaż okna były niskie, ciekawe oczy do środka zajrzeć nie mogły.

W kuchni krzątała się służąca, niezbyt już młoda, przyjemnej powierzchowności.

Chaja, w miarę jak zbliżała się do domu, zdwajała kroku i szła z gorączkowym pośpiechem, dopiero przy drzwiach swoich przystanęła, nasłuchując chwilę co się wewnątrz działo. Wewnątrz słyhać było tylko służącą, przypiewującą sobie półgłosem przy robocie.

Chaja zamiast zadzwonić, lekko poruszyła klamkę, i nie czekała chwili, otworzono jej zaraz.

— A cóż Resia? — spytała półgłosem.

— Resia! oj, wyglądała pani! wyglądała! a szło jej o ten czerwony papier do wyklejenia pudełka, którego jej zabrakło, aż usnęła.

— Więc śpi teraz?

— Śpi już chwilkę.

Chaja wyjęła z obszernej kieszeni swojej zwitek różnokolorowych papierów.

— Był doktor — spytała znowu niespokojnie. — Nie mogłam wcześniej powrócić — dodała, jakby usprawiedliwiając się przed samą sobą, czy przed służącą — a tak mi było pilno.

— Nie był jeszcze.

Spojrzała na zegarek. I teraz dopiero uczuła zmęczenie. Zdjęła kapelusz i czarne syberynowe okrycie, bo w kuchni było gorąco.

Miała na sobie czarną kaszmirową suknię, wytartą, zrudziałą, ale bez żadnej plamy; suknia ta obciskała jej wspaniałą kibić i pokazywała jej całą piękność. Bez okrycia i kapelusza wydawała się jeszcze młodszą niż na ulicy. Szerokie czoło obejmowały włosy, łamiące się w regularne

karby łąbanowej czarności. Mała jej inteligentna głowa, zdawała się ugiąć pod ich ciężarem.

Przez chwilę siedziała zadumana na krześle, koło drzwi, prowadzących do pokoju, które były uchylone, z czołem wspartem na rękę.

W pokoju panowała taka cisza, iż nie dochodził nawet stłumiony oddech śpiącego dziecka. Obie kobiety milczały; służąca krzątała się około swej roboty, a Chaja myślała. O czym? Czy o całym mechanizmie interesów, które prowadziła, o zyskach, jakie stąd mieć mogła? o chorą dziecku, czy o samej sobie? Tego nikt z jej twarzy wyczytać nie mógł. W tej matowej cerze, w tych oczach czarnych, w których paliły się się południowe iskry, w tych ustach, po których czasem przebiegało drgnienie lekkie, półuśmiech, lub bolesny wyraz, trudno było zbadać wątek myśli, splątanych może, pełnych niepokoju tłumionych, a może niewyznaczonych smutków.

Cisza ta trwała długo, nieprzerwanie i snąć była rzeczą zwyczajną. Służąca nie zwracała żadnej uwagi na zamyslenie pani swojej, obierała jakieś jarzyny, czasem poruszała coś w rondelku, nucąc dalej półgłosem jakąś piosnkę, której nuty trudno było uchwycić.

Nagle w pokoju dał się słyszeć szelest lekki poruszonej pościeli, potem głos jakiś podobny do skargi.

Chaja zerwała się i pobiegła do córki. Pokój, w którym się znajdowała chora, był obszerny, widny i ozdobiony w to wszystko, co bez wielkiego kosztu mogło oczom sprawić przyjemność. Białe firanki, zieloność kwiatów i owe drobne codzienne sprzączki, które stanowią wdzięk mieszkania, sprawiały wrażenie ciszy i ładu.

Głębokość pokoju zajmowało łóżko, na którym spoczywała

dziewczynka, o bladej, posępnej twarzyczce, okrążonej włosami czarnymi, jak włosy Chai. Widząc wchodzącą matkę, wyciągnęła ku niej wychudłe rączki i zawołała:

— Mamo!

Był to zwyczajny wykrzyk, ale głos, którym go wymówiła, tak pełen był skargi, tęsknoty i radości razem, że nadawał mu dojmujące znaczenie. Dziecko nie mówiło nic więcej, tylko zarzuciło wątłe ramiona na szyję matki i przytuliło gorącą twarzyczkę do jej twarzy.

Chaja całowała córkę namiętnie, a ostrożnie, jak istotę bardzo drogą a bardzo delikatną, której pieśczętą samą lękała się wyrządzić krzywdy.

Dziecię nie skarżyło się słowem, ale skargę wymowną stanowił sam milczący uścisk i owo garnięcie się do matki, jakby chroniła się na jej łonie przed cierpieniem, smutkiem i trwogą.

Wreszcie Chaja próbowała wydobyć się z jej ramion; była to godzina, w której trzeba było dziecku podać lekarstwo. Ale ono zawołało żałośnie:

— Ty nie odejdiesz, mamo.

— Nie, nie — odparła pospiesznie.

Wówczas dopiero żywy węzeł jej rączek rozwiązał się, główka opadła na poduszki.

Chaja podniosła się i patrzyła na dziecko przez chwilę, zanim podała mu lekarstwo, a patrzyła tak wymownie pytającymi oczyma, iż ono ją zrozumiało. Delikatne usta, płonące teraz ogniem gorączki, złożyły się do uśmiechu, który wykwitł blado i nadał jej twarzyczce dziwnie smętny i łagodny wyraz.

— Mamo! — szepnęła — teraz nie boli mnie nic, tylko mi się pić chce bardzo, bardzo.

Chciała widocznie pocieszyć matkę, bo już była w tym wieku, że mogła zrozumieć troskę, jaką sprawiała jej choroba. Nie pojmowała jednak, że słowa jej nie zawierały pociechy; gorączka była właśnie zastraszającym symptomem.

Przecież Chaja nie pokazała po sobie wrazenia, jakie jej sprawił uścisk i żądanie córki. Pobiegła po wodę, dołała do niej soku i kropli, przepisanych przez doktora, umoczyła usta w szklance, by przekonać się o jej temperaturze i wówczas dopiero podała ją Resi, której zapadłe, błyszczące, inteligentne oczy nie schodziły z niej na chwilę.

Dziecko piło chciwie. A przez ten czas ona patrzyła w nie jak w tęczę, jak w obraz cudny; w jej źrenicach przesuwaly się namiętne połyski, usta zaciskały się z wyrazem woli nieugiętej, a dłonie wyciągnięte drżały nerwowo, jakby pod wpływem trwogi czy wzruszenia, nad którym zapanować nie była w stanie.

Skoro Resia wypła, główka jej opadła na poduszki; widocznie zmęczyło ją uczynione wysilenie.

— Resiu! — szepnęła matka.

Dziecko odchyliło leniwie delikatne powieki, na których widną była drobna sieć żyłek niebieskawych.

— Resiu! — powtórzyła Chaja, przyprowadzona do rozpaczki jej apatycznym wyrazem — przyniosłam ci papier czerwony.

Błysk dziecinnej radości mignął na jej twarzączce.

— Pokaż! pokaż! — zawołała, wyciągając ręce.

Matka pobiegła do kuchni z żywością lat szesnastu, powróciła ze zwitkiem papieru, jaki przyniosła z miasta i rozłożyła go na łóżku.

Dziecko pochwyliło go zrazu, ale wkrótce rączki opadły bezsilnie.

— Czy przysunąć ci stolik? czy będziesz kleić? — pytała skwapliwie Chaja.

Ale Resia nie miała na to siły.

— Później — szepnęła — teraz pić! pić!

Znowu Chaja przyrządziła napój i dziecko piło, nie mogąc ugasić pragnienia.

Teraz nastała cisza. Resia wzięła rękę matki, przycisnęła do niej usta i tak przytuliła się do poduszki. Nie mogła widzieć jej twarzy a twarz ta traciła powoli wyraz woli, rozważgi i panowania nad sobą, jaki cechował ją zwykle. Występowała na nią troska gwałtowna, niepokój łamiący wolę i jakaś rozpacz namiętna, niemal dzika.

Chwilami też oczy jej zatrzymywały się na wiszącym skromnym zegarze, którego rytmiczne wahanie słychać było wyraźnie wśród milczenia, jakie tu panowało, a wówczas do uczuć, które nią miotały, łączyła się jakaś troska inna, powszedniej natury.

Aż wreszcie dzwonek odezwał się w kuchni. Resia otworzyła ociężałe powieki, a Chaja zerwała się ze swego miejsca oprzytomniona.

— Doktor! — szepnęła.

— Po co on przychodzi? — zawołało dziecko. — Mamo! on mi nic nie pomoże, ja ciągle chora i chora. Będzie znów oglądał mi nogę i macał i wyginał. Ja nie chcę.

— Cicho Resiu — szepnęła — to nowy doktor, on bardzo dobry, on wyleczył chłopczyka, który był tak samo chory, jak ty. Ja dlatego jego wezwałam.

— Ja nie chcę — powtórzyło dziecko.

Chaja nie słuchała jednak, a wzrok miała utkwiony we drzwi.

Ukazał się w nich niebawem młody doktor, którego panna Felicya spotkała tegoż rana przed lecznicą i pytała o radę w trudnem położeniu, w jakim była.

Izraelitka objęła go wzrokiem, jakby zbadać chciała czego od niego spodziewać się może. I snadź badanie to wypadło na korzyść Konrada, bo z zaufaniem widocznem przystąpiła do niego.

— Panie doktorze! — wyrzekła wskazując chorą — to moje dziecko, ono już pięć lat choruje. A teraz jest znowu gorzej. Co tu już było doktorów!.. ale mnie powiedzieli, że pan ją wyleczy?

Konrad miał na twarzy urzędową maskę, jaką przybierają zwykle lekarze wobec chorych, kiedy nie chcą dać poznać ich rzeczywistego stanu.

Wzrok Chai przenikliwy, błagalny — wzrok, do którego przecież w zawodzie swoim przyzwyczajony być musiał — zmieszał go nie wiedzieć czemu, tak, iż zaledwie zdobył się na zwykłą w tych razach, lakoniczną odpowiedź:

— Zobaczymy...

Potem zajął się badaniem dziecka. Badanie trwało długo i wcale łatwem nie było. Resia była dotknięta jednym z tych chronicznych cierpień, które u skrofulicznych dzieci trwają lata całe i wymagają najtroskliwszych starań, a nieraz, przy nich nawet, kończą się fatalnie. Od kilku lat chodziła na kulach lub leżała, bo nóżka jej okryta była ranami. Teraz jednak do tych chronicznych cierpień przyłączyły się groźne symptomata trawiącej gorączki. Doktor zadawał różne pytania, przeglądał recepty, a tymczasem oczy matki nie schodziły z niego i zdawały się mówić każdym mgnieniem powieki: I cóż?

Konrad był sumienny, stan dziecka zatrwożył go, organizm był wycieńczony.

Spuścił wzrok na to nieme pytanie; odpowiedzieć nie śmiał.

— Pić, pić! — powtórzyła Resia.

Zamyślony, podał jej szklankę stojącą na stole i patrzył z brwią ściągniętą, jak przykleiła do niej usteczka, ściskając szklankę przezroczytymi rączkami.

Potem poszedł do stolika, gdzie stały przygotowane atrament, pióro i papier i zapisał receptę. Uczyniwszy to, podniósł głowę i ujrzał Chaję, która machinalnie szła za nim, jak żelazo przyciągane magnesem. Z załamanemi rękoma stała podobna do posągu.

Zaczął coś mówić, chciał dać instrukcyę jak z chorą postępować należy, ale zatrzymał się nagle; zdawało mu się, że Chaja nie była w stanie go słyszeć i rozumieć.

Ona jednak była jakby zawieszona na ustach jego.

— I cóż? — spytała tylko, gdy umilkł, wlepiając w niego ciągle głębokie, namiętne oczy.

— Ja to wszystko napiszę — wyrzekł.

Ona przecież powtórzyła mu co do słowa instrukcyę, jakie jej dawał. A gdy on, nie spuszczać się na to, pisał, jak z chorą postępować należy, wyszła do kuchni i wysłała służącą do apteki. Pilno jej było użyć nowych środków lekarskich, zapisanych przez Konrada; zdawało jej się, że każda stracona chwila była groźną dla ukochanego dziecięcia, rozwijała tutaj niezmordowaną czynność, która była jedną z cech jej charakteru.

Doktor wziął za kapelusz, pożegnał Resię, która z grymasem dziecięcym tuliła główkę do poduszek i wychodził, kiedy w kuchni dogoniła go Chaja.

— Kiedy pan przyjdiesz? — spytała niespokojnie.

— Jutro.

— Jutro — powtórzyła — o której godzinie?

— Mniej więcej o tej samej.

— Ja pragnęłabym wiedzieć na pewno — szepnęła — bo gdybyś mnie pan nie zastał...

— Pani jej przecież nie odejdiesz w tym stanie — zawołał mimowolnie, bo rozumiał tę wielką miłość, jaką miała dla dziecka.

Chaja podniosła na niego płomienne oczy.

— Ona u mnie jedna — szepnęła — jak jedno słońce na niebie, ona dla mnie wszystkim!

Pochwyciła rękę jego namiętnie, chciała coś powiedzieć i przez chwilę mocowała się sama z sobą, jakby wyrazy nie chciały jej przejść przez gardło.

— Ona żyć będzie... powiedz mi pan, że żyć będzie?..

Biedna matka nie błagała już o zdrowie dziecka, tylko o życie.

— Mam nadzieję — odparł Konrad.

Ale ona przerwała mu gorączkowo:

— Nadzieja!.. co mi tam nadzieja, powiedz pan, że żyć będzie?..

A widząc, że nie odpowiada wyraźnie, ciągnęła dalej:

— Pan nie wiesz!.. od pięciu lat żyłam życiem tego dziecka, oddychałam jego tchnieniem. Zwiędłam, skóra mi przyschła do kości, włosy omal nie posiwiały, stałam się jako trawa ścięta, a wszystko przez nie!.. przez nie zostałam samotną na świecie, bo któżby ukochał je tak, jak ja kocham. Nie chciałam mieć innej miłości, innych obowiązków.

Bezwiednie, w chwili głębokiego wzruszenia, wracała do biblijnych przenośni, stawała się wymowną.

— Uspokój się, pani — wyrzekł Konrad.

Wstrząsnęła głową z dziwnym uśmiechem.

— Ja się nie uspokoję, ja się uspokoić nie mogę, aż pan mi powiesz, że ona żyć będzie. Chociażby nawet pozostała jak teraz kaleką, byłem wiedziała, że jak powrócę do domu zmęczona, potyrana, osłabła, jak ten bocian co lata od łąki do łąki, póki nie nałowi żab i jaszczurek pi-skłętom swoim, że wówczas zobaczę jej oczy, jak dwie gwiazdy błyszczące i że te biedne rączki wyciągną się ku mnie miłośnie. Niech się pan nie dziwi, ja jestem sama, sama, jak to drzewo przy drodze, co każdy potrąci... ona mi wszystkim...

Gorące oczy Chai zachodziły łzami, gdy wymawiała te słowa. Na matową jej pleć wystąpiły płomienne rumieńce, lica obejmowała piękność dziwna, przyćmiona codzienną troską.

On jej nie odpowiadał, bo i cóż miał odpowiadać?.. Stał zapatrzony w tę kobietę, na którą nie spojrział nawet, gdy przyszła wezwać go do dziecka; ukazywała mu się teraz w całym blasku wspaniałej piękności, opromienionej uczuciem macierzyńskim.

Chaja nie zwracała na to uwagi; mówiła, bo mówić musiała, bo są chwile, w których pierś pęknie, jeśli nie wybuchnie łkaniem.

— Takie było moje życie — mówiła dalej. — Dzieckiem wydali mnie za męża... Bóg dał mi Resię i cały świat uśmiechnął mi się w jej oczach. Potem owdowiałam, zostałam z nią bez majątku... sama. Byłam młoda, ludzie mnie chwalili. Krewni znów wyszukali mi męża. On byłby

myślał o mnie, pracował za mnie. I moje serce lgnęło do niego. Miało być wesele... Cóż?.. Resia zachorowała, chciałam czekać z weselem aż wyzdrowieje; potem było coraz gorzej, potem znów lepiej i gorzej... na przemiany. Krewni nalegali i on nalegał także. Może i moje serce nalegało, ale jak spozrzałam na Resię, to niepodobna mi było dnia żadnego naznaczyć. Bo ja jej z rąk spuścić nie mogłam, noc i dzień musiałam przy niej czuwać. Jak tu było brać obowiązki inne i myśleć o czem innym?..

W miarę jak mówiła, Konrad słuchał jej z wzrastającym zajęciem. Pilno mu było, a jednak stał wśród kuchenki z kapeluszem w ręku, zapominając, że na niego czekano.

— Więc pani zerwała? — wtrącił nieśmiało.

Wstrząsnęła głową ruchem pełnym dumy i głębokiego smutku.

— Albo ja wiem, kto z nas zerwał. Ja wiedziałam, co to jest dla mężczyzny cudze dziecko. Resia stała pomiędzy nami. Więc kiedy raz ona bardzo cierpiała, a on przyszedł i mówił mi o sobie, o weselu, nie powiedziałam nic, tylko przyniosłam wszystkie podarunki, jakie miałam od niego, złoty łańcuch, medalion, brylantowe kolczyki, i nic nie mówiąc, położyłam przed nim. A potem odwróciłam się do Resi i tuliłam ją do siebie, bo czułam, że mi łzy płynęły z oczów...

— A on?.. on przystał na to? — pytał coraz silniej zainteresowany Konrad.

— On potrzebował żony, gospodyni w domu, pomocy w interesie; musiał więc zrozumieć, że z tego nic nie będzie...

— I ożenił się?..

— Dlaczegoż ożenić się nie miał?.. Mężczyzna nie

ma takiego serca, żeby ono zmienić się nie mogło, a wreszcie u nas każdy się żeni...

Mówiła to z wielkim spokojem.

— Ja go widuję czasem... — dodała po chwili — z początku było mi smutno, ale gniewać się o to nie mogłam. Tylko pan teraz rozumiesz, iż Resia, to świat mój cały...

— Rozumiem — szepnął.

Nie odchodził, bo zdawało mu się, że ona powie mu coś więcej jeszcze o sobie; kiedy mówiła, oczy jej paliły się zmiennymi blaskami były w nich potoki światła i przepaście bólu.

— Poróżniłam się z krewnymi — ciągnęła dalej kobieta — przepowiadali mi, że umrę w nędzy wraz z dzieckiem, kiedy nie umiałam szanować szczęścia. Bo ja nie miałam nic... nic wcale. Ale powiedziałam, że dziecko moje wyżywić muszę, że póki Bóg mi da zdrowie i życie, to ono mieć będzie chleb i wygodę, lekarstwo i wszystko co mu potrzeba.

Obejrzała się dumnie wokoło, jakby wskazując tym ruchem, że dotrzymała słowa.

— I nikt pani nie dopomógł? — zapytał Konrad.

— Pomogłam sama sobie — odparła.

Przyszła mu nagła chęć zapytać, jakim sposobem dokazała tego cudu, przecież nie miał do tego żadnego prawa; zwierzenia jej nie miały charakteru gadatliwości, który upoważnia do badań i rozgrzesza z niedyskrecyi. To co powiedziała, powiedziała pod naciskiem rozpacz, z powściągliwością, a jednak wychodziło to zupełnie po nad normę, do jakiej świat upoważnia. Ale Chaja Morgenblat do świata nie należała, o jego wymaganiach nie wiedziała

nic. Ona wprost tłumaczyła mu swoją miłość dla dziecka kaleki.

Ciekawość jednak, czy interes jaki wzbudzała, przewyciężyły skrupuły Konrada.

— Jakże to pani zrobiła? — zapytał.

Chaja nie obraziła się o to, jakby miała prawo. Coś nakształt pogodnego uśmiechu okazało się na jej twarzy.

— Och! — rzekła — długoby o tem mówić, dość, że dałam sobie radę. A choć nieraz mi ciężko, nie narzekam. Gdyby tylko moja Resia żyła!

— Ona żyć musi — zawołał doktor z nagłym zapamię. — Bądź pani spokojna, przyjdę jutro punktualnie o tej samej godzinie.

Podziękowała mu, rzeczywiście nieco uspokojona tem zapewnieniem.

Żegnając doktora, miała według zwyczaju wsunąć mu w rękę zapłatę, ale on cofnął dłoń jak gdyby go jej pieniądze paliły. Ona jednak nie zrozumiała tego i wyrzekła spokojnie:

— Wszystko jedno, pan woli razem, ja żadnej wizyty nie zapomnę.

Nie przyszło jej nawet na myśl, że on nie chce brać pieniędzy, bo dlaczegóżby ich nie chciał?

Konrad wyszedł zły. Sam nie pojmował, co mu się stało.

— Znalazłem się jak student! — szepnął sam do siebie.

Szedł spiesźnie, bo stracił dużo czasu na tej wizycie; przecież zamiast myśleć o tem, co mu teraz czynić należało, myślał o tym pokoju, który tylko co opuścił, o cho-

rem dziecka, a nadewszystko o tej kobiecie, której oczy płonęły przed nim naprzemian i mgliły się łzami.

Potem zaczął zastanawiać się nad chorobą Resi, nad groźnymi symptomatami, nad środkami, jakie zapisał i przeraził się myślą, że środki te mogły być bezskuteczne.

Tego samego dnia po południu był na zebraniu lekarskiem. Jednak choć chciał zająć się czem innym, Resia i jej matka nie wychodziły mu z pamięci. Mówiąc z jednym z kolegów, opowiedział mu chorobę dziecka i jak się to zdarza, w rozmowie nasunęły mu się nowe na nią poglądy. Zdjął go niepokój, czy się nie omylił w przepisywanych środkach, a niepokój stał się tak palącym, iż wyszedł czempędzej nie żegnając nikogo, wsiadł w pierwszą napotkaną dorożkę i zawieść się kazał na Zieloną ulicę.

Było już około 9-tej; w mieszkaniu Chai nie spodziewano się o tej porze nikogo. Zadzwoił i czekał czas pewien zanim odezwał się głos jakiś. Pokój jednak i kuchnia były oświetlone, a blask okien, przyćmionych w pokoju chorej grubemi storami, słał się wyraźny na nierównym bruku dziedzińca.

Zanim otworzono mu, parlamentować musiał. Służąca była ostrożna, nie dowierzała zapewnieniom, że to doktor i dopiero po namyśle, poznavszy głos jego odważyła się drzwi uchylić.

— No, to pan — zawołała wreszcie niespokojna, widząc wchodzącego. — Pani nie powiedziała, że pan przyjdzie wieczór, a teraz takie czasy, że tyle jest złych ludzi...

— Pani niema? — zapytał.

I pożałował swojej drogi. Może przyszło mu na myśl,

że nie będzie miał z kim mówić o chorej, ani komu zleceń swoich powierzyć.

— Albo to pani kiedy jest o tej godzinie! — odparła służąca.

Nieobecność Chai była więc rzeczą powszednią. Gdzież ona być mogła o tej porze?

Pytanie to mignęło w głowie Konrada i pozostawiło mu jakieś uczucie nieokreślonego niepokoju. Cóż go to obchodzić mogło? Widać obchodziło go jednak, bo wyrzekł:

— Dawno poszła?

— Już dawno, niedługo po panu.

Więc nawet niepokój o dziecko, ten niepokój gwałtowny, rozpaczliwy, zatrzymać jej nie mógł. Musiał być oburzony tem niedbalstwem, bo pytał dalej porywczo:

— Kiedyż wróci?

Służąca jednak nie zwróciła na to uwagi i odparła obojętnie:

— A zkąd ja wiedzieć mogę. Może zaraz, może za godzinę, może później.

Zawstydził się własnej ciekawości i przypomniał sobie zapewne, co go tu sprowadziło, bo zapytał szorstko o dziecko.

— Chwała Bogu lepiej, znacznie lepiej — była odpowiedź — po lekarstwie i okładach, jakie pan zapisał, gorączka się zmniejszyła.

— A któż to robił?

Służąca spojrzała na niego zdziwiona, że pyta się o rzecz tak naturalną.

— Ja — odparła.

Więc ta czuła, zrozpaczona matka wyręczała się najemnymi rękoma w doglądaniu ukochanego dziecka? Kon-

rad zapytał sam siebie, czy miłość, o której mówiła, nie była komedią, przed nim odegraną i co ona znaczyła?

Zaczął być wściekły za zbytnią swoją gorliwość.

Miał ochotę wyjść ztąd czempredzej, przecież nie mógł tego uczynić, nie zobaczywszy dziecka.

Resia spała, rzeczywiście służąca miała słuszość, gorączka była znacznie mniejsza, przepisy jego skrupulatnie wypełniała.

Konrad przekonawszy się o tem, miał wychodzić i w kuchni już przykazywał służącej, by przez noc całą zmieniała okłady, kiedy Chaja nadeszła, a raczej wbiegła do mieszkania.

Widać śpieszyła się niezmiernie, bo brakowało jej tchu; blada twarz zdawała się bledszą jeszcze. Widząc doktora, stanęła jak wryta; przyszło jej na myśl, że z dzieckiem było tak źle, iż sprowadzono go i nie mogła zdać sobie sprawy, jak się to stało, a w oczach jej wymownych odmalowało się przerażenie bez granic.

Być może, iż Konrad opacznie wytłumaczył sobie jej zmieszanie, bo nie zbliżając się do niej, wyrzekł chłodno:

— Przepraszam, jeśli przyszedłem w niewłaściwą porę... będąc w tych stronach, chciałem się dowiedzieć o dziecko, sądziłem, że pani nad nim czuwasz.

— Niech Pana Bóg nagrodzi! — zawołała z wylaniem wdzięczności, na którem omylić się nie było można.

Nie zauważyła nawet rodzaju wymówki, jaką ostatni frazes jego zawierał, tylko spoglądała niespokojnie, nie śmiejąc prawie pytać o stan Resi.

Służąca zrozumiała to, bo zawołała z radością:

— Resia zdrowsza... niech się pani uspokoi, sam pan doktor powiedział, że zdrowsza.

— Zdrowsza! — zawołała składając ręce i grube łyż szczęścia, czy wdzięczności zawisły na jej oczach.

— Rzeczywiście — dodał sztywno Konrad, który czuł, że mu coś koniecznie dodać należało — zupełnie niepotrzebnie przyszedłem teraz, niech pani tę zbytnią gorliwość położy na karb ciekawości lekarza; chciałem przekonać się, jak środki przezemnie używane poskutkowały, należy tylko tak dalej postępować...

Ale ona nie uważała na szczegóły jego mowy, wiedziała to tylko, że troskał się o jej córkę.

— Pan jesteś dobrym! — szepnęła drżącym głosem.

— Żegnam panią — odparł chłodno, nie odpowiadając na jej wykrzyknik.

— Ja panu tego nigdy nie zapomnę — wołała.

Odchodził. Wówczas przypomniała coś sobie i pobiegła za nim.

— Ale pan przyjdiesz jutro? — spytała.

— Nie wiem pani; prawdopodobnie nie zajdzie zmiana w stanie dziecka — odparł z widocznym wahaniem.

— Oh! przyjdź pan — powtórzyła, składając ręce jak do modlitwy — do jutra choroba zmienić się może...

Skłonił się jednak, nie odpowiadając.

Chaja, czuła się w prawie nalegać.

— Ale pan przyjdiesz — powtarzała, domagając się stanowczej odpowiedzi.

— Przyjdę, skoro pani chcesz tego — dodał dobitnie.

I odszedł spiesznym krokiem. Bo i dlaczegóż nie powiedział tego od razu? Czyż nie było obowiązkiem jego iść tam, gdzie tego żądano. Co go obchodzić mogła ta kobieta, jej postępek. Jeśli rozczulił się dziś rano nad jej

Panna Felicya.

chorem dzieckiem, to przecież nie obowiązywało go to do niczego. A skoro przyszedł tutaj wieczór dowiedzieć się o stanie zdrowia małej pacjentki, uczynił to wszystko, co do niego należało. Czy ona sama, czy służąca krzątała się około wykonania jego przepisów, skoro te były wykonane, nie miał prawa być urażonym. Co zaś Chaja robiła przez dzień cały, z kąd powracała tak późno? To już zupełnie do niego nie należało i nie powinno było go interesować. Gdyby to jeszcze była kobieta jego świata, jego towarzysztwa, fakt ten mógł mieć znaczenie zagadki i zaciekawiać go z tego względu. Ale postępowanie jakiejś żydówki, która nie skończyła nawet modnej pensyi i nie należała do tak zwanej inteligencji, kobiety, która po prostu nazywała się Chają, cóż go obchodzić mogło. Wzruszył ramionami nad własnem dzieciństwem i powrócił do swoich zatrudnień.

Nazajutrz przypomniał sobie z pewnem niezadowoleniem obietnicę uczynioną Chai. Cała ta sprawa drażniła go nie wiedzieć czemu; był teraz w jego mózgu jakiś zakątek, do którego zaglądać nie miał ochoty. Skoro jednak obiecał iść, trzeba było. Więc, tak samo jak wczoraj, około godziny drugiej stawił się na Zielonej ulicy.

Niezadowolenie, jakie sprawiała mu ta lekarska wizyta, skrył pod urzędową miną. Nie potrzebował przecież bawić długo lub wdawać się, jak wczoraj, w niepotrzebne rozmowy.

Dnia tego Resi było znacznie lepiej i powitała go z tym bladym uśmiechem na ustach dziecinnych, który tak raduje matki. Była jeszcze bardzo osłabiona, nie mogła poruszać się, ani bawić naklejaniem rozmaitych pudełek, co było zwykłym jej zatrudnieniem. Ale matka, chcąc

ją ucieszyć, nakupiła różnokolorowych papierów, które leżały około niej na łóżku.

Nietylko Resia uśmiechnęła się do wchodzącego Konrada, Chaja podniosła się też pośpiesznie z miejsca, jakie zajmowała na niskim stołeczku przy łóżku córki, twarz jej promieniała, łuna blasków biła z jej wielkich wschodnich oczów, z jej czoła, na którym tkwiła prześliczna pogoda.

— Ona zdrowsza, ona się śmieje! — zawołała wskazując na dziecko.

Widok tego szczęścia, prostoty, z jaką je okazywała, podziałał na Konrada. Wszedł tutaj sztywny i urzędowy; witany jak zbawca, mimowoli uległ wpływowi otaczającej go atmosfery.

— Mówiłem pani — wyrzekł — iż nie byłem wcale potrzebny.

Pomimo to usiadł i zaczął badać stan Resi. Czynił to długo, uważnie, zapytywał matkę o różne szczegóły, a ona zawsze odpowiadała mu bez wahania. Teraz nie chodziło mu już o obecną chwilę, ale o przyszłość; zapragnął gorąco powrócić zdrowie temu dziecku, które od pięciu lat było niemal ciągle przykute do łóżka, wstawało zaś tylko, ażeby po kilku tygodniach znowu doń powracać.

Ani się spostrzegł, jak ubiegła godzina. Przez ten czas wskazał, jaką higienę względem dziecka zachować należy i mówił o tej przyszłości, kiedy Resia wraz z rówieśnicami bawić się i swawolić będzie. Ona słuchała, wlepiając w niego oczy, które podobne były do oczów matki, słuchała go z zachwytem, który uwydatniał się lepiej jeszcze na obliczu Chai.

Czyniąc podobne obietnice, brał na siebie zobowią-

zanie moralne. Spostrzegł się, że znowu postawił krok fałszywy, ale było już po niewczasie. Cofać nadzieje, jakie obudził, byłoby okrucieństwem.

— Zrobiłem nowe głupstwo — wyrzekł sam do siebie, powstając śpiesznie.

Zaczął tłumaczyć Chai, że teraz kiedy nastąpiło szczęśliwe przesilenie w stanie dziecka, nie potrzebują go co dzień, że przyjdzie za dni parę, a dawszy stosowne instrukcyje na ten czas, odszedł tak prędko, że Chaja pożegnać go nie zdążyła. Lękał się, by nie powtórzyła się wczorajsza scena, lękał się tych pieniędzy, których nie miał powodu odmawiać, a które sprawiały mu przecież jakiś wstręt niepojęty.

Szybkim krokiem przebiegł dziedziniec i zatrzymał się dopiero na ulicy. Idąc, zastanawiał się nad swoim postępowaniem, co najmniej zasługującym na nazwę nielogicznego. Potem zaczął w siebie wmawiać, że choroba Resi była szczególną, że ona to zajmowała go tak bardzo i że nawet z tego powodu wstyd mu było brać pieniędzy, gdyż zapłacony był zupełnie korzyścią naukową. I uspokojony tem trochę, poszedł do innych chorych.

* * *

Pani Słońska wybierała się z wizytą do swojej dawnej koleżanki pani Bajorskiej. Wizyta każda, a szczególnie wizyta tego rodzaju, była to rzecz ważna i rzadka w jej życiu i jako taka sprawiła widoczne zamieszanie w małym mieszkaniu. Pani Słońska wydobywała z głębi szafy, szuflad komody, a nawet z sofy, służącej jednocześnie za skład

rzeczy, rozmaite przedmioty, które po większej części potem okazywały się niepotrzebne.

Panna Felicya, wykonywając rozkazy matki, niecierpliwiła się widocznie i wzruszała nieraz ramionami.

Pani Słońska jednak tak była zajęta swoim ubraniem i tem, co na poparcie syna swojego powiedzieć miała żonie jego naczelnika, iż nie zwracała wcale uwagi na te oznaki niezadowolenia.

Siedziała ona przed zwierciadłem, składając po raz dziesiąty włosy, które jak na złość ułożyć się według jej woli nie chciały.

— Jak myślisz, Felutko — odezwała się wreszcie — co ja mam włożyć, czy czarną materyalną czy granatową suknię?

Spoglądała na przemian na córkę i na dwie suknie, zabytki dawnej świetności, rozłożone na łożku, z wyrazem prawdziwego zakłopotania.

— Mojem zdaniem, ani jedną, ani drugą, — odparła bez wahania Felicya.

— Jakto! jak! Sama mówiłaś przecie, że trzeba mi być u Zuzi Bajorskiej?..

— Pani Bajorska — odparła dobitnie Felicya — nie jest mamy przyjaciółką, ani nawet zwykłą znajomą. Mama idzie do niej z interesem...

— To i cóż, dlatego właśnie ubrać się należy...

— Trzeba się ubrać jak interesantka; niech mama włoży czarną wełnianą suknię...

— Co też ty mówisz, to gotowiby wziąć mnie za żebraczkę. Pamiętaj przecie, że na świecie jak cię widzą, tak cię piszą.

— Alboż mama nie idzie prosić?..

Pani Słońska powstała oburzona.

— Prosić, prosić — powtórzyła z nieukontentowaniem — przecież tu idzie o protekcję tylko, a tej potrzebują nawet bogaci i wysoko położeni.

— Ale my nie jesteśmy bogaci, ani wysoko położeni — przerwała córka — a w dodatku stanowi to dla nas kwestyę bytu, niech mama o tem nie zapomina. Może lepiej, żeby o tem pani Bajorska wiedziała.

Rada ta jednak nie trafiła do przekonania pani Słońskiej; spoglądała z żalością na rozłożone suknie, w które ustroić się miała widocznie ochotę. Chciała właśnie zrobić córce uwagę, iż nie wie w jakiej okoliczności włożyłoby jej mogła, kiedy panna Felicja dodała niemiłosiernie:

— Chciałam właśnie mamie powiedzieć, że... że...

Felicja była śmiała i nawykła rzeczy nazywać po imieniu, przecież tutaj zawahała się, spoglądając wyraziście na twarz malowaną matki.

— Cóż powiedzieć chciałaś? — spytała niedomyślna kobieta.

— Że mama wygląda zbyt młodo, zbyt dobrze; pani Bajorska gotowa, patrząc na mamę, nie uwierzyć w przykre nasze położenie.

Wyrzekła to odrazu ze zwykłą sobie szorstkością. W innym razie nie zdobyłaby się pewno na podobną uwagę, ale tutaj szło o byt, szło o brata; wszystkie inne względy milkły wobec tego.

Pani Słońska ściągnęła brwi i nie odpowiedziała nic. Czas jakiś siedziała przed zwierciadłem zamyślona, z rękoma opuszczonemi na kolana. Czy rozważała to co usłyszała? czy się zastanawiała? niepodobna było odgadnąć. Twarz malowana nie podatną była zmianom wyrazu, wy-

glądała jak uśmiechnięta maska na złamanem ciele; tylko palce jej splecione drżały coraz silniej, świadcząc o wewnętrznym wzburzeniu.

Panna Felicya nie patrzyła na matkę, bo inaczej z pewnością byłaby pożałowała słów niebaczących, które zasmuciły ją tak głęboko. Wypowiedziawszy, co miała do powiedzenia, poszła do salonu i wzięła w rękę jakąś robotę.

Pani Słońska czuła się bardzo nieszczęśliwą; zdawało jej się, że ostatni promień słońca zagasa w jej życiu, że nie pozostało jej już nic, nic wcale, prócz utrapienia i smutku.

Myśli jej może nie miały wyrozumowanego ciągu, przecież skupiały się około Felicyi. Córka wydawała jej się okrutną, okrutną podwójnie; naprzód pozbawiała ją tumałkowego garnituru, tu przynajmniej miała racjonalną przyczynę: chodziło o etat Adolfa, o dobrobyt ich wszystkich; ale dlaczegóż pozbawiała ją niewinnej uciechy wydawania się młodszą i ładniejszą, niż była rzeczywiście. Czyż młodszą i ładniejszą nie mogła czuć niedostatku? Prawdziwego motoru słów Felicyi nie mogła odgadnąć, albo też nie chciała przyznać sama przed sobą, iż to nadawało jej cechę śmieszności. Myśl jej odwracała się od podobnej konkluzji, wołała posądzać córkę o zazdrość i złośliwość... wołała dąsać się na nią.

Nie miała odwagi kończyć zaczętego malowania. Odeszła ją ochota wszelka, nietylko do odwiedzenia dawnej koleżanki, ale do uczynienia jakiegobądź kroku, więc rzuciła się na kanapę i z rozpaczny zapaliła papierosa.

Po jakimś czasie, Felicya nie słysząc żadnego ruchu w sypialnym pokoju, weszła tam pod pierwszym lepszym pozorem i zastała matkę odwróconą do ściany, tak, iż tylko

dym wijący się wążutką wstążeczką z papierosa i grubsze kłęby wypuszczane z ust, świadczyły, że nie spała.

Widząc to, stanęła jak wryta na środku pokoju; okoliczności zdawały jej się zbyt ważne, ażeby opuszczać ręce w podobnej chwili.

Pani Słońska słyszała doskonale jej wejście, ale nie poruszyła się i nie dała innego znaku życia nad kłąb dymu, który z podwójną siłą i objętością wzbil się w sufit, jakby chciała za jego pomocą rzucić w niebo skargi swoje.

Panna Felicya znała dobrze obyczaje i nawyki matki; wiedziała, że w ten dziecinny sposób objawiała ona zwykle swoje niezadowolenie, że tak kończyć się zwykły wszystkie sceny domowe, trafiające się niestety dość często. Wiedziała, że zły jej humor trwać będzie aż do obiadu, że skoro podadzą na stół wazę, a ona ją przyjdzie prosić odpowie słabym głosem, żeby jej dali pokój, że jest chorą, że jeść nie będzie, ulegała jednak niezmiennie namowom córki, która dowodziła, że rosół, barszcz, lub każda inna zupa gotowana dnia tego pójdzie jej na zdrowie. Pozwalała się podnieść Adolfowi, siadała do obiadu zasępią, jadła zupę, wzdychając za każdą łyżką, przy sztukamięsie westchnienia jej stawały się już mniej częste, a jeśli jeszcze była jaka legumina, po obiedzie powracała zupełnie do normalnego stanu.

Taki był zwykły przebieg niewinnych kaprysów pani Słońskiej, któremi w braku innego zajęcia urozmaicała sobie życie. Teraz jednak należało jej koniecznie wyjść przed obiadem i to właśnie było powodem przerażenia panny Felicyi.

Nie mogła czekać zwykłego przebiegu moralnej niedyspozycyi matki i namyślała się, jakieby wynaleść na nie

skuteczne lekarstwo. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że można było łatwo powiększyć złe, chcąc je usunąć.

Okoliczności nagliły. Felicya nie była dyplomatką, nie umiała rzeczy obwijać w bawełnę, dlatego też po krótkiej chwili zbliżyła się do kanapki.

— Moja mamó — zawołała — cóż to się stało?

— Daj mi pokój, słaba jestem — odparła zapytana umierającym, zastosowanym do okoliczności głosem, którego dźwięki Felicya znała dobrze.

Przebiegł ją dreszcz niecierpliwości.

— Więc mama nie pójdzie do pani Bajorskiej? — spytała.

Myśl, że w tak ważnej chwili matka bawiła się nędzną komedią, narażając na szwank interes pierwszorzędno znaczenia dla Adolfa, dla niej samej wreszcie, przejmowała ją najwyższem oburzeniem.

Pani Słońska w rzeczywistości sama czuła nierozsądek swego postępowania i czekała sposobności wyjścia z honorem z położenia. W głębi ducha pragnęła tylko dokuczyć córce — a przekonanie, iż dopięła tego zamiaru, było dostatecznem zadośćuczynieniem za doznane przykrości. Rozumiała sama, że wizytę koniecznie odbyć jej należy. Odpowiedziała więc, zapominając nieco o przybranej roli:

— Doprawdy, nie wiem czy potrafię.

— Potrafi mama, potrafi! — wyrzekła nierozważnie Felicya.

— Och! ja wiem, ty nigdy nie uwierzysz w moją chorobę — zawołała znowu ze zwiększonym rozdrażnieniem.

Felicya pożałowała słów swoich, ale nie była dość panią siebie, by postępować jak należy.

— Moja mamó! niechże mama pomyśli, że tu idzie

o całą przyszłość Adolfa, że kto mamę ubiedz może, że tu każda chwila jest drogą i że nam wszystkim lepiej być może.

Głos jej drżał gdy wymawiała proste te słowa, miała rumieniec gorączki na twarzy.

— Mama się spóźni — mówiła dalej oburzona w najwyższym stopniu tem samem, że podobne rzeczy potrzebowały być powiedziane — wszakże o jedenastej jest śniadanie u państwa Bajorskich, poczem pani się ubiera i wychodzi. Mama jej nie zastanie i wszystko będzie napróżno.

— Prawda, później jej nie zastanę — wyrzekła przekonana tym argumentem pani Słońska — któraż to godzina?

Właściwością pani Słońskiej, jak wielu kobiet, które nie spotykały się z realnem życiem i nie miały nigdy nic koniecznego do zrobienia na pewien termin, było to, iż nigdy nie wiedziała istotnej godziny i nigdy na nią nie zwracała uwagi.

Felicja za to jako osoba praktyczna, znała dobrze wartość czasu.

— Już po dwunastej — szepnęła przez zaciśnięte zęby — niech się mama spieszy.

Ale pani Słońska spieszyć się nie umiała, szczególnie, gdy była w złym humorze i czuła się jeszcze w obowiązku okazywać go córce. Pomimo jej pomocy, ubierała się zwolna i zaledwie o wpół do pierwszej gotowa była do wyjścia.

Felicja wyprowadziła ją na wschody, potem powróciła do salonu i rzuciła się na krzesło.

Ona także czuła się nieszczęśliwą i zmordowaną, a co więcej, czuła, że mordowała się nad rzeczami, które były

zupełnie zbyteczne. Gdyby mordowanie jej przynosiło ukończonym jaką rzeczywistą korzyść, gdyby to była praca jaka pożyteczna, chociażby najcięższa, czułaby się przez nią szczęśliwą, znużenie nawet byłoby jej przyjemnem. Ale podtrzymywać wiecznie cudzą energię, cudzą wolę, które upadały bez tej podniety, nie być niczem samą przez się, a cierpieć za wszystkich i dźwigać jeśli nie odpowiedzialność, to skutki niedołęztwa, kaprysów czy słabości — była to twarda dola, której chwilami sądziła, że nie poddała. Gdyby to, co trzeba było uczynić, zależało od niej, gdyby to ona chodziła do biura, gdyby to ona pracowała, miała zwierzchników, czuła dobrze, iż musiałyby zdobyć sobie ich przychylność. Ale cóż ona znaczyła? nie miała ani stanowiska, ani nauki, któraby pozwoliła jej na jakąkolwiek samodzielność? Zresztą w świecie, w jakim wychowała się i wzrosła, nie była wcale wyjątkiem, dola jej była dolą powszechną. Towarzyszki jej dzieciństwa zapewne innej nie miały. Tylko może one nie spotykały się tak jak ona z trudnościami życia, a jeśli się spotykały, to... to musiały cierpieć jak ona i były równie bezsilne.

Myśli Felicyi nie sięgały głębiej. Tysiące trosk ciążyło nad jej głową, a wpośród nich troskę doraźną stanowiła wizyta, na jaką wybrała się matka. Czy zastała panią Bajorską? jak została przyjętą? czy uzyskała obietnicę protekcji dla Adolfa?

Długą chwilę przesiadziała beczynnienie, rachując wiele czasu potrzeba było, ażeby zająć do państwa Bajorskich. Przestrzeń tę znała dobrze; naczelnik Adolfa zajmował apartament w tym samym gmachu, gdzie było jego biuro a ona wiedziała, wiele minut brat szedł do niego lub powracał. Czas dłużył jej się; sądziła, że już od bardzo da-

wna jest samą i zaczynała mieć nadzieję, że pomimo spóźnienia, matka zastała w domu panią naczelnikową, kiedy usłyszała powolne kroki na wschodach, a tuż zaraz niecierpliwe targnięcie dzwonka.

Matka powracała z niczem. Był to fakt drobny, który jednak mógł mieć złe następstwa.

Wówczas Felicja zaczęła sobie wymawiać, że stało się to z powodu jej interwencji, że gdyby nie zwróciła uwagi na niewłaściwe stroje i dodatki, nie wywołałaby złego humoru i matka nie byłaby się spóźniła.

Pani Słońska powracała jeszcze w gorszym usposobieniu, niż poszła i to musiało spaść na córkę.

Weszła, nie mówiąc słowa, niecierpliwym ruchem zdjęła kapelusz i rzuciła go na łóżko, bez żadnego względu na to, że tylko co był przerobiony.

— Mama nie zastała pani Bajorskiej? — szepnęła po-gnębiona Felicja.

— Ma się rozumieć, poszłam późno, mówiono mi że tylko co wyszła. Zmęczyłam się tylko daremnie, a to wszystko przez ciebie.

Felicja przyjęła tę wymówkę w milczeniu; wobec faktu samego, gniew matki tracił znaczenie, zresztą przywykłą była do niesprawiedliwości.

— Będę znów musiała iść jutro — wyrzekła po chwili pani Słońska.

— Żeby tylko nie było zapóźno — szepnęła córka.

— Jakto, więc ty przypuszczasz... — zawołała z oburzeniem.

Nie dokończyła zaczętego frazesu, widocznie jednak sądziła, że skoro zrobiła podarunek naczelnikowej, posada

nie mogła ominąć syna. To też uważała wizytę swoją, jako prostą formę grzeczności.

— Ja się zawsze lękam — odparła Felicya.

— Ależ to byłoby niegodnie — zawołała znowu stara kobieta.

Córka nie przeczyła jej.

— Moja mamó! — wyrzekła po długim milczeniu — jak Adolf przyjdzie, najlepiej nie mówmy o tem wszystkim.

— Dla czego?

Nie umiała na to odpowiedzieć, ale lękała się instynktownie, by ta kwestya nie drażniła go, nie mąciła tego względneho spokoju, jaki dać mu chciała. Wiedziała, że nie lubił z matką mówić o interesach; było to rzeczą bardzo naturalną, on nie miał tej cierpliwości, do której ona musiała się nagiąć, zresztą rozmowa podobna nie doprowadzała do żadnego rezultatu.

— To sprawia mu przykrość — odparła wreszcie — a on przykrości ma tak wiele.

Pani Słowska namyślała się chwilę.

— Och! przykrości! — wybuchnęła wreszcie — alboż ja ich mam mniej od niego, ale o mnie nikt nie pomyśli. Cóż znaczy czym ja chora, smutna, niespokojna... nie zważacie na to!

Zaczęła rozczulać się nad sobą samą. I scena przerwana z powodu wizyty u pani Bajorskiej rozegrała się dalej zwykłym trybem. Powróciła na swoją kanapę i wzdychając paliła papierosy.

Rzeczywiście w tym smutnym domu ona cierpiała także, jakkolwiek córka robiła co mogła, żeby dać jej te drobne wygody i przyjemności, na których zbywało im wszystkim. Było to jednak bardzo mało wobec jej nawy-

knień. A tymczasem jej kaprysy, dzieciństwa, nierozsądek utrudzały znacznie życie ich trojga i czyniły je nieraz nieznośnem.

Felicya znowu zostawszy samą w salonie, próbowała zabrać się do zwykłej roboty. Wzięła haft leżący w szufladzie małego stolika przy oknie i próbowała stawiać metodycznie ściegi z cieniutkiej bawełny, których tysiące składa się na wyrobienie drobnego listka. Ale nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Co chwila igła jej zatrzymywała się nieruchoma. To znowu rzucała robotę i szła do kuchni, zapominała jednak dopomódz Zosi w obiedzie, jak to zwykle czyniła, nie zaglądała do rondli, nie pytała o nic, stała zapatrzona w okno, nasłuchując powrotu brata.

Adolf przyszedł o zwykłej godzinie. Kiedy ujrzała go wchodzącego, pobiegła ku niemu i zatopiła wzrok w jego oczach, jakby wyczytać w nich chciała nadzieję, czy je utratę. Lękała się zniecierpliwic go nawet tem prostem słowem: „I cóż“, którem witała go już tyle razy.

Adolf wzruszył ramionami.

Wówczas powstrzymać się dłużej nie mogła.

— I cóż? — wyrzekła.

Cień przebiegł mu po czole.

— I cóż? — powtórzył — nic, nic jeszcze.

Odetchnęła, lękała się, by już nie było po wszystkim.

— Trzeba czekać — ciągnął dalej z rezygnacją wyrobioną nawykniem.

— Trzeba czekać! — powtórzyła żywiej — to nic czekać, byle doczekać się w końcu.

Błysk nadziei, widoczny w tych słowach, zadziwił go, ale podzielić jej nie mógł.

— Och! Felo! — szepnął — czekaliśmy tyle razy...
i zawsze napróżno.

— Tym razem, obaczysz, będzie inaczej.

— Czemu? czy ty coś wiesz? czy miałaś obietnicę
jaką?

— Mam dobre przeczucie — odparła, nie chcąc w tej
chwili powiedzieć mu więcej, dopóki nie będzie miała za-
pewnienia protekcji pani Bajorskiej.

Odpowiedz ta nie zaspokoila go.

— Tylko przeczucie — wyrzekł niechętnie — to
niewiele!

Widocznie on tego przeczucia nie podzielał. Siostra
pytała go czy mówił z naczelnikiem, ale dnia tego była
sesja, pan Bajorski był nadto zajęty, nie przyjmował żad-
nego ze swych urzędników, a przytem był w tak cierpkim
usposobieniu, iż chwila była źle wybrana do przełożenia mu
jakiejbądź prośby.

Takie tłumaczenia Felicya słyszała, ile razy wakans
otwierał się w biurze; ile razy namawiała go, błagała na-
wet, by przemówił sam za sobą, odbierała podobne odpo-
wiedzi. Słyszac je znowu, nie mogła powstrzymać wyrazu
niecierpliwości.

— O! — szepnęła sama do siebie — gdybym ja
była na twojem miejscu!..

Dosłyszał te słowa, ale nie wywołały w nim one żad-
nego śladu podbudzonej działalności. Mętne oczy nie oży-
wiły się iskrą żadną. Wzruszył ramionami.

— Gdybyś była na mojem miejscu — odparł — zro-
zumiałabyś wiele rzeczy, których nie rozumiesz, i robiłabyś
to samo, co ja.

Umilkła niekoniecznie przekonana, bo i po cóż daremnie sprzeczać się miała?

Tymczasem Zosia postawiła na stole dymiącą wagę.

— Idź po mamę — wyrzekła do Adolfa.

— Albo co znowu? — spytał.

Zrobiła wymowny ruch, który znaczył wyraźnie, że pani Słońska kaprysiła swoim zwyczajem i zaczęła rozlewać zupę, pewna z góry, że Adolf matkę przyprowadzi.

Obiad zeszedł milcząco; pani Słońska przyszła wprawdzie zasiąść miejsce swoje, ale jadła zupę nie mówiąc nic i nie podnosząc oczów z talerza. Niepokój widniał na twarzy Adolfa, niepokój posępny i apatyczny, w czasie gdy Felicya z trudnością ukryć mogła trawiącą ją gorączkową czynność.

Czuła ona, iż dzień ten był zmarnowany dla ich zabiegów. Po obiedzie brat musiał iść do rejenta, pani Bajorska nie przyjmowała wcale, pan Bajorski spał, a obudzony się, wieczorne godziny regularnie przepędzał w reursie, gdzie zbierała się codzień partya wista.

Felicya ze swojej strony nic uczynić nie mogła, przecież dusiła ją atmosfera tego ponurego domu, gdzie nikt nie zaglądał, gdzie konały wszystkie echa świata tak dalece, iż Warszawa wymrzeć mogła, a one nicby nie wiedziały o tem. Prenumerata jakiegobądź czasopisma uważaną była w tym biednym domu jako zbytek. Czasem pani Słońska posyłała prosić sąsiadów z przeciwka o pożyczenie *Kuryera*, ale od czasu jak zaszła pomiędzy dwoma domami jakaś sprzeczka o klucz od góry, stosunki sąsiedzkie ustały. Odtąd wiadomości polityczne dostawały się do rodziny Słońskich jedynie za pośrednictwem Adolfa, który czasem w biurze czytał jaką gazetę. Nekrologię czytała

Felicya z klepsydr, rozlepionych po rogach ulic, a wiadomości brukowe przynosiła z targu Zosia, najczęściej fantastycznie przeistoczone.

Wprawdzie Felicya nie miała znajomych, do którychby na gawędkę pójść mogła, dom ich był zanadto ubogi, by zawierały towarzyskie stosunki, które zawsze muszą pociągać za sobą wydatki. Z równie ubogimi nie raczyły się zadawać, do wyższych nie miały prawa. Żyły więc w zupełnem odosobnieniu. Felicya mało znała świata i nie miała do niego pociągu, przecież były dni i godziny, w których ciążyła jej ta samotność, w których ją przygnębiała i wśród wielkiego miasta czuła coś nakształt tego, co czuje wędrowiec zabłąkany wpośród pustyni.

W takich chwilach zwykle szła do kościoła; tam nawet spotykając się często z jednymi osobami, zawarła niektóre znajomości. Znajomości te, rozpoczęte od zrobienia miejsca w ławce, od zapytania, który ksiądz będzie miał kazanie, lub w której kaplicy i konfesyjale spowiadać będzie — powoli stawały się ściślejsze. Osoby mające nabożeństwo do szczególnych świętych lub uroczystości, tworzyły grupy związane jednakiemi modłami, jednakim kierunkiem mistycznych porywów, spotykały się chętniej, interesowały się sobą wzajemnie. Powoli pomiędzy pobożnymi westchnieniami zwierzały się sobie z osobistych smutków, prosiły o modlitwy na rozmaite intencje i z kolei nabrały prawa do wzajemnych modlitw i zwierzeń.

Takie było poznanie Felicyi z panną Kordulską, która ciekawa, jak nieodrodna córka Ewy, gadatliwa, śmiała, grała w kościele rolę mistrza ceremonii, znała wszystkich bez wyjątku. Czasem jej piwne małe źrenice miały bystrość ostrowidza, dopatrując ludzi, kryjących się nawet

w najciemniejszych zakątkach, a raz ujranych nie zapomniała nigdy. Nie miała też pokoju, dopóki nie dowiedziała się ich nazwiska, i położenia, a z temi co stałe przychodzili nie zawiązała jakichbądź stosunków.

Oprócz niej jednak, Felicya spotykała często inne jeszcze osoby w kościele, znała wiele z twarzy przynajmniej, a wiele nawet z nazwiska; szczególnie kiedy po obiedzie szła do kościoła, kiedy wypadały nieszpory, lub wprost tylko chciała odmówić różaniec albo koronkę, była jakby pomiędzy swoimi.

Pomimo to Felicya nie codziennie bywała w kościele. Rano często nie miała czasu, wstrzymywały ją domowe zajęcia; po obiedzie zaś sama wychodziła niechętnie, gdyż zwykle Konrad wybierał tę godzinę na swoje rzadkie odwiedziny. Wprawdzie mijały miesiące całe, a on nie pokazał się u nich, ale, gdyby też przyszedł?... gdyby przyszedł, a jej nie zastał?..

Ta obawa starczyła, by zatrzymać ją w domu. Czasem zapytywała samej siebie ze smutkiem, czemu odwiedziny te były tak rzadkie? I wówczas pocieszała się myślą, że Konrad jest bardzo zajęty.

Dnia tego przecież Felicya nie mogła spodziewać się Konrada; widziała się z nim dziś rano, gdyby miał zamiar odwiedzin, byłby to powiedział. Zaledwie więc Adolf wyszedł, gdy i ona zarzuciła szybko okrycie, włożyła kapelusz i przyszła pożegnać matkę zapytaniem zwykłym w podobnych razach:

— Czy mamie czego nie potrzeba?

Pani Słońskiej potrzeba było mnóstwo rzeczy i ona wiedziała o tem dobrze; brakło z pewnością nie sprawunków, ale możliwości.

Stara kobieta, zamiast odpowiedzi, spytała z kolei, gdzie idzie Felicya?..

Nie lubiła zostawać samą, nudziła się więcej jeszcze w nieobecności córki i z nudów wpadała w niepokój.

Felicya zmyśliła zakupy konieczne; lękała się by im nie zabrakło cukru, a wreszcie nie było już sucharków do herbaty, które stanowiły główną osłodę losu pani Słońskiej.

Przekonana tym argumentem, nie opierała się więcej wyjściu córki, która czemprowadziej zbiegła ze schodów, przeszła dziedziniec nie oglądając się wcale i dopiero znalazłszy się na ulicy, odetchnęła swobodnie i głęboko.

Miała uczucie takie, jak gdyby wydostała się z więzienia.

Dom coraz bardziej zdawał się ciasnem więzieniem.

Poszła wprost do kościoła.

Wieczór zapadł; w kościele panowała zupełna pomroka, gdzieniegdzie lampa migotała mdłym światelkiem. Z powodu trwającego odpustu, przy jednym z bocznych ołtarzy paliły się świece i tam skupiała się gromadka ludzi.

Nie wszystkich zebranych można było zobaczyć; światłokrąg obejmował głów kilka, reszta ginęła w cieniu i tylko rozlegał się szept tajemniczy modlitw, westchnień, stłumionych pieśni.

Kiedy się stanęło w cieniu poza filarem, można było sądzić, że te niewyraźne głosy wydobywały się z wnętrza świątyni, że przemawiały w ten sposób posągi i pomniki jakie ją zaludniały, że była to skarga umarłych i zapomnianych, podnosząca się w godzinie ciszy i mroku.

Dopiero gdy oczy przywykły do atmosfery kościoła, postaci ludzkie snujące się po jej wnętrzu, stawały się wyraźne.

W ławkach zrzadka siedziały kobiety, albo też mężczyźni podeszli wiekiem; gdzieniegdzie widać było istotę ludzką klęczącą w jakim ciemnym zakątku, lub pochyłoną ku ziemi pod brzemieniem cierpienia.

Ludzie ci przynosili tutaj swój ciężar, swoją troskę ażeby nabrać sił do dźwigania ich dalej. Kościół wyglądał uroczyście; pomimo ponurego pozoru, atmosfera cała zdawała się przesiąkniętą woniami kadzidła, ogrzana światłem i oddechem tłumów, które zalegały ją dzień cały.

W powietrzu zdawały się drgać poważne tony organów i pieśni ludu, a szepty, które wznosiły się cichym szmerem z innych zakątków, były jakby echem po nich pozostałym.

Felicya nie miała marzącego usposobienia, dlatego zamiast zatrzymać się w cieniu, spieszyła do oświetlonego kręgu kościoła przed ołtarz. Tutaj uklękła i modlić się zaczęła. Modlitwa raczej była u niej wyraźną prośbą, niż gorącą aspiracją; myśl jej zbyt gwałtownie zaprzątnięta była pragnieniami doczesnymi, by mogła się rozpląnąć istotnie w mistycznych rozkoszach.

Mistycyzm ten istniał może u niej nakształt siły w spoczynku, którą dotąd okoliczności nie wprowadziły w stan czynny; stanowiło to może nieświadomą dla niej samej przynętę, wabiącą ją w progi kościoła...

Dzisiaj jednak, w obecnem jej usposobieniu, kościół stanowił szczególną rozrywkę wśród monotonnego życia, jakie wiodła, ucieczkę przed codziennymi grymasami ma-

tki, dawał jej spokój, jakiego w domu nie miała nigdy i towarzystwo, które było czasami potrzebą jej natury.

Pomodliwszy się, Felicya rozejrzała się pomiędzy osobami w koło ołtarza i w miarę jak która z kobiet podnosiła głowę, zamieniała z nią spojrzenie, ukłon lub uśmiech przyjazny.

Nieszpory były już dawno skończone i kobiety rozchodzić się zaczynały. Żegnając się pomiędzy sobą, niektóre rozmawiały o jutrzejszem nabożeństwie, a od nabożeństwa przechodziły nieznacznie do własnych kłopotów i interesów.

Felicya miała już wychodzić także, gdy ujrzała przy sobie czarne pióro, krogulczy nos i małą postać panny Kordulskiej, która wpadła do kościoła, przeżegnała się na przedce, i odmawiała jakąś modlitwę, podczas której małe jej oczki żywo biegały w około, widocznie kogoś szukając.

Osobą szukaną była zapewne Felicya, bo panna Kordulska przyskoczyła do niej i rzekła bez ceremonij, przerywając niedokończoną modlitwę:

— Byłam pewna, że panią tu zastanę.

— Mnie! — odparła po cichu, zdziwiona i zgorazona tą interpelacją, uczynioną dość głośno.

— A tak! panią — mówiła, bynajmniej nie zmieszana stara panna.

Poczekwała chwilę, jakby spodziewając się zapytań, a gdy Felicya ich nie czyniła, dodała:

— A cóż Adolf?.. Jak stoi jego interes?

Dotknęła tym sposobem drażliwej strony Felicyi. Krew uderzyła jej do twarzy.

— Adolf... — powtórzyła, zapominając gdzie się znajduje — alboż my wiemy?..

Panna Kordulska uśmiechnęła się z wyrazem pogardliwej wyższości.

— No! bo ja słyszałam... — wyrzekła.

I zwyczajem wielkich oratorów, powieściopisarzy i tych wszystkich, którzy biegli są w wywoływaniu efektów, zatrzymała się w najciekawszym miejscu.

— Co pani słyszałaś, powiedz! powiedz na miłość Boską! — zaklinała ją Felicya.

— Słyszałam!.. tylko nie wiem czy to prawda?..

A widząc, że przestrach odmalował się wyraźnie na jej twarzy, dodała:

— Nie bierz-że pani tego tak do serca... niema jeszcze nic pewnego...

Felicya oparła się o filar. Czuła, że usłyszy jakąś złą wiadomość.

— Mów pani, mów przez litość — szepnęła głucho — nie spodziewałam się nic dobrego, w każdym razie wolę wiedzieć...

— Nic się jeszcze nie stało, wszystko odrobić się może, tylko słyszałam, że inny aplikant Rozmiński, chwalił się, że on wakujący etat dostanie...

Felicyi w oczach pociemniało.

— To byłaby krzycząca niesprawiedliwość — zawołała — Rozmiński najpóźniej przybył do biura.

Przebiegłe oczy panny Korduli zamigotały.

— Ot! — wyrzekła filozoficznie — kto tam mówi o sprawiedliwości.

— Prawda! prawda! — wyrzekła półgłosem nieszczęśliwa Felicya.

— To też skoro dowiedziałam się o tem, przybiegłam szukać pani i ot! Bóg mi dopomógł, znalazłam.

Mówiła to z takim tryumfem, jakby sam fakt powtórzenia nadziei Rozmińskiego siostrze jego kompetytora, nadzieje te mógł zniszczyć.

Felicya jednak stała w miejscu z głową pochyloną na piersi.

Panna Kordulska widząc jej nieruchomość, dodała trącając ją w rękę książką od nabożeństwa:

— No! jesteś pani ostrzeżoną... trzeba na to coś radzić...

Felicya załamała ręce rozpaczliwym ruchem.

— Radzić! — powtórzyła — radzić!.. gdybym wiedziała jak?..

Stara panna rozśmiała się swoim ostrym śmiechem, a pióro, górujące nad jej kapeluszem, poruszało się tryumfalnie.

Przez czas jakiś spoglądała na Felicyę, aż w końcu nachyliła się ku niej i szepnęła:

— Ażeby szaleć na swoją stronę przechylić, trzeba zapłacić, inaczej nic nie będzie...

Widocznie przekonana, że Felicya półsłówek nie rozumie, decydowała się kłaść kropki nad literami.

— Nie ma rady! trzeba zapłacić... — powtórzyła podkreślając ten ostatni wyraz.

Życzyła dobrze Słońskim nie dlatego, by los ich obchodził ją szczególnie, ale z powodu, iż miała poczucie sprawiedliwości i rycerskie usposobienie, które kazało jej zawsze stawać po stronie pokrzywdzonych. Może dzięki tej niepraktycznej cnocie, los jej nie był godnym zazdrości, jak o tem świadczyło ubogie ubranie. Może zresztą ubierała się tak przez fantazyę, bo ostatecznie środków jej nikt nie znał, a ona nie skarżyła się nigdy i nigdy nic od

nikogo nie potrzebowała dla siebie. Za to zajmowała się bardzo czynnie cudzemi sprawami i biegała gorliwie za interesami bliźnich.

— Trzeba zapłacić — powtórzyła po raz trzeci.

Biednej dziewczynie wyraz ten wpadł w ucho niby głos trąby i wstrząsnął nią całą.

W tej chwili zwróciła się do panny Kordulskiej, która wydała jej się duchem opiekuńczym i postanowiła zwierzyć jej się ze wszystkim.

— Nie mamy czem zapłacić — szepnęła rumieniąc się, bo ubóstwo przejmowało ją wstydem.

Kordulska nie zwróciła na to uwagi. Fakta zajmowały ją stokroć więcej, niż ich psychiczna strona.

— To nic — zauważyła — albo to kto płaci gotówką; robi się układ, płaci się z tej pensyi, jaką pobierać się będzie.

— Jakto! jak? więc trzebaby mówić o tem, ułożyć się?..

Wpatrywała się w starą pannę znowu z tem naiwnem zdumieniem, świadczącym o zupełnej niewiadomości życia.

— A tak... tak — przytakiwała ona — ludzie tak robią.

— My — szepnęła Felicja, nabierając coraz więcej zaufania do tej doradczyni — my posłaliśmy prezent.

— No, dobre i to, chociaż pieniądz zawsze trafi do ucha, a prezent tylko czasami. I cóżeście posłali?

Felicja dała żądane objaśnienia.

Kiedy panna Kordulska dowiedziała się, że prezent dzisiaj dopiero został posłany, zaczęła się namyślać.

— Ha — szepnęła — może chwalba Rozmińskiego

była przedwczesną, głupi ludzie zawsze tak robią, bo ten Rozmiński jest głupi jak stołowe nogi.

— Nie tak bardzo — wtrąciła Felicya — skoro potrafił sobie radzić, podczas gdy my...

— O wy żyjecie jak ślimaki w swojej skorupie, a to się na nic nie zda. Ludzie ludziom zawsze potrzebni, to trudno.

— Prawda — zawołała biedna dziewczyna, uderzona tą powszednią prawdą, która jej czasem przychodziła na myśl, tylko nie w tak konkretnej formie.

Panna Kordulska zaśmiała się tryumfalnie.

— Ha! ha! zdaje wam się, że bieda od świata uwalnia. Gdzie tam! ona go narzuca. Biedak umrze w swojej norze zapomniany, trzeba mu wyjść na słońce, pokazać rany i wyciągnąć rękę, a przynajmniej kręcić się pomiędzy ludźmi, kręcić się do upadłego.

Wypowiedziawszy to jednym tchem, stara panna przypomniała sobie widać jakieś interesa, lub też wprost chciała maksymę swoją w czyn wprowadzić, bo pożegnała się na prędce i wybiegła z kościoła.

Kiedy Felicya się obejrzała, światła były pogaszone, ludzie się rozeszli, a po świątyni rozlegały się tylko ciężkie kroki kościelnego dziada brząkającego kluczami. Przypomniała sobie, że było późno, że należało powracać do domu i skierowała się ku niemu, była jednak tak zaabsorbowana tem co usłyszała, iż nie zrobiła sprawunków, które posłużyły jej za pozór do wyjścia. W głowie jej był istny chaos, a niepokój ścisnął jej piersi i dławił jakby żelazną ręką.

Poderzwiami mieszkania zadzwoniła i zanim jej otworzono, doleciały ją z wnętrza odgłosy spazmatycznego płą-

czu, wśród którego dochodziły ją czasami wykrzyki i perswazye Zosi. Widocznie trafiała na scenę.

W usposobieniu, w jakim się znajdowała, przyszła jej ochota zawrócić się i iść gdzie ją oczy poniosą, byle uniknąć tego wszystkiego, co ją w domu czekało. Ale była to myśl szalona, bo naprzód nie miała gdzie iść wcale, a potem prędzej czy później scena odbyć się musiała. Nie zyskiwała nic na zwłocę, a przeciwnie burza, jaka miała spaść na jej głowę, byłaby tylko bardziej gwałtowną.

Były to codzienne przykrości jej życia, powinna była do nich przywyknąć, przecież przywyknąć nie umiała, a były momenta, w których wprost znieść ich nie była w stanie. Przyszedł na nią taki moment.

Zmordowana moralnie i fizycznie stała oparta o mur, gdy Zosia drzwi otworzyła.

— O dla Boga! — zawołała — Dobrze, że panienka przyszła, bo pani tam płacze i lamentuje, że się panience nieszczęście przytrafiło, już nie wiedziałam co robić. I zdejmowała z niej okrycie.

Słyszac wchodzącą córkę niepokój pani Słońskiej ustał, ale za to uczuła nagle wielki gniew i żal do niej za to, że go wywołała.

Siedziała na krześle najbliższem drzwi, by mogła usłyszeć łatwiej szmer na wschodach. Przy niej stała flaszcza anodynowych kropli, któremi trzeźwiła ją Zosia i szklanka wody. Była widocznie rozgorączkowana. Daremnie było przedstawiać, iż nie miała żadnego powodu do trwogi i smutku z powodu nieobecności córki, rozsądek, był, jak wiemy słabą stroną pani Słońskiej, rozmijała się z nim bez żadnego skrupułu, a stan, w jakim się znajdowała, budzić musiał prawdziwą litość.

— A to nieszczęście prawdziwe — zawołała poruszona córka — dla czegoż mama się tak niepokoi?

— Nieszczęście! nieszczęście! — wybuchnęła stara kobieta — i ty i brat twój nie macie litości nademną, obym raz umarła już. Przynajmniej nie dokuczalibyście mi więcej.

Pomimo nierozsądku i kapryśków matki, Felicya kochała ją całą siłą swej gorącej duszy. Więc choć skargi jej były dziecinne, nie mogła słuchać ich spokojnie.

— Moja mamó! — szepnęła, chcąc wiaść ją za rękę — nie wiedziałam...

Ale pani Słońska wyrwała rękę.

— Nie wiedziałas — zawołała — że ja się niepokoję, że jestem chora, zdenerwowana, nieszczęśliwa, chcesz mnie dobić!..

I tu znów rozczuliła się nad własnym losem, a łzy rzuciły się z jej oczów. Felicya stała jakby skamieniała.

Przyszło na nią znużenie śmiertelne, upadała pod sztyfowem zadaniem dzwigania ciągle jednych zarzutów i powtarzania jednych tłumaczeń. Na co? dla czego? Jeśli matce podobało się być niesprawiedliwą, niechby ją potępiła. Ona już nie miała sił do walki żadnej.

Ale ludzie zazwyczaj nie troszczą się o to, czy kto ma, czy nie ma siły do znoszenia tego co mu w udziale przypadło, są bezmiłosierni jak los i tak ślepi jak on, a jeśli jednostka upada pod ich ciosami, tem gorzej dla niej, spełnia się nad nią smutne prawo, które na całej drabinie stworzenia niweczy słabych dla tego, że są słabymi. Postępki ludzkie mają często brutalność ślepych sił natury, są nieubłagane, bo także bezświadome.

Dramat rozgrywający się co chwila pomiędzy matką

a córką nie miał istotnej racyi bytu, poczynął się w chorobliwej, zdenerwowanej wyobraźni, przecież nie mniej był bolesny dla jednej i drugiej strony. Jakkolwiek powód był urojony, cierpienie przezeń powodowane było aż nadto realne, wyciskało matce i córce łzy prawdziwe, doprowadzało je obie do rozpacz, zatrzuwało do reszty i tak ponure życie obydwóch. Każda z nich czuła się pokrzywdzoną przez drugą, każda we własnem przekonaniu miała się za ofiarę.

Powierzchnowy badacz mógłby się rozśmiać z tych scen, z tych wymówek spowodowanych najbłahszym przedmiotem, a kończących się tak u matki, jak u córki pragnieniem śmierci; ktoby jednak w tej chwili spojrzął na Felicyę, musiałby o śmiechu zapomnieć. Siedziała nieruchoma z rękoma opuszczonemi na kolana. Nie zakrywała oczów rękami, ale miała w nich taki wyraz, jakby nie widziała dobrze tego, co się przed nią działo i nie słyszała wyrzekań matki.

Pani Słońska nie była przyzwyczajoną do podobnego milczenia i rozwodziła dalej swoje żale, spoglądając od czasu do czasu na Felicyę. I słychać było tylko przez czas jakiś w pokoju płaczliwy głos starej kobiety, a w kuchni wtórował mu brzęk filiżanek i łyżeczek, które Zosia przygotowywała do herbaty.

Nagle wśród jednostajnej kaskady wyrazów, dał się słyszeć klucz obrócony we drzwiach przedpokoju. Dźwięk ten doleciał do uszu Felicyi i zbudził ją z letargu, w jakim zdawała się być pogrążoną. Powstała, jakby tknięta iskrą elektryczną.

— Moja mamó — szepnęła z łagodnością u niej niezwykłą — Adolf idzie.

Te słowa i przyjście syna nadało inny kierunek myślom starej kobiety; znudziwszy się już wyrzekaniem, którego nie wypadało jej zaprzestać bez powodu, rada była tej dywersyi.

Felicya wysileniem woli zapanowała nad sobą i potrafiła zająć się jak zwykle codziennymi sprawami. Przywitała brata, potem zrobiła herbatę, usłużyła wszystkim, tylko czyniła to w milczeniu. Nie miała już ani odwagi, ani ciekawości badać brata, nie miała na to siły. W głębi jej serca tkwiło przekonanie, że etat brata był znowu odłożony, a dalej tkwiło przekonanie inne, więcej jeszcze rozpaczliwe, że tak będzie zawsze, że wszystko pójdzie coraz gorzej, a oni staczać się będą powoli w otchłań nieszczęścia i nędzy.

Nie mówiła o tem przecież. Na cóż mówić miała? Nadewszystko lękała się zarazić brata swoim zwątpieniem i ukrywała je przed nim jak mogła.

On także był zasepiony i zarówno jak ona nie szukał sposobności do rozmowy. Zamiast nadziei, widocznie ciążyła nad całą rodziną troska ciężka, tak ciężka, iż dzielić się z nią wzajem nie chcieli.

Wieczorem wszyscy udali się wcześniej na spoczynek, a chociaż pani Słońska zasnęła zaraz swoim zwyczajem, Felicya wykradła się do brata na poufną gawędkę. Ani ona, ani Adolf nie zmrużyli przecież oka tej nocy. Felicya słyszała z drugiego pokoju, jak wzdychał i kaszłał, nie poszła jednak zanieść mu uspakajającego lekarstwa, zatopiła głowę w poduszce, jakgdyby chciała zatkać sobie uszy i nie dała żadnego znaku życia. Lękała się nadewszystko w tej chwili mówić z nim szczerze.

Nazajutrz Felicya pilnowała już godziny zamierzo-

nej wizyty. Ubrała matkę i wyprawiła ją do pani Bajorskiej.

Dokonawszy tego, doznała ulgi dziwnej; usiadła zmęczona na kanapie i samotność tak rzadka w tem ciasnem mieszkaniu, w którym każdy słyszeć musiał najmniejszy ruch lub odezwanie się drugiego, miała dla niej urok wielki. I powoli, wśród ciszy, myśli jej i wrażenia zaczęły powracać do równowagi. Zapytała samej siebie, czemu była tak zrozpaczoną i przyszła do przekonania, że nic nie było straconego, że słowa panny Kordulskiej wcale nie przesądzały sprawy Adolfa, że w podobnych razach obiega zawsze mnóstwo pogłosek, a ona była szaloną, biorąc je tak do serca.

Pani Słońska nie spóźniła się dnia tego; właśnie tylko co skończyło się śniadanie u państwa Bajorskich, kiedy dzwoniła do przedpokoju. Zameldowano ją. Dawna koleżanka zapewne spodziewała się tej wizyty, a jakkolwiek nie była jej bardzo rada, co łatwo było zrozumieć po wyrazie twarzy, z jakim przyjęła nazwisko wypowiedziane przez służącego, kazała przecież natychmiast prosić do salonu.

Pan Bajorski usłyszał także, jak meldowano panią Słońską i jego oblicze, napiętnowane wyrazem niezadowolenia, zachmurzyło się jeszcze bardziej. Przygryzł wargi, w sposób sobie właściwy, kiedy mu coś przykrość sprawiało i bocznymi drzwiami wyszedł do biura, mówiąc sam do siebie:

— Słońska, Słońska, hm, Słońska...

Nie wiadomo, co to powtórzone nazwisko znaczyć miało; to pewna jednak, że nie wróżyło nic dobrego, bo za każdym razem uwydatniał się więcej cierpki wyraz na

jego twarzy, a on sam zdwajał kroku, jakby uciekał przed myślą jakąś dla niego nieznośną.

Pani Słońska jednak tego widzieć nie mogła; ona ubrawszy usta w najpiękniejszy uśmiech, siedziała w salonie pani naczelnikowej, oczekując gospodyni domu.

Wszystko tutaj tchnęło bogactwem i wykwintem. Ciemno czerwone aksamitne meble harmonizowały z takimiż portyerami, firanki przyciemniały zbyt rażące światło południa i pogrążały cały pokój w dyskretnym półcieniu. Żardinierki i wazony pełne roślin o różnokolorowych liściach, ożywiały wielki salon, odejmując mu nieco chłodu. Piękne obrazy rozwieszane były na ścianach, w rogach artystyczne figury brązowe podtrzymywały lampy. A przytem pełno tu było gustownych cacek, drobiazgów, albumów, świadczących o kobiecej ręce.

Pani Słońska przyglądała się temu otoczeniu z widoczną rozkoszą. Zdawało jej się, że tutaj była na miejscu, jakie jej się przynależy, oddychała atmosferą sobie właściwą, odnajdywała dawne przywyknienia. Byłaby długo bardzo czekała bez przykrości żadnej, gdy przez drzwi boczne weszła pani Bajorska. Po kobiercu zaścielającym salon, sunęła się w eleganckim stroju, otoczona fałdami długiego trenu. Miała ona za zasadę nigdy nie pokazywać się gościom, jakiegokolwiek zajmowałiby oni stanowisko w hierarchii społecznej, w zaniedbanem ubraniu, jakie nosiła zwykle za kulisami domowego życia. Strój jej harmonizował z salonem, był tak jak on bogaty i gustowny.

Pani Bajorska słynęła niegdyś z piękności, a piękność bądź to skutek życia bez troski, umiejętnego pielęgnowania, czy też sztuki, ale sztuki tak wysoko posuniętej, iż nie można było dostrzedz jej śladów, była jeszcze uderza-

jącą. Kiedy wchodziła do sali balowej z Manią, Janią i Ludką trudno było uwierzyć, iż dwa pokolenia mogły w ten sposób z sobą wdziękami rywalizować. Wyglądała ona teraz na córkę swojej dawnej koleżanki, która w czarnej, wełnianej sukni z twarzą wyżółkłą i zmarszczoną, nie była wcale podobną do owej świeżej złotowłosej Anielki, będącej niegdyś wraz z Zuzią jedną z najładniejszych dziewcząt na pensyi.

Porównanie to było bolesnem dla pani Słońskiej, czuła się może więcej upokorzoną własną powierzchownością, jak strojem. Największa jednak różnica istniała teraz pomiędzy wyrazem twarzy tych dwóch kobiet.

Na niewyrobionej, okrągłej niegdyś twarzy pani Słońskiej, która pomimo wieku zachowała naiwne zdziwienie i bezświadomość pierwszej młodości, wryły się troski, smutki, żale i niepokoje lat ostatnich wyraźnemi zgłoskami; była ona przygnębioną i onieśmieloną nieszczęściem, blade jej czoło, okolone siwemi włosami spuszczało się z smutnem poddaniem pod ciężarem losu, który ją przygniatał. Oczy jej zdawały się spoglądać na świat przez mgły łez, a głos nawet nabrał skarzących się brzmień, jakby odzywały się w nim tłumione westchnienia.

Prawdziwie jeśli Felicja chciała, by matka jej nie wyglądała ani zbyt młodo, ani zbyt zadowoloną, aż nadto dopięła swojego celu.

Na pani Bajorskiej przeciwnie, znać było życie czynne, przyjemne, zadowolenie z samej siebie i z własnego położenia, którego była głównym filarem. Rysy jej regularne, chłodne, formalne, tchnęły nieco dumnym spokojem i pewnością siebie, jaką daje nieograniczone i niekwestynowane panowanie.

Przywitała dawną koleżankę grzecznie, ale z tym odzieniem, który określa odrazu granice położenia społecznego i kładzie tamę wszelkiej poufałości.

Koleżeńskie nawyki, jak nazywanie się po imieniu, oddawna ustało pomiędzy nimi, ale gdyby tak nie było nawet, to pani Słońska w tej chwili nigdy nie śmiałaby nazwać wprost Zuzią tej wykwintnej kobiety, ubranej w plusze i atłasy, pomieszane kunsztownie wedle ostatniej mody, ręką artystycznej krawcowej.

Rozmawiając z nią, pani Słońska, która całe życie miała słabość do stroju, przyglądała się z poszanowaniem i chciwą ciekawością skomplikowanej mieszaninie falban, plis, buf i t. p., które składały misterną całość; przyglądała się z rodzajem zazdrości kruczym włosom i błyszczącym oczom gospodyni domu, zapytując z przerażeniem przeciwległego zwierciadła, do czego była przy niej podobna. A zwierciadło odpowiadało jej smutnem odbiciem jej własnej postaci, że była plamą wpośród otaczającego ją zbytku.

— Pani byłaś wczoraj u mnie — rozpoczęła gospodyni po pierwszych powitaniach — przykro mi prawdziwie, że nie była w domu i że pani trudzić się musiałaś dwa razy.

Pani Słońska odpowiedziała jak należało, iż mniejsza o utrudzenie, skoro miała szczęście obecnie widzieć panią naczelnikową, a jako osoba mająca nieco światowej wprawy, wtrąciła, iż patrząc na nią, sądzi, że od wyjścia z pensyi minęło zaledwie lat parę, bo nigdy piękniejszą nie była.

Pani Bajorska przyjęła ten komplement łaskawie, jako rzecz sobie należną, a następnie przypomniawszy sobie za-

pewne garnitur tumakowy, zapytała jak przystało dobrej monarchini, czem mogłaby się jej przysłużyć? To jednocześnie dowodziło, że pani Bajorska nie brała za prostą wizytę bytności u siebie pani Słońskiej i nie upoważniała jej do takowej.

Wówczas matka Adolfa wypowiedziała swoją prośbę.

Pani Bajorska wysłuchiwała ją cierpliwie, poprawiając od czasu do czasu koronkę mankietów.

— Doprawdy — wyrzekła, kiedy skończyła wreszcie — tak mało wiem, co dzieje się w biurze, iż myślałam, że syn pani dawno etat otrzymał. Są to sprawy mojego męża; prawdziwie nie pojmuję, co się to stać mogło. Ja, przyznaję się, zazwyczaj więcej myślę o balach i zabawach moich córek, któremi jestem umęczona, niż o rzeczach... o rzeczach, które właściwie do mnie nie należą.

Mówiąc to, jak wszyscy wielcy dyplomaci, pani Bajorska miała tak dobroduszną minę, przyznawała się ze wstydem i wahaniem do swoich światowych nawyknień, iż niepodobna ją było o kłamstwo posądzić.

I naturalnie pani Słońska uwierzyła jej na słowo, bo jakżeż mogła nie wierzyć tak pięknej, tak strojnej kobiecie, która posiadała tak wykwintny salon.

— Nic dziwnego — szepnęła — nic dziwnego; kiedy mąż mój urzędował, ja także nie wiedziałam o niczem.

Na wspomnienie męża i dawnych czasów, łzy cisnęły jej się do oczu. Ale pani Bajorska, która już kilka razy podobne łzy widziała i nie miała najmniejszej ochoty wysłuchać żalów długich i mało interesujących, uśmiechnęła się w duchu z naiwności pani Słońskiej, która się do niej równała i przerwała pospiesznie:

— Tak, tak, już to my, kobiety, nie lubimy zajmować się interesami, to nie nasza rzecz.

— W takim razie — wyrzekła zafrasowana pani Słońska, biorąc te słowa w literalnym znaczeniu — może byłoby lepiej, gdybym mogła się zobaczyć z samym panem naczelnikiem...

Mówiła to bardzo nieśmiało, podnosząc na swoją koleżankę błagalne oczy, żeby ona jej to widzenie się ułatwiła.

Bani Bajorska pochwyciła z żywością:

— Tobi się na nic nie zdało, znam dobrze mojego męża, on nie cierpi, gdy go nudzą prośbami, bo przecież łatwo zrozumieć, że w jego położeniu jest niemi zarzucony.

— Prawda. Więc jakże tu zrobić?

I znów zwracała na nią błagające spojrzenie.

— Jakby tu zrobić? — troszczyła się niby pani Bajorska...

Potem dodała, zdobywając się na wielkie postanowienie:

— Wie pani co? to już chyba ja z nim pomówię...

Na tak wspaniałomyślne oświadczenie, wdzięczność pani Słońskiej nie miała granic.

— Pani! — zawołała ze łzami w oczach, składając przed nią ręce jak do modlitwy — byłabyś naszą opatrnością! Gdybyś mogła wiedzieć, jak bardzo nam na tem zależy... mąż mój służył krótko, z emeryturki, jaką mi przyznano, wyżyć nie podobna. Pani może tego nie rozumiesz, ale dla nas... dla nas jest to kwestya życia lub śmierci.

Kto inny byłby z pewnością wzruszony uczuciem, z jakim malowała w krótkich słowach położenie swoje i

całej rodziny, zwracając się do dawnej koleżanki, która mogła ją z niego wydzwignąć. Ale pani Bajorska nie posiadała tak miękiego serca. Gdyby je bowiem posiadała, nie miałyby z pewnością ani tak świetnego domu, ani willi pod Warszawą, ani rozległych interesów, które przynosiły jej tak znakomite korzyści; nie mogłyby ani stroić siebie i córek, ani wydawać wspaniałych balów, słowem, nie byłaby kobietą, która zawsze będąc panią siebie, umiała też panować nad swoim otoczeniem i stać się rzeczywistą głową domu.

To też pani Zuzanna nie odstępiała dla tej czułej apostrofy od zwykłego trybu postępowania, chociaż nie zaręczymy, czy nie było chwili, chwili krótkiej jak mgnienie oka, w której łzy i prośby pani Słońskiej, w połączeniu z garniturem tumakowym, zaważyły silnie na szali losu Adolfa. Prezent był wprawdzie nie wielki, ale ci ludzie byli rzeczywiście biedni, zresztą to, o co prosili, należało im się z prawa. A jakkolwiek pani Zuzanna obchodziła się z prawem bez ceremonii, przecież wiedziała, że żadnej struny zbyt mocno natężyć nie należy. I kto wie co byłoby się stało, gdyby w drugim salonie panna Mania nie zasiadła do fortepianu i nie zaczęła wygrywać poloneza Szopena.

Tak jest, polonez Szopena w najniewinniejszej myśli egzercytowany przez córkę, sprawił zupełny przewrót w losach biednej rodziny. A stało się to za pomocą kojarzenia wyobrażeń i myśli, łatwego do zrozumienia. Mania egzercytowała poloneza, ażeby popisać się nim przed gośćmi na wieczorze, jaki matka wydawała z powodu jej imienin. Na tym wieczorze miała mieć błękitną suknię, a do skompletowania toalety potrzeba było medalionu z tur-

kusami, który miał być tak właściwym prezentem w dniu imienin, a który Chaja właśnie ofiarowała jako cenę etatu Rozmińskiego.

Pani Bajorskiej stanęła w myśli radość, jaką córce sprawi ten medalion, jak ładnie będzie w nim wyglądać, a miłość, oraz duma macierzyńska, dwa jedynie rozwinięte w niej uczucia, stłumiły szybko niewczesne rozczulenie.

Z ideą sprawiedliwości załatwiła się ona równie prędko, ponieważ i tak była z nią w ciągłej kolizyi. Wprawdzie wzięła prezent dawnej koleżanki i nie podobna było postąpić z nim, jak to się robiło z rzeczami dawanymi na ręce Chai, które były przedmiotem prostego targu, a wówczas tylko stawały się jej własnością, gdy warunki umowy dopełnione zostały. Tutaj należało albo obrazić się za dar, oddać go i wyrzec się innych, albo zadość uczynić żądaniu, którego on był wyrazem. Przezorna kobieta jednego, ani drugiego uczynić nie chciała. Więc po krótkim namyśle (osoby takie jak pani Zuzanna myślą szybko) postanowiła rzeczy obrócić w ten sposób, by wszyscy byli zadowoleni.

Z tego powodu podwoiła uprzejmość względem swojej dawnej koleżanki, zajęła się bardzo sprawą jej syna, wzięła na siebie pomówienie z mężem w tym względzie i prosiła, by pani Słońska zgłosiła się nazajutrz po odpowiedź, dodając, iż dołoży wszelkich starań, ażeby ta była pomyślną.

Pani Słońska rozplýwała się w podziękowaniach i odeszła pełna nadziei.

Wychodząc od pani naczelnikowej, pierwszy raz dnia

tego wspomniała bez żalu o zaręczawku i kołnierzu tumakowym.

— Feluta miała słuszość — mówiła sama do siebie — dobrześmy zrobiły.

Myśl jej biegła szlakiem marzeń szczęśliwych; wyobrażała sobie, jak Adolf, wstąpiwszy na ten pierwszy szczebel biurowy, szybko awansować będzie; wyobrażała sobie dostatki, jakie z tego powodu na dom ich spłyną.

Zawczasu już oddychała swobodniej i czyniła rozmaite projekta na chwilę wyzwolenia z uścisków doraźnej potrzeby, która ich gnębiła. Etat spodziewany był bardzo niewielki, przecież pani Słońska, nie nawykła nigdy do ścisłych rachunków, nie koniecznie stosowała do nich swoje marzenia i tutaj na mniejszą skalę odbywało się to, co miało miejsce z losem na loteryę. Namysłała się nad wydatkami, jakie z pensyi Adolfa skuteczni. Oddawna już pragnęła daremnie tylu przedmiotów, teraz przecież mieć je będzie mogła. Wprawdzie i Adolfowi było potrzeba mnóstwa rzeczy, przecież ona sama tyle potrzeb i przyjemności poświęciła dla niego, nie mówiąc nawet o garniturze tumakowym, iż sprawiedliwość wymagała, by naprzód pomyślano o niej. W takim razie kupi sobie naprzód futrzany garnitur, ale nie tumakowy, tumaki nie są już tak modne, jak niebieskie lisy; następnie kapelusz, jaki ma, nosi już trzy zimy, a przytem jest on aksamitny, gdy teraz najwięcej widać pluszowych — i sukni nowej nie sprawiała już od bardzo dawna; brak jej też mnóstwa drobiażków.

Pani Słońska wracając do domu, zatrzymywała się przy każdym sklepie przed wystawą i coraz coś nowego przybywało do listy jej sprawunków, a przytem trzeba też

było wiele rzeczy kupić Felicyi. Rodzicielskie jej serce roztkliwiło się na tym punkcie i znów dodawała do sprawunków własnych sprawunki dla córki, a potem przychodziło jej na myśl, iż stawiając siebie na pierwszym planie postępowała samolubnie. Wszakże ten etat był to owoc ciężkiej, tyloletniej pracy Adolfa i on naprzód powinien z niej korzystać.

W ten sposób pani Słońska biła się z myślami, to czyniąc ofiarę z własnych potrzeb, to znów dając synowi sposobność odwdzięczenia się jej naprzód. Była tem bardzo zafrasowaną i na seryo nie wiedziała jak postąpić, chociaż troska jej podobną była do troski owej mleczarki, co na sprzedaży dzbanka mleka budowała zamki na lodzie.

Nie mogąc się na nic zdecydować ostatecznie, postanowiła przynajmniej obchodzić uroczystość dostania pensyi przez syna, skromną ucztą w której uczestniczyliby wszyscy, a która należała się im po tylu miesiącach nędznego życia, obrachowanego na jaknajmniejszy wydatek.

Tutaj swobodnie już obmyślała szczegóły obiadu, jaki tego dnia szczęśliwego jeść mieli. W chwili właśnie, kiedy marzenia jej przeszły na gastronomiczne pole, przechodziła koło cukierni i jakby na podniecie doleciał ją zapach świeżo upieczonych ciastek.

Mając już obietnicę pani Bajorskiej, pani Słońska pomyślała, iż miała przecież prawo zadośćuczynić niewinnej zachiance i wstąpić do cukierni na jedno z tych ciastek, które tak mile nęciły jej powonienie.

Szczęściem, zanim skuteczniła tę myśl, sięgnęła po portmonetkę i przekonała się, iż zawiera zbyt małą kwotę, ażeby mogła sobie takiego nawet zbytku pozwolić.

Ta okoliczność zmąciła na chwilę jej radość, ale na chwilę tylko, pocieszyła się bowiem nadzieją, iż wkrótce Adolf zaprowadzi ją do Lursa, nietylko na ciastko, ale na czekoladę lub szodon, który niezmiernie lubiła.

Wśród podobnych sprzecznych uczuć i marzeń, powróciła do domu, gdzie Felicja oczekiwała ją w śmiertelnym niepokoju. Ma się rozumieć, pani Słońska była w wybornem usposobieniu a przez drogę natworzyła tyle projektów, iż nader wątpliwa odpowiedź pani Bajorskiej, która zasadzała się jedynie na obietnicy protekcji, przemieniła się w jej przekonaniu na bezwarunkowo dobry rezultat.

— Ciesz się Felutko! — wołała w progu — wszystko dobrze, wszystko jaknajlepiej.

Felicja zerwała się z miejsca, zapominając w jednej chwili o tem co przecierpiała.

— Czy być może! — szepnęła składając ręce w cichym zachwycie.

— Tak jest — ciągnęła tryumfalnie pani Słońska — pani Bajorska obiecała wszystko!

Felicja wiedziała, że protekcją jej była wszechpotężną. Przecież umysł jej przywykły do nieszczęścia, zachował nieufność pewną, niedowierzał odrazu uśmiechowi losu.

— Obiecała, czy tylko na pewno? — spytała.

— Ale na pewno! na pewno! nieznośna jesteś ze swoim powątpiewaniem.

Córka nic nie odpowiedziała; w rezultacie nie miała powodu wątpić, a jednak zdawało jej się niepodobieństwem, by zdarzyło im się cokolwiek pomyślnego. Przyzwyczaiała się do nieszczęścia.

W milczeniu więc rozbierała matkę, a ta opowiadała ze szczegółami przyjęcie jakiego doznała u swojej dawnej koleżanki; opowiadała, jaką miała tualetę, jak wygląda jej salon, jakkolwiek Felicya znała go już doskonale z opisów. Kiedy przyszło jednak do powtórzenia słów pani Zuzanny, nie podobna było wziąć ich za bezwarunkową obietnicę; pani Słońska czuła to sama, to też w zapale swoim, zrobiła bezwiednie może parę małych dodatków, które stawiły kwestyę na pewniejszym gruncie.

— Tak! tak! Powinniśmy się cieszyć — kończyła uradowana, potrzebując widocznie podzielić się tem uczuciem i wzbudzić je w innych.

Felicya cieszyła się bezwątpienia, ale nie tak, jak to czyniła matka.

— Gdyby to już było rzeczą skończoną? — wyrzekła.

— Skończoną! skończoną! — powtórzyła pani Słońska, widocznie nierada z tej uwagi. — Pani Bajorska kazała mi przyjść jutro, więc jutro dopiero skończoną być może.

— Jutro! — zawołała Felicya — po cóż tam mama ma być jutro?

— Po co? — pani Słońska zmięszała się tem zapytaniem, bo rzeczywiście przypomniała sobie, że jutro dopiero miała dostać stanowczą odpowiedź. Nie chciała jednak tego powiedzieć, więc zwyczajem swoim rozgniewała się na córkę. — Ty bo nie wiesz już co wymyślić — zawołała — żeby mi życie zatruć. Posłuchałam cię we wszystkim, zrobiłam coś tylko chciała, a ty i tak starasz się mi zawsze sprzeciwić, jakby ci przykrą była moja radość.

W innej chwili Felicja byłaby zapewne wybuchła cierpką odpowiedzią i nastąpiłaby jedna z tych scen, które zapełniały życie matki i córki. Teraz jednak ogarnęło ją usposobienie dziwne, czuła uspokajający wpływ 'dobrych wieści, a chociaż nie mogła wierzyć im w zupełności, przecież szorstkość jej zwykła była złagodzoną.

— Ja tylko — odparła miękko — lękam się, żeby mama nie cieszyła się nadzieją przedwczesną.

Tu pani Słońska stała się wymowną, znalazła tysiące argumentów na przekonanie Felicji, a ta nie opierała się im zbyt mocno.

Był to rzeczywiście dzień radosny w biednym mieszkaniu wśród tej znękaney rodziny.

Z bijącym sercem oczekiwano Adolfa, a skoro przyszedł matka opowiedziała mu wszystko co zrobiła i czego się spodziewała. W biurze dotąd nic nie postanowiono, zdawało się więc, iż mieli słuszne prawo do nadziei.

Zadowolenie jest owem słońcem, które najzwyczajszym przedmiotom nadaje barwy żywe, podnosi je do potęgi; prostym potrawom nadaje smak wytworny, czystą wodę zamienia w upajający napój.

Dnia tego odbywała się podobna, niekosztowna uczta u Słońskich, jako prolog do tej, którą matka wyprawić zamierzała po zrealizowaniu nadziei syna.

Rzecz dawno niesłyszana, rozległ się nawet śmiech wśród tych ścian, które nie odbiły dotąd nigdy podobnych oznak wesołości. Matka i syn, oboje spragnieni pociechy, oddawali się nadziei z zupełną swobodą. Felicja, może mniej pewna jej ziszczenia, nie chciała mieć tych chwil szczęśliwych i być ptakiem złej wieści, chociaż nieraz małe jej, uważne, wyraziste oczy, zatrzymywały się z pe-

wną trwogą na rozpromienionych najdroższych sobie obliczach.

Adolf szczególnie był jakby upojony; mętne oczy jego błyszczały, na policzki wystąpiły krwiste rumieńce, skronie pulsowały. Śmiał się głośno, żartował, mówił wiele, potem nagle wpadł w zadumę. Można było odzywać się do niego... napróżno — nie słyszał, nie wiedział co się przy nim działo, ale wyraz twarzy rozmarzony świadczył, iż przebywał w krajinach rozkoszy.

Matka nie rozumiała tego, ale Felicja, powiernica wszystkich trosk i uczuć, uśmiechała się wraz z nim tajemniczo, promieniała jego szczęściem, jego nadzieją, a kiedy po obiedzie szedł swoim zwyczajem do kancelaryi reagenta, ona wybiegła za nim do przedpokoju i rzuciła mu w ucho to jedno imię:

— Marynia!

On uśmiechnął się swobodnie, prawie radośnie i wyszedł lekkim krokiem odmłodzony o lat kilka.

Dnia tego wieczór zeszedł wesoło całej rodzinie. Pani Słońska kładła pasyanse, które wszystkie wychodziły jej bez trudności; nie gniewała się wcale na córkę. Nie miała także czasu niepokoić się zwyczajem swoim przed powrotem Adolfa, bo była tak zajęta dalszym ciągiem projektów przyszłości, iż nie spostrzegła nawet, że spóźniła się o pół godziny.

Nazajutrz pani Słońska udała się znowu do swojej dawnej koleżanki, którą obecnie nazywała już protektorką. Gdyby jednak była obdarzoną darem jasnowidzenia i mogła przeczuć scenę, jaka miała miejsce w gabinecie pana Bajorskiego pomiędzy nim a jego żoną, zapewne nie spieszyłyby się tak bardzo.

Przed śniadaniem pan Bajorski zwykle zajęty był w swoim pokoju, tam się ubierał i nikt obcy do niego wstępu nie miał. Pani Zuzanna czasu tego używała na obrobienie spraw domowych i wszystkich drażliwszych kwestyj. Zwykle też, ile razy wchodziła do gabinetu męża, spoglądał na nią z pod oka bardzo niespokojnie. Bo jeśli udało mu się szczęśliwie uniknąć rano rozmowy sam na sam, to już trudno było pani Zuzannie sposobność tę w ciągu dnia powetować.

Przy śniadaniu asystowały panny, a często i poufalsi goście, wiedzący, że o tej godzinie wszystkich można było jeszcze zastać w domu. Potem pan Bajorski szedł do biura, wracał na sam obiad, po obiedzie spał, obudziwszy się przyjmował, potem jechał do resursy lub też, co niezmiernie rzadko miało miejsce, towarzyszył żonie i córkom na zebranie wieczorne, z kąd zawsze powracał wcześniej, bo kładł się spać regularnie przed dwunastą, a o tej godzinie panie zwykle były na balu, raucie lub w teatrze.

Z powodu tego trybu życia państwo Bajorscy widywali się tylko przy śniadaniu i obiedzie, w sposób niejako urzędowy, a jeśli mieli sobie coś poufnego powiedzieć, pan Bajorski wzywał żonę do swego gabinetu, lub też ona przychodziła tam sama, wiedząc dobrze, iż nie doczekałaby się wezwania, zwłaszcza też w chwilach, kiedy agitowały się najważniejsze dla niej sprawy.

Zdarzało się też w dawniejszych czasach, iż w chwilach podobnych pan Bajorski próbował zamykać się przed żoną. Przekonał się jednak niebawem, iż ostrożność ta na nic się nie zdała, pani Zuzanna bowiem miała niezłomny charakter, co raz postanowiła musiała skutecznici. Jeśli drzwi zastała zamknięte, stukąła, jeśli jej nie otworzono —

czekała, jeśli otwierano dopiero kiedy śniadanie było na stole, śniadanie to stygnąć musiało, dopóki nie wypowiedziała mężowi tego, co powiedzieć chciała lub nie uzyskała tego czego żądała.

Zresztą, gdy zrobił jej tak raz i drugi nie chcąc narażać się na czekanie podedrzwiami i stygnięcie śniadania, urządziła się w ten sposób, iż sama własnymi rękami przynosiła mu codziennie kawę, którą on w łóżku pić lubił. Tym sposobem osiągnęła rozmaite zyski, a naprzód sławę wzorowej żony, jaką się szczyciła, wzmogła się jeszcze tym dowodem troskliwości, bo świat się o nim dowiedział. Następnie pani Zuzanna miała już zapewnioną na zawsze sposobność mówienia z mężem sam na sam, jak długo chciała. Siadała zwykle przy jego łóżku i nie odeszła dopóki na prośbę lub przełożenia swoje nie otrzymała pomyślniej odpowiedzi. A pan Bajorski, jakkolwiek nieraz zżymał się i opierał jej żądaniom, przecież nigdy nie zdobył się na bunt otwarty, ani też nie śmiał sprzeniewierzyć się uczynionej żonie obietnicy.

Dnia, o którym mówimy, skoro tylko pan Bajorski zadzwonił na służącego, a ten podniósł story, przyniósł mu rzeczy do ubrania i przysunął stolik, pani Zuzanna ukazała się na progu pogodna, uśmiechnięta, w eleganckim czepeczku i szlafroczku zrobionym według najświeższej mody. Pomimo, iż przedstawiała bardzo powabny widok piękności w całym rozkwicie, pomimo, iż kawa, którą trzymała na tacy w srebrnym imbryczku, roznosiła aromatyczną woń mokki, świadcząc o staranności z jaką była przyrządzoną, pan Bajorski jednak skrzywił się i instynktownym ruchem skrył głowę w poduszkach, nakształt dziecka, któremu niosą gorzkie lekarstwo.

Pani Zuzanna zapewne nie dostrzegła tego, gdyż postanowiła żadnych podobnych oznak niezadowolenia w mężu nie dostrzegać i zgoła uważała je za niebyłe. Postawiła tackę na stole i nalewając kawę zapytała go z najpiękniejszym uśmiechem, jak spał tej nocy i jak się czuje?

Pan Bajorski mruknął coś niezrozumiale. Ona jednak zamiast się obrazić, skrzywić lub rozplakać nawet, jak czynią niektóre kobiety, uchem czulej małżonki dosłyszała w tej odpowiedzi zapewnienie, że spał wybornie i czuje się zdrow zupełnie. Więc dalej nalewała kawę. Ustroiła filiżankę w pyszny kożuszek, jakim rzadko nawet najlepsza żona w Warszawie potrafi ustroić kawę mężowską, gdyż potrzeba na to nie lada zabiegów.

Pan Bajorski jednak nie okazywał należytej wdzięczności ani za wyśmienitą kawę ani za kożuszek, ani nawet za uśmiech, jakim krasila mu pierwsze przebudzenie i pierwsze śniadanie. Pił wprawdzie łyżeczką po łyżeczce, ale mars nie schodził mu z czoła.

Pani Zuzanna tymczasem usiadła koło łóżka na zwykłym miejscu i bawiąc się odniechcenią sznurem przewiązującym jej szlafroczek wyrzekła:

— Masz znowu awanse w biurze...

Pan Bajorski drgnął i skrzywił się tak, iż inna żona porzuciłaby odrazu temat, widocznie dla niego bardzo nieprzyjemny.

Ona jednak go nie porzuciła i nie zważając na to, mówiła dalej spokojnie:

— Sierpecki się żeni i bierze dymisyę...

Tym razem pan Bajorski zaklął energicznie, chociaż po cichu i spojrzął na panią Zuzannę zdumionym wzrokiem, jak gdyby zapytywał, z kąd to ona wiedzieć może.

Pani Zuzanna uśmiechnęła się:

— Widzisz, że wiem — odparła łagodnie. — Będziem mieli czas o tem pomówić jeszcze, nieprawdaż? nie ma nic pilnego...

— Zapewne, zapewne — wyrzekł mąż, stawiając wypitą filiżankę i zabierając się do wstawania.

Pani Zuzanna jednak nie ruszyła się z miejsca i spoglądała na niego z tymżesamym pogodnym uśmiechem.

— Teraz chciałam pomówić z tobą o etacie, o tym małym etacie, który wakuje właśnie.

Pan Bajorski z głuchem mruknięciem niezadowolenia opadł znów na poduszki.

— Jest to rzecz niewielkiej wagi, będę cię prosić byś zamianował...

Ale on nie dał jej wypowiedzieć nazwiska i przerwał żywo:

— Etat ten należy się Słońskiemu, który pracuje darmo już trzy lata, w czasie, gdy ci co później nastali i nie mieli żadnej zasługi, już dawno pobierają pensye.

Na wązkich ustach pani Zuzanny zarysował się szydarczy uśmiech.

— To i cóż? — wyrzekła, patrząc mężowi w oczy.

— To, że dość mam wyrzekania, szemrań, przekleństw może, że wszystko to, co się dzieje, jest niegodne, że... że...

Szukał właściwego wyrażenia i znaleźć go nie mógł.

— To i cóż — powtórzyła żona niemal urągliwie, nie podnosząc głosu nawet o ton jeden, w czasie gdy on rzucał się w bezsilnym gniewie.

— To, że raz postawię na swoim i zamianuję Słońskiego.

— I stanie się zadość sprawiedliwości, prawu i t. p.—
dokończyła pani Zuzanna.

— Tak jest, choćbyś się nie wiem jak śmiać miała —
dodał, rzucając się coraz mocniej pan Bajorski.

Teraz ona nie śmiała się, tylko spoglądała na niego
pogardliwym wzrokiem.

— Na co te wielkie słowa — wyrzekła — wypowia-
dałeś je tyle razy...

— I ulegałem ci zawsze, to prawda — odparł pra-
wie z wściekłością. — Jestem słaby! jestem nikczemny...

I przyciskał obie pięści do czoła, usiłując odwrócić
wzrok od żony.

Ta wzruszyła lekko ramionami, jak osoba przyzwy-
czajona do scen podobnych i która z tego powodu nie
bierze ich do serca.

— Na co to wszystko — wyrzekła wreszcie spokoj-
nie. — Jeśli rzeczywiście zachorowałeś na spartanizm i
chcesz uprawiać cnoty starożytne, być Cyncynatem w wieku,
który się na tem nie pozna i podobnych cnót nie potrze-
buje, rób co chcesz, utrzymuj dom, postanów córki... Ja
od wszystkiego umyvam ręce.

Nastąpiła chwila milczenia. Pan Bajorski sapał gło-
śno na takie ultimatum żony, a ona widząc to, mówiła
dalej:

— Jeżeli jednak chcesz, by rzeczy szły jak należy,
bym mogła z dwoma tysiącami złotych na miesiąc, utrzy-
mywać dom na taką skalę, na jakiej go utrzymuję, ubie-
rać córki, bywać w świecie i prowadzić kuchnię jaką lu-
bisz, to zostaw mi wolność działania i spuść się na mnie,
jak to dotąd czyniłeś.

Była w jej głosie i postawie stanowczość, dająca

jej przewagę nad człowiekiem, którego znała wszystkie słabe strony i który wiedział z góry, że zwyciężonym będzie. To też wybuchy pana Bajorskiego były coraz słabsze i przypominały oddalającą się burzę.

— Ale Słoński! Słoński! — wyrzekł w końcu — to co go spotyka, jest nadto niesprawiedliwe.

Pani Zuzanna nie bawiła się w rozbieranie wyrazów, ani tłumaczyła mężowi, co było nadto lub nie nadto niesprawiedliwym. Była to osoba praktyczna i trzymała się tylko dziedziny faktów.

— Na ten raz — wyrzekła — *trzeba*, ażeby etat dostał się Rozmińskiemu...

Pan Bajorski znowu próbował protestować.

— Aby nie jemu — zawołał — to być nie może, on pracuje dopiero sześć miesięcy.

— Sześć, czy dwanaście, to mi zupełnie jedno — odparła — on mianowanym być musi.

— Ależ ty mnie zgubisz.

— Bądź spokojny, takie rzeczy w dzisiejszych czasach nikogo nie gubią. Inaczej... no, inaczej zbyt wielu byłoby zgubionych.

Mówiła to, nie tracąc ani na chwilę nieco szyderczego uśmiechu i spokoju. Widząc wreszcie, iż zwycięztwo stanowczo się przechyliło na jej stronę, dodała:

— Co do Słońskiego, nie chciałabym jego krzywdy. Przeciwnie matkę jego znam oddawna. Powinieneś mu więc przyrzec, iż pierwsze miejsce jakie zawakuje będzie dla niego.

— Więc dlaczegoż nie to, które wakuje teraz?

Wzruszyła ramionami z lekką, bardzo lekką oznaką niecierpliwości.

— Dlatego, że teraz Rozmiński dostać je musi — zawyrokowała. — Wytłumacz mu, że to zbyt mała pensja dla niego, że zasługuje na więcej. Zresztą...

— No to już chyba tłumacz sobie sama, ja tego nie potrafię — mruknął pan Bajorski, jak niedźwiedź na uwięzi.

Pani Zuzanna znowu nie obraziła się tem, przeciwnie, jakby brała słowa jego za dobrą monetę, odrzekła:

— Ty to wielu rzeczy nie potrafisz, więc zostaw je mnie. Zresztą — dorzuciła po chwili — skoro Sierpecki bierze dymisyę, będziesz miał dużo miejsc do rozdania, a wówczas znajdziesz coś stosownego dla Słońskiego. Powiem to dzisiaj jego matce, skoro do mnie przyjdzie.

Tem zapewnieniem do reszty ułagodziła męża, który, rzecz dziwna, pomimo gniewów i wyrzekań, ani razu nie zapytał o powody wszechwładnej pani Zuzanny; zapewne się ich domyślał, chociaż urzędownie wiedzieć nie chciał. Żona też szanowała skrupuły jego delikatnego sumienia i poprzestawała na wydawaniu rozporządzeń, nie wyłuszczając okoliczności, jakie ją do nich skłaniały. I za pomocą tych wzajemnych ustępstw zgoda panowała w tem stadle, chociaż żona była głową, a mąż wykonawczą ręką.

*

*

Zaledwie pani Słońska z bijącym sercem udała się do swojej koleżanki i zniknęła w ciemnej sieni, łączącej dziedziniec z ulicą, do drzwi mieszkania zadzwonił ktoś ale tak nieśmiało, iż dzwonek odezwał się słabo i umilkł.

Felicya знаła to dzwonenie, domyśliła się czyja ręka

poruszyła dzwonek i nie czekając, aż Zosia sprzątająca coś w sypialnym pokoju, otworzy, sama wybiegła.

We drzwiach stała Marynia, rumiana jak różyczka, uśmiechnęta i nieśmiała.

— Wszak pani sama — spytała — widziałam jak wszyscy wyszli i przybiegłam, bo... bo...

Nie wiedziała jak zakończyć, tylko spoglądała na Felicyę wielkimi oczami, pełnymi w tej chwili prośby, niepokoju i nadziei.

Felicya uśmiechnęła się mimowoli, patrząc na to śliczne, półdziecinne oblicze.

— Bo — kończyła za nią — ciekawa jesteś, czy Adolf dostał posadę? Oj, figlarko, mnie nie oszukasz.

Ona też oszukiwać jej nie myślała.

— Pani, czy to już pewne? — szepnęła. — On rzucił mi tylko słówko wczoraj przechodząc, dzisiaj nie miałam czasu nawet się z nim zobaczyć, dzieci u nas chore i roboty tak wiele. Miał mi dziś więcej powiedzieć. Nie mogłam doczekać wieczoru...

Mówiła to wszystko bezładnie, tak jak myśli tłoczyły się do jej główki a w wymownych oczach wyraźnie malowało się niespokojne pytanie: „Czy tylko pewno?”

Nie, to jeszcze pewnem nie było. Felicya nie mogła inaczej powiedzieć i wyznanie to sprawiło jej przykrość, chociaż nie miało żadnego wpływu na bieg wypadków. Było to niejako skonstatowaniem wątpliwości, której mieć nie chciano koło niej, a przed którą wzdygnęła się sama.

W miarę jak mówiła, radość ustępowała z jasnej twarzyczki dziewczęcia. Przez chwilę stała ze spuszczoną głową, aż wreszcie wyrzekła.

— Ja myślałam, że to już rzecz niezawodna i Adolf także tak myślał.

Nie dodała nic więcej, tylko opuściła ramiona z wyrazem zniechęcenia i smutku.

Felicya uczuła się w obowiązku ją pocieszyć. Wszakże nic nie było stanowczego, przeciwnie mieli nadzieję, wielką nadzieję.

Marynia jednak, obdarzona praktycznym zmysłem wstrząsnęła główką. Oni tak dawno żyli nadzieją...

W miarę jak Marynia okazywała się niedowierzającą, Felicya siliła się przekonać ją, że wszystko pójdzie dobrze, a przekonywając ją, przekonywała i samą siebie. Szaleństwem było martwić się bez przyczyny, albo przypuszczać złe, kiedy jeszcze nic się nie stało, kiedy wszystko jest na pomyślnej drodze.

Powoli i ona dawała się pociągnąć słodyczy i potrzebie nadziei; odwracała także oczy od tej rzeczywistości której podolać nie mogła i biegła za innymi w krainę marzeń.

To też marzyła, marzyła głośno. Przytuliła do siebie Marynię, jak młodszą ukochaną siostrzyczkę i zaczęła snuć plany przyszłości, dla niej, dla Adolfa.

Może tam zresztą po za szczęściem brata, po za spokojem materyalnym, były osobiste nadzieje. O tem jednak mówić nie potrzebowała, to był świat jej własny, a przytem były to rzeczy dalekie, rzeczy, na których ziszczenie niczem wpłynąć nie mogła i które dlatego może ustępowały miejsca doraźnej trosce.

Marynia słuchała jej chciwie, piła jej słowa, jak ptak spragniony rosę, ożywiała się przy nich i wzajem szeptała swoje troski, zmartwienia, biedy, o których Adolfowi mó-

wić nie chciała, bo by go za nią bolało serce. Ona śpiewała i śmiała się dzień cały, ale to tylko tak przed okiem ludzkim, śmiała się, żeby nie płakać, bo było jej źle bardzo u dalekich krewnych, ludzi prostych, nieokrzesanych. Nie chodziło jej o pracę, o nie! Ona pracowałaby z całego serca więcej jeszcze, gdyby nie wymawiano jej chleba, którego przecież darmo nie jadła.

Gdyby nie Adolf, ona poszłaby już dawno do obcych ludzi, tylko jak pomyślała, że nie widziałaby go codzień przez okno idącego do biura i wracającego, że nie zamieniliby czasem słów kilku i że zaledwie spotkałby się mogli w niedzielę, brakło jej odwagi, wołała już cierpieć.

Gdy to mówiła, łzy płynęły z jej oczów, tak zwykle błyszczących, a Felicya pomyślała, że gdyby ją Adolf zobaczył, nie przeniósłby jej cierpienia. A jednak, jednak... cóż mógł na to poradzić, co mogli poradzić wszyscy?

Rozczulona, całowała Marynię, zaręczała jej, że wszystko będzie dobrze, błagała imieniem brata o cierpliwość.

Marynia obiecała być cierpliwą, Otarła pośpiesznie łzy, uśmiechnęła się z poza nich i wyrzekła z dziecinną determinacją:

— Ha! cóż robić?... będę cierpieć, dopóki mi sił starczy!

Felicyi przyszło na myśl pytanie, gdzie kończą się siły ludzkie?

Rozmowa dwóch kobiet długo trwać nie mogła. Na dziedzińcu rozległo się wołanie: „Maryniu! Maryniu!“ Marynia, nie pożegnawszy się nawet, pobiegła do tej pracy ciągłej, nieustannej, męczącej, za którą nie darzono ją nawet dobrem słowem.

Felicya pozostała samą, na tej samej kanapce, gdzie

odbiegła ją Marynia. Ogarnęło ją znużenie fizyczne; dnia tego nie miała wiele do roboty, ale znużenie spowodowane ciągłymi wzruszeniami, przechodzeniem od nadziei do zwątpienia, dzwiganiem i pocieszaniem innych zmęczyło ją strasznie.

Dodając odwagi Maryni, powtarzając jej to wszystko, co przemawiało za pomyślnym obrotem interesu Adolfa, przekonała samą siebie i była teraz spokojniejszą.

W tych pięknych marzeniach oparła głowę o poręcz kanapy i spoglądała ze spokojnym uśmiechem na przeciwległą ścianę, zamykającą horyzont wzroku. Cisza zupełna panowała w mieszkaniu, z dziedzińca także nie dochodził głos żaden, nic nie przerywało jej zadumy, wśród której umysł skołatany kreślił obrazy spokoju, ciszy, szczęścia. Kto wie, może też raz zły los się odwróci, a teraz wszystko pójdzie odmiennym trybem. Adolf dostanie pensję, później awans, ożeni się, będzie zadowolony, zdrowie jego poprawi się, ona sama... Tutaj marzenia Felicji stawały się mniej wyraźne, nabierały niepewnych konturów, ale wśród nich stawała postać Konrada z przyjaznym uśmiechem na ustach, z oczyma, w których tonęła tak rozkosznie wzrokiem, myślą, sercem, istnością całą...

Szarpięcie dzwonka u drzwi wchodowych zbudziło ją ze snu. Z pewnością to była matka. Mimowolnie poczuła dreszcz trwogi, zerwała się, chciała biedz otworzyć, ale siła jakaś przykuła ją do miejsca. Byłaby pragnęła oddalić tę chwilę, bo wiedziała, że była to chwila stanowcza.

Tymczasem Zosia drzwi otworzyła. Zyskiwała tym sposobem parę sekund. Nie wyszła na spotkanie matki, tylko oparta na poręczy kanapy czekała nieruchoma bez tchu, wlepiając wzrok przed siebie.

Pani Słońska jak wicher wpadła do pokoju i rzuciła się na pierwsze krzesło, które spotkała.

Jedno spojrzenie na nią powiedziało Felicyi wszystko aż nadto wyraźnie.

Pani Słońska miała twarz znękaną i oburzoną razem, łyzy żalu, łyzy, które wyciskał zarówno gniew, jak zgryzoty, wypełniły jej oczy.

Felicya widząc to, jakby skamieniała; nie ruszyła się z miejsca i nie zapytała o nic; szeroko rozwarłe źrenice wlepiła w matkę i spojrzenia ich porozumiewały się z sobą zgryzotą i rozpaczą.

Wiatr przeciwności znów dmuchnął na pałace ich marzeń i wyrócił je nakształt karcianych budowli, stawianych przez dzieci.

— Wszystko stracone! — wybuchnęła wreszcie starsza kobieta niemal ze łkaniem — wszystko...

Niestety, nie potrzebowała tego mówić. To też Felicya nie odpowiadała słowa. Myślała teraz o tem, jak oznajmić ten cios bratu, Maryni, jak spędzić z ich ust uśmiech nadziei.

— Boże! Boże! tak być nie powinno — wołała dalej pani Słońska — to krzywda, to niesprawiedliwość!..

Felicyi w tej chwili stanęła w oczach panna Kordulska z piórem trumfalnie poruszającym się nad kapeluszem, z palcem podniesionym do góry i wychodzącym z rozprutej rękawiczki i powtórzyła mimowolnie jej frazes: „Kto tara myśli o sprawiedliwości!“ Powtórzyła go jednak myślą tylko, bo usta jej zbladłe nie wypowiedziały żadnego słowa.

— Cóż my pocniemy teraz — powtórzyła nieszczę-

śliwa kobieta, zalewając się łzami. — Ja tego nie zniosę, nie przeżyję!

Rzucała się jak dziecko, wymawiając te słowa, a nierozsądek ich podziałał na Felicyę; zbliżyła się do matki, zaczęła rozbierać ją z kapelusza i okrycia, których zdjąć nie myślała.

— Niechże się mama uspokoi — wyrzekła — narzekanie na nic się nie zda.

— To trudno, ja milczeć nie mogę wobec takich rzeczy. Ty bo jesteś nieczuła na wszystko, wiem o tem, ale ja krzyczeć będę, że to zgroza, co się dzisiaj dzieje!

Cień gorzkiego uśmiechu zarysował się na drżących Felicyi wargach. Nie próbowała usprawiedliwiać się, w tej chwili nie miała odwagi, ani siły rozpocząć sprzeczki żadnej — była przygnębiona.

A pani Słońska powtarzała z uporem rozkapryszonego dziecka.

— Tak, będę to powtarzać, będę krzyczeć!

— Mamo! gdyby to się tylko na co zdało, krzyczałabym i ja — wyrzekła tylko.

— Ależ tego znieść niepodobna!..

Felicya w milczeniu wstrząsnęła głową. Alboż to można kiedy wypowiedzieć podobne słowa. Siły ludzkie są nieobrachowane tam, gdzie idzie o zniszczenie cierpień i zawodów. Tylko szalony w ten sposób zarzekać się może i wyzywać niejako nieszczęście.

Felicya, która truchlała na samą myśl niepowodzenia, teraz, jak wszystkie natury hartowne, wobec spełnionego faktu znalazła mężstwo i odwagę.

A tymczasem matka jej powtarzała jak dziecko rozżalone:

— To niegodne!..

I przypominając sobie nagle uczynioną ofiarę, o której w pierwszej chwili nie pomyślała:

— I jeszcze — zawołała — dzięki tobie daremnie poświęciłam mój śliczny zaręczawek i kołnierz.

Córka powinna była spodziewać się tego wyrzutu, jakkolwiek w owej chwili nie pamiętała o podobnej drobnostce. Teraz słowa matki naprowadziły na inny tor jej myśli.

— I cóż powiedziała, mamó, pani Bajorska? — spytała.

— Cóż miała powiedzieć, — oburknęła się pani Słońska, której rozpacz przechodziła powoli w zwykłe zdąsanie.

Jednak rozgadała się wkrótce i zdała sprawę z całej swojej niefortunnej wizyty.

Pani Bajorska rzeczywiście wprowadziła w wykonanie plan przełożony mężowi i tak niechętnie przez niego przyjęty, ubolewała mocno przed swoją dawną koleżanką na to, iż tak późno dowiedziała się o wakującym etacie, bo mąż jej przyrzekł go już był komu innemu... prawdziwie, nie wiedziała komu. Ona mieszała się tak mało do spraw biurowych i mąż nie lubił z nią o nich mówić. Używała całego wpływu, jaki posiadała na korzyść Adolfa, ale to było daremnie, mąż bowiem danego słowa nie cofnąłby nigdy, nawet na jej prośbę. On sam wreszcie niezmiernie żałował tego co się stało... był tak dobry... dobry do słabości, podeszli go, chociaż Adolf miał większe prawo. Mówił jej to sam mąż, obiecał jednak, obiecał solennie — pani Bajorska uczyniła nacisk na to słowo — że pierwsze miejsce jakie zawakuje będzie dla niego; w biurze mają właśnie

w tym czasie nastąpić zmiany i awanse, a on żeby wynagrodzić długie oczekiwanie, postara się dać Adolfowi większy etat, niż ten, który go teraz omijał, ona zaś ze swojej strony codziennie przypominać mu o tem będzie.

Taką była treść rozmowy z panią Bajorską; Felicja nie bez trudu wydobyla ją z matki i złożyła ją w całość. Treść ta byłaby nawet pocieszającą, gdyby obietnicom w niej zawartym można było wierzyć, gdyby w nieszczęśliwej rodzinie mogło jeszcze istnieć zaufanie do losu i ludzi.

Ale, niestety, wszystko to było zniszczone niepowrotnie ręką przeciwności. Zbyt długo karmili się zawodną strawą nadziei, zbyt dobrze poznali jej czczość całą, zbyt potrzebowali w nędznym życiu swoim jakiegokolwiek pomyslniejszego promyka.

Pani Słońska oburzała się, gniewała, wyrzekała, czyniła wymówki córce, skarżyła się na swoją dawną koleżankę, a nie mając przed kim rozpościerać swoich żalów, wyszła do kuchni i opowiadała je Zosi, która naturalnie podzielała jej oburzenie. Wszystko to widocznie sprawiało jej ulgę.

Felicja z brwią ściągniętą zasiadła do zwykłej roboty. Czuła dobrze, iż próżne żale do niczego nie doprowadzą, że wobec klęski jaka ich spotkała, należało podwoić pracę i usiłowania, ażeby obronić się przed tą wzbierającą powodzią nędzy. Jak to stać się mogło? nie wiedziała jeszcze. Czuła tylko, iż cośkolwiek uczynić trzeba. Teraz jednak myśli te ustępowały na plan drugi, przed troską, jak brat przyjmie to zniweczenie nadziei, które sama podzegała?

Znała go najlepiej, wiedziała, że była to natura miękka,

nigdy niestworzona do walki, dziś złamana ciągłymi przeciwnościami; wiedziała, że drażliwość jego była podniecana chorobliwym stanem, że Konrad mówił, iż wystrzegać mu się trzeba wzruszeń, zmartwień i tym podobnych rzeczy, które jednak były mu chlebem powszednim; wiedziała, że więcej jeszcze niż los własny, boleć go będzie dola Maryni i nieograniczone odroczenie ich nadziei.

W miarę, jak skazówki zegaru posuwały się naprzód, troska ta się wzmagała i zagłuszała wszystkie inne. Pierwszy raz z trwogą oczekiwała powrotu brata, drżała słysząc kroki na wschodach i zapytywała samej siebie, jakimi słowami potrafi wypowiedzieć mu to, co się stało.

Skazówki poruszały się z przerażającą szybkością, dobiegały godziny trzeciej, o której zwykle z biura wychodził. Przyszło jej na myśl, pójść naprzeciw niego i przygotować powoli do zniszczenia wesołych marzeń wczorajszych, ale trudno jej było uczynić to wśród turkotu wąskiej ulicy. Lękała się wtajemniczyć obcych w domowe sprawy i uczynić ich świadkami rozpaczyci jego.

Bądź co bądź wołała już czekać. Tutaj przynajmniej mogła uspakajać go pieśczętą, dobrem słowem, a kto wie, może potrafiłaby wlać w niego nadzieję, której sama nie miała.

Zosia nakrywała do stołu, a ona nasłuchiwała pilnie kroków jego, ażeby przynajmniej wybiedz na wschody, nie pozwolić, by wszedł tutaj promienny radością i spotkał się odrazu z zapłakanem obliczem matki.

Nasłuchiwała długo, Adolf spóźnił się dnia tego, aż wreszcie rozległ się krok powolny, ociężały, nierówny, potem klucz obrócił się w zamku. To był on. Złe przeczucie ścisnęło jej serce. Rzeczywiście wszedł Adolf, ale tak błady,

tak zmieniony, iż odrazu zrozumiała, że przygotowania jej były daremne. Wiedział o wszystkim!

Wyglądał jak człowiek oszołomiony nagłym ciosem jaki go spotkał. Chód jego był chwiejny, zataczał się jakby pijany, a wzrok zmacony, który zdawał się spoczywać na przedmiotach i ludziach, nie dostrzegając ich wcale, utwierdzić mógł w tem podejrzeniu.

Od rana przecież nie miał nic w ustach, upił się nie-szczęściem.

Nie powiedział ani słowa do matki i siostry wchodząc do pokoju, nie zdjął nawet kapelusza, przyszedł tutaj automatycznym ruchem, nie zdając sobie sprawy z tego co robił, jedynie dla tego, iż codziennie wychodząc z biura, szedł temi samemi ulicami.

— Adolfie! — zawołała Felicya, przestraszona biegnąc ku niemu.

Wówczas spojrzął przytomniej, jak lunatyk ze snu zbudzony, ale nie oddał siostrze uścisku, przeciwnie, odsunął ją od siebie instynktownym ruchem, lękając się może wybuchnąć płaczem wielkim, wiedziony mężką dumą, która kryje wzruszenie, jak słabość nieraz posługuje się maską gniewu.

Spostrzegł się, że był w kapeluszu, zdjął go, rzucił paltot, powiesił go na zwykłym miejscu w przedpokoju i usiadł przy nakrytym stole, jak gdyby był głodny, bo Zosia właśnie wносиła wazę.

W milczeniu wszyscy stół obsiedli, Felicya rozlała zupę, starając się widocznie ukryć straszny niepokój, powszedniemi czynnościami. Obdzieliwszy matkę i brata, próbowała jeść, ale to było niepodobne, pokarm nie chciał przejść jej przez gardło. Spojrzała ukradkiem na Adolfa,

siedział nieruchomy przed swoim talerzem, z okiem sztywno utkwionym w przestrzeń.

— Adolfe — szepnęła, nachylając się ku niemu z błagalną prośbą w głosie.

Nie zwrócił tym razem żadnej uwagi na nią.

Nie śmiała ponawiać swej zaczepki, myślała, że może lepiej będzie zostawić go w spokoju.

Niema rozpacz jego ciążyła jak zmora nad obecnymi, nawet pani Słońska dnia tego jeść nie była w stanie.

Przy obiedzie słychać było tylko brzęk talerzy zmienianych przez Zosię, gdy się skończył, gdy sprzątnięto stół, i zasłano go znowu pomarańczową serwetą w niebieskie kwiaty, Adolf podparł się na nim obydwoma łokciami i twarz ukrył w dłonie jakby raziło go światło dnia i sam widok obecnych.

Pani Słońska wyszła do sypialnego pokoju i w paroksyzmie rozpaczycy rzuciła się zwyczajem swoim na kanapkę, otaczając się kłębamii dymu z papierosa.

Felicya sama pozostała z bratem. Wprawdzie miała ochotę pójść do kościoła, gdzie zapewne spotkałaby kogo znajomego, może pannę Kordulską i dowiedziałaby się istotnej przyczyny porażki Adolfa. Za nic w świecie jednak nie byłaby go teraz odeszła.

Wieczór zwolna zapadał, pokój napełniał się cieniem, a oni dwoje byli w nim jakby zgubieni. Felicya nie myślała zapalać lampy, czynna jej natura była złamana. Ból ukochanego stawał się dla niej co chwila bardziej niepodobny do zniesienia. Nieruchomość i milczenie jego zabiły ją. Byłaby stokroć wołała głośne objawy rozpaczycy, żale, któreby można ukoić. Ale jak przemówić do tej zamkniętej boleści, jak znaleźć do niej drogę?

Długi czas trwała pomiędzy nimi cisza, w pokoju zapanowała ciemność zupełna, kiedy Felicya nie mogąc powstrzymać się dłużej zbliżyła się do niego, objęła mu szyję ramionami namiętnym ruchem i przytuliwszy twarz do jego głowy, oblewała ją gorącemi łzami, które płynęły niepostrzeżone dwoma strumieniami z jej oczów.

— Adolfe, Adolfe — szeptała urywanie — biedni my.

Czy dosłyszał jej słowa, czy poczuł lzy, czy też pierwsze osłupienie minęło, dość, że przytulił mocniej głowę do jej ust i powtórzył zaledwie słyszalnym głosem ostatnie jej słowa:

— Biedni, biedni, biedni!

Powtarzał je w nieskończoność, jak skargę chorego zmorzonego bólem, jakby cała istność jego stała się cierpieniem i mogła tylko jękiem wybuchnąć.

Nie odpowiedziała nic, nie przerywała mu tego monotonnego szeptu. Czula jak skronie [jego] pały pod jej ustami, a ręce były lodowate i jak od chwili do chwili przebiegały go dreszcze.

— Adolfe — szepnęła wreszcie — powinienbyś się położyć, jesteś chory.

Wszystkie pulsa jego uderzały tak gwałtownie, iż wstrząsały nawet jej ciałem przytulonem do niego, miał gorączkę.

Rada ta oprzytomniła go trochę, odjął ręce od twarzy, dostrzegł, że noc zapadła zupełnie.

— Ha! — zawołał — ja mam iść do rejenta.

Chciał powstać, ale dreszcze się wzmogły, jak zwykle bywa za najłżejszem poruszeniem, oparł się o stół obydwoma rękami, bo zakręciło mu się w głowie.

— Felo — wyrzekł z przestraczem — co to będzie, mnie bardzo niedobrze, a trzeba iść.

— Nie pójdziesz — zawołała, obejmując go wpół z dziwną siłą — jesteś chory.

— I cóż ztąd — mruknął, jakby sam do siebie — są pilne akta, a to jedno daje nam trochę chleba. Wiem, że nie masz już pieniędzy, do pierwszego daleko.

Dzwonił zębami, wymawiając te słowa.

— Właśnie mam też czas chorować — dodał z rodzajem wściekłości. — A może to lepiej, umrę przecież raz i nie będę was darmo objadać.

— Adolfie — zawołała — Adolfie, nie mów tego przez litość.

— Ty jesteś dobra Felo, ty tego nie powiesz, nie pomyślisz nawet. Mama także. Jednak byłoby wam źę bezemnie. Na co ja się komu przydam na świecie, do niczego niezdolny, zawalidroga, ciężar, pasożyt...

Był to okrzyk istoty przygnębionej poczuciem własnego niedołęztwa. A ona powtarzała płacząc i ściskając go coraz mocniej:

— Nie mów tak, nie mów.

Innych słów znaleźć nie mogła, tylko pocałunkami okrywała jego gorące czoło i skostniałe ręce.

On szamotał się z nią, usiłując wydobyć się z jej uścisku, iść do rejenta, jak zamierzył i powtarzał z chorobliwym uporem.

— Żebym już raz umarł.

Zdawało jej się, że nie jest zupełnie przytomny, czuła, iż niebezpiecznie było puszczać go w tym stanie gorączki, osłabienia i rozpaczcy i zdobywając się na krok ostateczny, zawołała:

— A Marynia! nie myślisz o niej?

Zachwiał się jak człowiek ugodzony śmiertelnie.

— Marynia! — powtórzył — Marynia! ja o niej myśleć nie mogę. Przez litość, Felo, nie mów mi o niej. Cóż ja dla niej uczynić mogę, a Bóg widzi, że oddałbym wszystko co mam, co mieć mógłbym na ziemi i w niebie, za jej szczęście... Ale ja nie mogę nic... wcale nic... nic...

Wspomnienie ukochanej zrobiło jednak dywersję w jego umyśle. Opadł napowrót na kanapę i załamał rękę.

— Inni — szepnął, jakby sam do siebie — umieją zasługiwać się, pilnować spraw swoich... taki Rozmiński naprzykład sześć miesięcy niespełna jest w biurze... A ja co?

W tych beładnych słowach ona chwyciła wąż myśli. Nazwisko Rozmińskiego uderzyło ją. Panna Kordul-ska była dobrze poinformowaną; mówiła, iż chwalił się wczoraj jeszcze, że ubiegnie współzawodników.

Nie mówiła o tem Adolfowi, bo i po cóż drażnić go miała. Próbowiła tylko uspokoić go obietnicami pani Bajorskiej. Ale on rozśmiał się tylko i nie chciał nawet o nich słuchać.

— Bądź spokojna — szepnął — znajdzie się znowu jaki Rozmiński... Już taka moja dola... Jutro oddam pierścionek Maryni... Po co jej mam świat wiązać. Ja nigdy nie dosłużę się niczego, wiem o tem. To darmo...

Zupełne zrozpaczenie brata było niezrozumiałe dla energicznej, wytrwałej natury Felicji. Właśnie tego lękała się najwięcej. Teraz jednak nad wszystko trwożył ją stan ego. Adolf miał krótki oddech, krwiste wypieki na poli-

czkach, chwilami wstrząsały nim gwałtowne dreszcze, chwilami oblewał go ogień.

Nie potrzebowała więcej walczyć z jego uporem i chęcią wyjścia do zwykłej pracy, wkrótce niezdolnym był o tem pomyśleć.

Przerażona zawołała Zosi, kazała posłać Adolfowi i nastawić czempredzej samowar. Miała nadzieję, a przynajmniej usiłowała się łudzić, że spoczynek, sen, gorąca herbata, zniweczą chorobliwe objawy, że jutro Adolf będzie tylko osłabiony po tym kryzysie nerwowym, spowodowanym doznaną niesprawiedliwością, zawiedzionymi nadziejami i tą dojmującą troską o byt, która nad nimi ciążyła. Nic innego nie chciała przypuszczać.

Położyła więc Adolfa, usiadła przy nim i usiłowała uspokoić siebie i matkę, chociaż stan chorego nie upoważniał do tego. Leżał on, rozpalony gorączką, z zamkniętymi oczyma, pogrążony w zupełnej apatii. Czasami tylko zrywał się, duszony ostrym kaszlem i po gwałtownym paroksyzmie opadał znów na poduszki.

Kiedy o zwykłej godzinie pani Słońska usnęła, pozwolewszy wmówić w siebie, że nie ma tu nic groźnego, Felicya usiadła przy bracie na długą straszną noc czuwania.

Lękając się dla niego zaziębienia, kazała drugi raz napalić w piecu, a czerwone odblaski płomienia padały na jej twarz bladą i oświecały grube zmarszczki, które fałdowały jej czoło. Myślała ona niespokojnie o jutrze; myślała czy brat obudzi się rzeświejszy; czy będzie to przemijająca gorączka, czy też początek jakiej ważnej choroby, a oprócz tego myślała także o każdym, choćby drobnym, a koniecznym wydatku, który nadwyręzał budżet domowy.

Węgla było już bardzo niewiele, nie mogła przecież narażać brata na zimno, a co uczyni, jeśli jutro, lub pojutrze mały zapas się wyczerpie? Czem go zastąpi? Emeryturę matki mogła dopiero odebrać za tydzień, a na ten tydzień miała zaledwie parę rubli w kieszeni? Co zrobi, jeśli trzeba będzie lekarstwa dla chorego lub chociażby tylko delikatniejszego posiłku?

Troski tej z nikim podzielić nie mogła. Ponurym wzrokiem spoglądała wokoło, jakby zapytując siebie, czy pomiędzy sprzętami zapełniającymi pokój, był jakikolwiek, przedstawiający pewną wartość. Ale pod tym względem ludzi się nie mogła. Zresztą był to ratunek chwilowy, ostateczny, a tu trzeba było wynaleść radykalny środek na zmniejszenie wydatków, bo wydołać im nie była w stanie. Środek taki przychodził jej nieraz na myśl, przecież zawsze zawahała się przed nim. Należało odprawić Zosię i wziąć na jej miejsce najemnicę, któraby grubą robotę wykonywała. Ale Zosia od lat kilkunastu była już w ich domu, wcieliła się poniekąd do rodziny, a pomimo, iż oburknęła się nieraz, była wierna i przywiązana, jakżeż tu było wypowiadać jej służbę? Wśród tego wielkiego ruchliwego miasta byli tak samotni, iż ubytek Zosi w ich otoczeniu stanowiłby próżnię wielką, nietylko w domowej wygodzie, ale w ich życiu.

Dla Felicyi, która wychowywała się w dostatku, dla matki, co przywykła mieć liczną służbę, dla brata, który potrzebował tysiąca posług i nie umiał ich sobie oddać samemu, byłaby to przykrość niezmierna. Zresztą nie mieć służącej, znaczyło to coś gorszego; znaczyło to zejść znowu o jeden stopień w hierarchii społecznej, jakkolwiek zdawało im się dotąd, że byli już na dnie przepaści.

A jednak należało się na to zdecydować. Felicya w długich godzinach bezsenności, wśród których co chwila przykładała rękę do skroni i piersi Adolfa, badając z przeżeniem wzrastającą gorączkę, obrachowywała skrupulatnie możliwe oszczędności, jakie ztąd otrzymałaby mogła.

Na teraz przecież ten ostateczny środek był niedostateczny, pokryłaby może za jego pomocą codzienne konieczne wydatki, ale jakim sposobem podoła teraz chorobie, która nietylko umniejszy przychodu, bo Adolf zarabiał zawsze kilkanaście rubli miesięcznie, ale sama przez się stanowi najkosztowniejszy zbytek. Tymczasem brat jej rzucał się we śnie, a pierś jego wychudła i zapadła podnosiła się gwałtownie, wstrząsana krótkim oddechem.

Ogarnęło ją uczucie samotności strasznej. Matka spała w sypialnym pokoju, Zosia chrapała w kuchni. Wobec choroby brata, jak wobec trudności życiowych, nie miała pomocy żadnej i spodziewać się jej nie mogła, wiedziała o tem. Głowa jej pękała. Dojmujący niepokój potęgował się troską materyalną. Spoglądała na to ukochane oblicze, które miłość opromieniała w jej oczach i przychodziła jej na usta prośba namiętna, by otworzył zamknięte powieki, spojrzął na nią przytomnym okiem i jakimś słowem przerwał jej straszne myśli.

Godziny były po godzinach na miejskich zegarach wlokąc się dla niej ciężkie, nieznośne, dławiące. Kilka razy zmieniała miejsce. Ten pokój słabo oświetlony przyćmioną lampą, przejmował ją niewyraźną trwogą. W jej zmęczonych oczach przedmioty przybierały fantastyczne kształty, potworne cienie słały się na ziemi, lub odbijały się na ścianach i tylko nad niemi jaśniał mały jasny krążek na suficie, po nad samym płomieniem lampy.

Lękała się by blask jej nie raził oczów chorego i dla tego postawiła ją w oddali. Chwilami strapiona bolesnemi myślami zaczynała odmawiać pacierze. Pragnęła modlić się gorąco, ale niepokój silniejszy był od tego pragnienia. Ofiarowywała wprawdzie Bogu troski swoje, ale pomimo to, troska lżejszą nie była, mieszała się do słów modlitwy i spychała ją na plan drugi. Wówczas wzięła różaniec i postanowiła odmówić go na intencję zdrowia i pomyślności brata. Tutaj mimowolnie przyszło jej na myśl, że modły jej były bezskuteczne, że pomimo długich godzin spędzanych w kościele, nie otrzymała nic z tego o co prosiła.

Myśl ta wydawała jej się przecież bardzo grzeszną. Zdjęła ją trwoga, by nie została ukaraną za nią większem jeszcze nieszczęściem i przerażona wzięła różaniec, uklękła i zaczęła go odmawiać. W pokoju słychać było tylko szept modlitwy i suche uderzanie ziarnka o ziarnko, przy przesuwaniu za każdym pacierzem.

Gdy tak klęczała z głową pochyloną na poduszki brata, tak, iż czuła na włosach gorący oddech jego, w lampie wyczerpała się nafta i ta gasła powoli. Potworne cienie nabierały kolosalnych rozmiarów, rozpościerając się po całym pokoju.

Felicja jednak nie widziała tego, powtarzając gorliwie „Pozdrowienie Anielskie“.

Nagle usłyszała tuż przy sobie głos Adolfa, ale tak zdławiony i ostry, iż przez chwilę nie umiała zdać sobie sprawy, czy to on mówi rzeczywiście.

— Panno Maryo! — powtarzał — panno Maryo! Maryniu, czy to ty?..

Jednocześnie poruszył się i ręce jego przesuwwały się drżące, rozpalone, niepewne po jej głowie.

Podniosła się przerażona i przy dogasającej lampie zobaczyła, że miał oczy szeroko otwarte i w nią wlepione.

— Adolffie! — zawołała — to ja jestem przy tobie.

Ale on jej nie słyszał. Wytężone źrenice widziały nie to co było, lecz mary wyobraźni.

— Maryniuu! — mówił dalej — jak to dobrze, żeś przyszła...

I z gorączkową szybkością począł coś szeptać o ślubnej sukni, o przyszłości szczęśliwej, o pensyi, którą dostał nakoniec.

Felicya daremnie przerywała mu, usiłując powrócić go do poczucia rzeczywistości.

To było niepodobnem.

Załamala ręce z rozpaczą. Adolf miał malignę, wypowiadał w niej to wszystko, co zamykał w sobie, a co mu kamieniem leżało na sercu.

— Boże! Boże! — zawołała — co począć!

Co począć?..

Zrozumiała, że próżno byłoby się ludzić. Stan brata był groźny, potrzebował może szybkiej pomocy. Czy mogła zostawić go tak, czekając, aż ranek zaświta?.. Nie miała najłżejszego pojęcia symptomatów, jakimi objawiają się rozmaite choroby, ani ich ważności, ani tego, co w jakich razach czynić wypada. Najelementarniejsze zasady higieny lub fizjologii były jej obce zupełnie. Maligna przecież przejmowała ją najwyższą trwogą.

Przychodziło jej na myśl pójść do Konrada, obudzić go, przyprowadzić, lękała się przecież zostawić brata pod opieką matki, bo Zosię musiałaby wziąć ze sobą.

Zanim to jednak uczyniła, zapaliła świecę, postawiła ją tak, by blask nie padał na twarz chorego, nachyliła się

nad nim, wzięła w swoje obie jego ręce i z rozpaczą błagała by się upamiętał, by przyszedł do siebie.

Rozróżnił jej głos, spojrzął na nią, zdawało jej się, że ją poznał, zażądał pić niewyraźnie.

To dodało jej odwagi czekać do rana.

Były to straszne godziny, których gorycz zrozumiała jest dla tych tylko, co w podobnem położeniu czuwali przy łożu ukochanych.

Ta noc zdawała się nieskończoną Felicji. A kiedy wreszcie blade promienie świtu wdarły się do pokoju i zaróżowiły przeciwległą ścianę, powitała je jak promienie nadziei i wybawienia.

Stan Adolfa przecież był coraz groźniejszy, ranek nie przyniósł mu polepszenia, przeciwnie, był nieprzytomny i jęczał, jak gdyby doświadczał cierpień jakich.

Teraz już Felicja nie namyślała się dłużej. Wysłała po cichu do kuchni, kazała Zosi czuwać nad chorym, a sama nie budząc matki, zarzuciła na siebie okrywkę, włożyła kapelusz i wcale nawet nie upinając woalki, nie uważając, że włosy jej spadały na czoło, pobiegła do doktora.

Wkrótce znalazła się na drugim piętrze jednego z pięknych domów na Nowym Świecie, przed drzwiami, na których błyszczał napis wyrźnięty na mosiężnej blasze: „Konrad Chronowiecki, doktor medycyny“.

Pierwszy raz była tutaj. W innej chwili byłaby się zawahała, a przynajmniej uczuła wzruszenie bardzo skomplikowanej natury, przestępując próg człowieka, który zajmował myśl jej całą, którego wspomnienie leżało na dnie jej serca, jak świętość ukryta przed okiem profanów, teraz jednak gwałtowność choroby i niepokój o brata górował nad wszystkim innym.

Rodzina Konrada od dawna była w stosunkach z jej własną; z nim samym, nieco starszym od siebie, bawiła się nieraz, dzieckiem będąc; prześladowano ich wzajemnie, podobno nawet kiedyś przed laty dwudziestu nazywali się mężem i żoną. Któż pamięta podobnie dziecinne igraszki? Konrad zapomniał o nich zupełnie, a przynajmniej słowem żadnem nie zdradził nigdy, by zostawiły ślad w jego myśli. Ale ona?..

Życie ich poszło odmiennym torem. On, niezgrabny student, syn ubogiej szlacheckiej rodziny, na którego nikt poza domem nie zważał, wyrobił sobie stanowisko i zaczął słynąć jako jeden z najzdolniejszych lekarzy; był wzywany przez chorych, pożądany w towarzystwach, a niejedna panna brała go za cel swych westchnień. Ona, z pięknego dziecka wyrosła na brzydką pannę, a z rozpierzschzonej jedynaczki na kopciuszka, z istoty mającej położenie w świecie na domową służkę. Prawdziwie drogi ich życia były tak oddalone, iż trzeba było szalonej głowy i nieznamomości świata, ażeby śnić o przeszłości.

Konrad wszelako pamiętał o niej po swojemu; jako lekarz był zawsze na usługi całej rodziny Słońskich, a nawet czasem idąc na wieczór lub przechodząc od chorego wstępował do nich, zapewne jednak nie przeszło mu przez myśl, by ktokolwiek mógł marzyć o innej pamięci, lub brał te odwiedziny za coś więcej, niż oznakę prostej życzliwości.

Jeśli był kto w domu chory, Adolf wstępował po niego, albo też panna Felicya przysyłała bilecik przez Zosię. Teraz jednak stan brata wydał jej się tak groźnym, iż nie chciała zdać się na nikogo, ani czekać zwykłej godziny odwiedzin i bez namysłu pobiegła sama do Konrada.

Było jeszcze bardzo rano, drzwi otworzył jej zaspany lokaj i wprowadził ją do salonu, bo pan jego nie obudził się jeszcze. Uczynił to jednak bardzo niechętnie, bo spodziewał się za tę grzeczność datku, a nie dostał go.

Felicja znękana rzuciła się na fotel. Serce jej biło gwałtownie, może z trwogi o brata, może z innego uczucia. Pomimo niepokoju, spoglądała dokoła i wszystko co się tutaj znajdowało, miało dla niej urok dziwny. Zdawało jej się, że widzi jego postać snującą się po lśniącej posadzce, lub spoczywającą na wygodnych siedzeniach, obitych tkaniną jakąś w tureckim smaku. Na ścianach wisiało kilka obrazów, na których wartości Felicja poznać się nie mogła i kilka reprodukcji arcydzieł, których ona nie widziała nigdy. Machinalnie szukała pomiędzy nimi portretu młodego doktora, ale naturalnie, w salonie jego podobnego portretu nie było. Szukała przynajmniej fotografii i tej także nie znalazła.

Rozpatrywała mnóstwo kosztownych fraszek rozrzuconych na stolikach. Oczy jej, odwykłe od wykwentów życia, były olśnione tem wszystkim, co ją otaczało; blaski wschodzącego słońca łamały się w kryształowych świecznikach i rzucały tęcze barwy na bogate oprawy albumów, na białe marmurowe kolumny i wazony, w których rozkładały się wielkie liście zwrotnikowych roślin. W promieniach słonecznych wzbijały się miryady złocistych atomów i wirowały przed jej oczyma, jak niewidzialne dotąd a nagle powołane do bytu promieniem słonecznym jestwa.

Umysł jej nie był w stanie w tej chwili zdawać sobie sprawy z widzianych przedmiotów, sprawiały one jednak przyjemność jej oczom, ryły się w pamięci prawie

mechanicznie, tak, iż zamknąwszy oczy, mogła widzieć ten salon z najdrobniejszymi szczegółami, chociaż nie umiałaby opowiedzieć co w nim było.

Czekała już czas jakiś, gdy nagle odezwał się znów dzwonek w przedpokoju, targnięty niespokojną ręką i wkrótce do salonu wprowadzono Chaję.

Dwie kobiety przelotnie tylko spojrzały na siebie. Cóż Felicyę obchodzić mogła żydówka, której piękny typ wschodni widocznem czynił pochodzenie. Chaja także nie zważała na znękaną istotę, czekając tak jak ona przebudzenia doktora i zapewne jak ona dręczona niepokojem. Śmielsza jednak i żywsza, po chwili zbliżyła się do Felicyi.

— Czy pani nie wie — spytała — jak prędko doktor wstanie? Ja pierwszy raz tutaj jestem.

Sądziła zapewne, że Felicya więcej od niej jest obznajmiona z jego zwyczajami, ale Felicya spojrzała na nią obojętnie, chłodno, jak się patrzy na osobę natrętną i zamiast odpowiedzi wzruszyła ramionami na znak niewiady.

Chaja nie obraziła się tem, powróciła na miejsce jakie zajęła tuż przy drzwiach przedpokoju, a ujrawszy przechodzącego lokaja, kiwnęła na niego wydobytą portmonetką, wsunęła mu coś w rękę i powiedziała słówko. Słótko to widać było wymowne, bo ruch się zrobił w dalszych pokojach i służący wrócił oznajmić, iż pan doktor obudził się już, pije śniadanie i niebawem ukaże się w salonie, Felicya chciała mu dać swój bilet wizytowy, ale spostrzegła, iż w pośpiechu nie wzięła go z sobą, prosiła tylko służącego, by oznajmił mu, że czeka panna Słońska, bo brat jej chory jest bardzo. Ponieważ jednak nie poparła

swojej prośby żadnym brzęczącym argumentem, służący odpowiedział z niechęcią, że pan i tak zaraz przyjdzie.

Chaja miała słuch bystry, dosłyszała nazwisko swojej towarzyszki i obrzuciła ją spojrzeniem, w którym ciekawość mieszała się z rodzajem życzliwego współczucia. Nie śmiała pytać o nie, zbyta raz już pogardliwym milczeniem, ale czarne jej i rozumne oczy, spoglądały przyjaźnie i smutno. Prawdopodobnie nazwisko to wiązało się w jej myśli z całym szeregiem faktów; nie obce jej były powody choroby, które kojarzyła łatwo z doznanym zawodem. Zapewne czyniła także spostrzeżenia nad tą kobietą, ubraną w wytartą syberynową okrywkę, mającą na głowie bardzo skromny kapelusz, a której twarz była dziwnie zafrasowana i zbiedzona.

Obserwację jej przerwało wejście Konrada. Młody doktor nie przyjmował chorych o tej godzinie, jeśli więc kto zgłaszał się teraz, to zapewne z wezwaniem do domu, lub z jakim osobistym interesem, bo zwykle od rana wychodził na miasto.

Drzwi do jego sypialnego pokoju były tuż koło fotelu na którym siedziała Felicja. Gdy usłyszała jego kroki serce jej uderzyło gwałtownie, nie była w stanie powstać i pobiedz ku niemu, ogarnięta nagłym wzruszeniem. On tymczasem, wszedłszy, naprzód spojrzął na Ciągę i minął Felicję nie widząc jej nawet. Zamienili słów parę, Felicja, której w uszach szumiąło, której krew zalewała oczy, dosłyszała coś o dziecku, o ranie, o niebezpieczeństwie, widziała jak przez mgłę, że on rzucił się ku drzwiom wchodowym, jakby gotów iść na skinienie izraelitki, kiedy ona sama wskazała mu drugą, czekającą osobę. Wówczas jakby

zawstydzony własnem roztargnieniem, zwrócił się ku siedzącej nieruchomo kobiecie i znalazł się wobec Felicyi.

— To pani! — zawołał.

W głosie jego jednak dzwięczało więcej zdziwienia niż trosliwości a zdziwienie to nie koniecznie było radośnem. Stosunki, które ich łączyły, kazały mu naprzód zająć się Felicyą, a teraz byłby dał wiele, gdyby mógł iść bezzwłocznie do chorego dziecka Chai. Mówił z Felicyą, ale mimowoli wzrok jego zwracał się ku czarnym oczom izraelitki, które płonęły smutnym blaskiem niepokoju.

Felicya tymczasem opowiedziała mu w krótkich słowach to, co u nich zaszło.

Słuchał ją i rozumiał całą ważność wypadku, ale gdzie miał iść naprzód? — wahał się przez chwilę.

— Panie Konradzie — zawołała Felicya nie odbierając odpowiedzi — ja przyszłam po pana, chodźmy! zdaje się, że każda chwila jest droga.

Rzeczywiście, każda chwila była drogą, rozumiał to sam, a jednak potrzeba mu było pewnej determinacyi, ażeby wyrwać się z pod czaru tych oczów, które spoglądały na niego ufne i smutne.

— Pani Morgenblat — wyrzekł wreszcie — będę u pani za godzinę najdalej, a tymczasem rób pani dziecku lodowe okłady.

Nie odpowiedziała nic. Była przywykłą do podrzędnego położenia, znosiła je z pokorą. Teraz jednak zamiast się oddalić, spoglądała na niego nieśmiało.

— A czy ja mogę być spokojną? — zapytała drżącym głosem.

Zmarszczył czoło, nie mógł jej odpowiedzieć, jakby tego pragnął.

— Robię, co w mojej mocy! — zawołał, jakby z gorczyzą, że środki któremi rozporządzał były tak słabe.

— Oh! ja wiem — szepnęła Chaja składając ręce — ja wiem, że pan robi, co tylko robić można, ja codzień proszę, aby pana Bóg błogosławił i nagroził za moją Resię, ale ja się tak pytam, zwyczajnie, jak matka. . .

Słowa te sprawiły mu przykrość.

— Za godzinę będę z pewnością! — powtórzył tylko.

Chciał nie zajmować się nią więcej, a jednak zajmował się i oglądał mimowoli, gdy za nim Felicją schodziła ze schodów.

Tak rano dorożki jeszcze nie krążyły po mieście, rozeszli się więc od bramy w przeciwne strony. Chaja skręciła ku Wareckiej ulicy, Konrad z Felicją poszli ku Staremu Miastu.

Zamyślony, szedł z razu szybkim krokiem, po chwili dopiero przypomniał sobie towarzyszkę, która dążyła za nim z trudnością i oburzony sam na własną nieuwagę, podał jej ramię.

Rzeczywiście potrzebowała tej podpory; noc bezsenna, niepokój, znużenie, odebrały jej zwykłe siły. A przytem odczuwała w nim jakieś roztargnienie, z którego nie mogła zdać sobie sprawy, co onieśmiało ją i smuciło.

Dopiero teraz, gdy wsparła się na jego ramieniu, ogarnęło ją wprost sprzeczne uczucie; osobistość wzięła górę nad miłością braterską, zapomniała prawie o chorobie Adolfa idąc przy boku Konrada, jakby miała prawo iść co dnia, gdyby ziściły się ich marzenia dziecinne. Spoglądała na przechodzących z rodzajem dumy, jaka stałaby się jej udziałem, gdyby pochlubić się mogła takim małżonkiem.

I razem ścisła jej serce wątpliwość, czy kiedykolwiek podobne szczęście będzie jej udziałem?

Szli w milczeniu. Ona stosowała krok swój do niego i tylko od czasu do czasu podnosiła nieśmiało oczy na to piękne męskie oblicze, które wiecznie było przytomne jej wyobraźni, a którego przecież wzrok jej był zawsze spragniony. Może szukała w nim odbicia własnych uczuć i wrażeń?

Felicya nie była biegłą w odczytywaniu twarzy ludzkich, przecież dostrzegła, że młody doktor był chmurny i zamyślony. Zapytała siebie, dlaczego on był takim? Przyszło jej na myśl, że była tak zupełnie obcą jego życiu, iż nie wiedziała nic o jego smutkach i radościach. A jednak, cóżby dała, gdyby podzielić je mogła?

Prawda, że te smutki i radości, które przypisywała Konradowi, nie miały nic wspólnego z realnością, że jej dziewczęca wyobraźnia przedstawiała je sobie dziwnie idealnie, jak to zwykle czynią istoty, które nie znając świata, kształtują wszystkich bez wyjątku wedle normy własnych pojęć. Ani młody doktor, ani zapewne żaden z jego współkolegów i towarzyszków, nie poznałby się w wymarzonym obrazie, jaki sobie z jego uczuć i myśli tworzyła Felicya.

Na obraz ten składały się i powieści współczesne, w których doktor, inżynier i t. p. odgrywają zwykle rolę, jaka przypadła w średniowiecznych czasach błędnym rycerzom i wszystkie aspiracje jej własnego serca i uczucia istoty, wydziedziczonej ze wszystkich praw i uciech życia, która z tego powodu wytwarza sobie błędne drogi i potęguje wrażenia.

Wprawdzie Felicya nie wyobrażała sobie, aby była dla Konrada tem, czem on był dla niej, bo któżby mu

broniał okazywać to jawnie? Czasem wprawdzie przychodziły jej na myśl tajemnicze przeszkody, stojące pomiędzy nimi, jak n. p. miłość ludzkości, obejmująca świat cały lub też względy powołania, górujące nad pragnieniem osobistego szczęścia, ale było to w gorączkowych chwilach bezsennych nocy. Z podobnych przywidzeń budziło ją zwykle jasne światło poranka. Gdyby jednak danem jej było spojrzeć w to serce?..

W tej chwili zmęczona i niespokojna, gdyby zrozumiała jaki tam rysował się obraz, odwróciłaby się ze zgrozą i niedowierzaniem.

Ale ona o tem nie mogła mieć wyobrażenia. I dlatego po długiem wahaniu chciała skorzystać z tej chwili sam na sam, ażeby zacząć przyjazną rozmowę, poufalszą niż te, które zwykle prowadzili z sobą i zaczęła.

— Panie Konradzie... .

Drgnął lekko, jak człowiek, którego myśl była gdzieś indziej.

— Co pani sobie życzy? — odparł obojętnie.

Umilkła; ton jego, jakkolwiek grzeczny, nie był zachęcający, zmroził na ustach pytanie, jakie nierozważnie zadać mu chciała.

Tak doszli w milczeniu na Freta ulicę. W miarę jednak jak zbliżali się do mieszkania, powracało jej poczucie rzeczywistości i strasznego położenia w jakim się znajdowała, jak gdyby powracając do miejsc, które przebiegała codziennie, odnajdywała ciężar codziennych bólów i znów nakładała go na barki.

— Panie Konradzie — wyrzekła cicho, gdy już stanęli poddrzwiami — on jest bardzo chory.

Spotkała znów roztargnione spojrzenie jego.

— Zobaczymy — odparł tylko.

Nie miała prawa żądać więcej, wszakże przychodził na pierwsze wezwanie, porzucając wszystkie inne obowiązki.

Zosia otworzyła im drzwi i weszli spiesznie do saloniku, gdzie na improwizowanym łóżku leżał Adolf.

Nigdy może ten salonik nie wydał jej się tak nędzny jak w tej chwili. Nigdy wszystkie rany ścian, obicia, mebli, nie były w jej oczach tak rażące, jak teraz, gdy miała wryty w pamięci elegancki apartament doktora. Spojrzała na niego prawie nieśmiało. Ale on śpiesznie zrzuciwszy palto, zbliżył się do chorego i egzaminować go zaczął.

Teraz też cała uwaga Felicyi skierowała się na brata. Zaczęła nawet wyrzucać sobie, iż przez czas tak długi nie była nim zajęta, a przecież teraz nawet wzrok jej odwracał się mimowoli od twarzy brata, biegł do młodego doktora i zatrzymywał się na nim.

Rzeczywiście Konrad posiadał jedną z tych fizyognomii szczęśliwych, co uprzedzają korzystnie za pierwszym spojrzeniem. Matka natura obdarzyła go kształtnymi rysami, a rysy te wyrzeźbiła inteligencya, nadając im wdzięk subtelny; nie każdy pojąc go był zdolny, ale każdy odczuwać musiał. Nadewszystko zaś uważnego badacza uderzała charakterystyka tej twarzy, której głównem znamieniem było coś gwałtownego, jakaś namiętna siła, może dotąd bierna, może bezwiedna jeszcze, może na uwięzi trzymana wołą, może tylko brakiem sposobności. Ale dla psychologa rysy jego mówiły wyraźnie, że z namiętnością tą nie należało igrać, ani spokojowi dowierzać. Świadczyły o tem pełne, rumiane wargi i nozdrza drgające za każdym wzruszeniem

i oczy o złocistych połyskach z przyciemnioną powieką, strzelające niekiedy rubinowemi iskrami.

Teraz jednak wzrok ten pełen jedynie skupienia wlepiony był w chorego, który nie odzyskał przytomności. Z tego powodu Konrad co chwila zmuszony był zwracać się do Felicy; zadawał jej pytania, na które Adolf odpowiedzieć nie był w stanie; potrzebował jej pomocy, ażeby go podnieść, lub ułożyć na poduszkach.

Choroba była niebezpieczną, Adolf miał gwałtowne zapalenie płuc. Konrad dał szczegółowy przepis postępowania, zapisał lekarstwo, obiecał być przed wieczorem i wyszedł. Uczynił on wszystko, co powinien był uczynić, przecież śpieszył się widocznie, zabawił tyle tylko czasu, ile zabawić musiał, ani minuty dłużej. Felicya potrzebowała bardzo — nadziei, kilku słów przyjaznych.

Odprowadziła go do przedpokoju, oczekując ich daremnie a gdy wyszedł, gdy drzwi zamknęły się za nim i odgłos kroków przestał dochodzić, zdawało się, że opuściła ją wszelka pociecha, że pozostała sama wobec nie szczęścia.

Przez chwilę stała gdzie ją odszedł, przyciskając obie dłonie do oczów, pogrążona w trwodze i smutku. Zbudził ją do rzeczywistości kaszel brata; podniosła głowę, jak człowiek co wobec niebezpieczeństwa odrzuca wszelkie myśli, któreby nie były walką i obroną. Marzenia, troski, osobiste sny i osobiste bóle, wszystko to zamknęła w głębi serca; powróciła do łóżka Adolfa, niby żołnierz na stanowisko, ażeby stoczyć bój śmiertelny z chorobą i bronić tego nędznego życia, które było dla niej tak drogiem.

W domach, szczególniejszych i zamieszkałych przez uboższą ludność, żyjącą więcej skupiono, wieści roz-

biegają się szybko, bo sąsiedzi znają położenie, skład rodziny i nawyknięcia jedni drugich.

Wszyscy mieszkańcy kamienicy na Freta ulicy wiedzieli też wkrótce o chorobie Adolfa a nawet o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło. Marynię wieść ta uderzyła wśród marzeń szczęścia i była owym gromem niszczącym powstające nadzieje. Zaledwie ją doszła, rzuciła robotę i nie bacząc na wymówki i gniewy, jakie na nią spaść mogły, pobiegła jednym tchem do mieszkania Słońskich. Choćaby nawet nie widziała Felicyi ani Adolfa, przynajmniej dowiedziałyby się od Zosi, czy on chory rzeczywiście, czy bardzo.

Zadzwoiła zwyczajem swoim bardzo lekko, nieśmiało. Felicya wyszła jej otworzyć, bo właśnie Zosię posłała do apteki.

— Och! panno Felicyo! — zawołała zdyszana dziewczyna, opierając się o ścianę — panno Felicyo! czy to prawda co mówią?

Głos jej był przerywany i słychać było, jak serce jej uderzało gwałtownie, tak, iż za każdym uderzeniem drżała wełniana chusteczka, skrzyżowana na piersiach.

Felicya była znowu tą cierpliwą, wytrwałą i mężną istotą, która dotąd trzymała niezmordowaną dłońią ster domu i rodziny, stawiając ciągle czoło przeciwnościom.

Nie chciała się roztkliwiać, czuła, że gdyby na chwilę przestała trzymać uczucia na wodzy, rozplakałaby się jak dziecko, nie potrafiłaby ani zebrać myśli, ani wykonać tego wszystkiego co leżało na jej głowie.

— Prawda — szepnęła krótko — wszystko najgorsze prawda, etat go minął...

— Mniejsza o etat... — przerwała niebacznie Marynia.

Felicja przycięła wargi i mówiła dalej.

— I ze zmartwienia zachorował śmiertelnie.

Wypowiedziała to z rodzajem szorstkości, właściwej sobie w chwilach nieszczęścia. Nie dlatego, by była nie-
miłosierną dla cudzego cierpienia, tylko miała przekonanie,
iż trzeba je znieść umieć, że nic nie odwróci od ust ni-
czych kielicha goryczy, i że lepiej wypić go odrazu, niż
sączyć kropla po kropli.

Przecież zaledwie wypowiedziała te słowa, musiała
ich pożałować. Marynia, blada śmiertelnie, trzęsła się jak
w febrze. Nie mówiła nic, tylko dwie łyzy wielkie zawisły
w jej przerażonych oczach.

Felicja patrzyła na nią przez chwilę w ponurem mil-
czeniu.

— Boże mój! — szepnęła wreszcie Marynia — a ja
wczoraj byłam tak szczęśliwa!..

Felicja uczyniła ruch pełen głębokiej tragiczności,
jakby wyciągała ręce ku temu wczoraj, które tak szybko
minęło i jakby wymawiała mu jego znikomość.

— Tak — wyrzekła — wczoraj... to przeszło jak
sen...

— Och! panno Felicjo! panno Felicjo! — powta-
rzała dziewczyna, składając ręce — pozwól mi go zo-
baczyć!

Nie broniła jej tego. Przeciwnie, otworzyła drzwi do
saloniku, a Marynia wsunęła się za nią na palcach, wstrzy-
mując oddech.

Salonik w tej chwili zaczynał napełniać się słońcem ;
wpadało ono złotymi strzałami między liście roślin hodo-

wanych w wazonach i nadawało im barwę żywego szmaragdu. Kanarki rozradowane niem, śpiewały całą siłą drobnych gardziołek i świergotem rozweselały pokój, w którym słyhać było stłumione jęki Adolfa. Wyżółkły, z rozognioną twarzą, wodził zapadłemi oczyma w koło, nie poznając nikogo.

Marynia cofnęła się przerażona.

— Och! — szepnęła urągliwie prawie Felicya — nie masz się czego lękać!

Nie odpowiedziała nic, przemogła pierwsze wrażenie i zbliżyła się do jego posłania, szepcząc zapewne modlitwę jakąś zbladłemi wargami.

Potem podniosła głowę, jakby ocknęła się nagle z rozpaczliwego zniechęcenia, które ją ogarnęło.

— Ja także chciałabym być użyteczną tutaj — szepnęła — umiałabym go pielęgnować...

Felicya popatrzała na nią czas jakiś.

— Dziecko jesteś, Maryniu — odparła z łagodnym wyrzutem — nie pozwolę na to i on nie pozwoliłby pewno. Alboż to mało napracować się musisz.

— Noc do mnie należy — prosiła Marynia, wznosząc ku niej swe wymowne oczy. — Pani tutaj nie wydołasz sama. A ja, choć się taką nie wydaję, jestem silną, nie chorowałam nigdy.

Namyślała się chwilę, patrząc naprzemian na dziewczynę i chorego.

— Dobrze — szepnęła wreszcie — przyjdź wieczór, będziemy się mieniały.

A potem dodała z namiętnym wyrazem:

— On potrzebuje starań, a my ich szczeni nie będziemy.

I rzuciła się na kolana przy łożku, a kryjąc twarz w poduszki, tłumiała łkanie, które gwałtem wyrывało się z jej piersi. Ale gdy Zosia powróciła z lekarstwem, była znowu na swoim stanowisku i spełniała przepisy Konrada.

Ona jedna to czyniła. Pani Słońska narzekała, płakała, łamała ręce i było to wszystko, co dla syna uczynić była w stanie. Na dozorczynię chorego okazywała się niezdolną zupełnie.

Co chwila spostrzegała symptomata, istniejące jedynie w jej wyobraźni, przerażała się i pocieszała bez żadnej przyczyny i przy tej sposobności wypowiadała najfantastyczniejsze patologiczne i anatomiczne poglądy z niezachwianą pewnością siebie.

Felicja lękała się na jedną chwilę zostawić ją przy chorym, gdyż niepodobna było przewidzieć, czem przez tę chwilę zaszkodzić mu może. Lękała się zarówno jej nierozsądku, jak troskliwości. Pani Słońska gotową była głośno opłakiwać syna, jak gdyby już był stracony, bez względu na to, że miał chwile przytomności i że mogła przerazić go swoim żalem niewczesnym.

Tak mijały dni ciężkie, straszne, których męczarnie zrozumieją ci tylko, co wśród długich dni i nocy, stokroć dłuższych jeszcze, czuwali przy łożku, na którym walczyła ze śmiercią istota ukochana. Ale Felicja musiała jeszcze oprócz tego toczyć walkę z nędzą, walkę skrytą, bo nie chciała, by domyślił jej się Konrad, Marynia, nawet sługa domowa.

W niedzielę, korzystając z tego, że mogła zostawić Marynię przy Adolfie, wybiegła na miasto; miała jeszcze parę drobnych panięskich klejnotów, broszkę w kształcie

złotego wężła, pierścionek od dawnej przyjaciółki, kolczyki z turkusikami, wszystko razem wzięte warte było bardzo niewiele, a żyd jubiler dał jej mniej jeszcze. Starczyło to jednak zawsze na opędzenie pierwszych potrzeb. Wracając, wbiegła do kościoła, uklękła w kącie i modliła się z gorącą wiarą. Nie miała czasu szukać znajomej twarzy, zresztą nie dostrzegłaby jej może zza łez zalewających jej oczy.

Powstała za chwil parę, gnana niepokojem, i wróciła do mieszkania. U wejścia do domu spotkała się z Konradem. Szedł zamyślony, gorączkowo, tak, iż choć wchodziła z nim razem, nie podniósł na nią wzroku, dopiero gdy powitała go, spojrzał w koło jak człowiek nagle wyrwany z koła marzeń.

Był bardzo dobry dla niej i dla Adolfa, przychodził regularnie dwa razy dziennie, doglądał chorego z najwyższą troskliwością, czasem siadał przy nim, a siedział czas jakiś zatopiony w myślach, które widocznie były smutne, a wówczas Felicya niespokojna, niepewna, zawieszona na jego oczach, czuła odbicie tych smutków i spostrzegła z przerażeniem, iż przez ten czas nie myślała o Adolfie, że znalazło się w jej sercu jeszcze miejsce na inną troskę.

Ale czasem znowu Konrad wpadał tylko na minutę z gorączkową szybkością załatwiał się z chorym, tłumaczył wówczas, że jest bardzo zajęty, a Felicya dziękowała mu ze łzami, że poświęcał im tyle czasu.

Nie mówiła mu o swoim położeniu, przecież on odczuwał je zapewne, bo wyrobił jej kredyt w aptece i tym sposobem umożliwił kurację, a przytem raz wzięwszy ją na stronę, prosił tak serdecznie, by w razie potrzeby udała się do niego i mówił tak wiele o swojej przyjaźni, iż Feli-

cyą rozpląkała się jak dziecko, szczęśliwa i rozżalona razem. Jednak byłaby wolała umrzeć, niż przyjąć od niego pieniężną pomoc.

Po każdej wizycie odprowadzała go do przedpokoju. Musiała przecież zapytać go o chorego, a kiedy szeptała drżącym głosem: „I cóż?” — spojrzenie jej stawało się przejmującym i badało go nawskróś.

Dotąd zawsze odpowiadał jej:

— Nie tracę nadziei.

Aż wreszcie przyszedł dzień, w którym Konrad powiedział:

— Jestem pewny, że wyzdrowieje.

Wówczas ona byłaby się rzuciła mu na szyję lub uklękła przed nim w pokorze, jak przed zbawcą.

Była to znowu chwila radości w mieszkaniu Słońskich, ale radości cichej, głębokiej i posępnej, podobnej do słonecznego promienia po gwałtownej burzy, co oświeca zniszczone pola i połamane drzewa. Burza przeszła przez ich życie, zniszczyła wiele nadziei, przyniosła z sobą klęsk nie małą, ale skoro on żył, skoro znów razem mogli zacząć krzątać się około przyszłości, oddychali wszyscy pełną piersią.

Adolf jednak niezmiernie powoli przychodził do siebie, a kiedy cieszyli się wszyscy przy nim, on leżał milczący, z bladym uśmiechem na wargach, który zdawał się więcej tęskny, niż radosny. Tylko czasem, kiedy Marynia siadała przy nim i swoim szczebiotem rozweselała na wyścigi z karnarkiem mieszkanie, on brał jej rękę w rozpalone dłonie jakby chciał się przekonać, że to nie sen, nie gorączkowe marzenie i słuchał z przymkniętymi na wpół oczyma jak gwarzyła o przyszłości.

Pani Słońska dotąd niebardzo chciała słyszeć o miłości syna. Jak zwykle matki, była pełną złudzeń co do swojego jedynaka; sądziła, że Adolf mógł zrobić świetną partyę, że nie było panny na świecie, któraby nie była dumną i szczęśliwą z jego wyboru. A on tymczasem?.. Marynia była to krwawa rana jej serca. Jednak nie umiała sprzeciwić się synowi, lękała się go drażnić a potem Marynia tak nieśmiało spoglądała na nią i tak mało zabierała miejsca, iż trzeba było nie mieć serca, by jej dać uczuć jakąkolwiek niechęć.

Pani Słońska niechęci nie pokazywała, ale nie lubiła patrzeć na młodą parę, drażniła ją ona. Było to stwierdzeniem faktycznem upadku rodziny, odjęcia jej możności powstania, które według jej pojęć opierało się na Adolfie. To też zwykle, gdy młoda dziewczyna siedziała przy synie, pani Słońska szła do sypialnego pokoju, kładła się na kanapkę i wzdychając, paliła papierosy, których sobie niestety w tych ostatnich czasach coraz rzadziej pozwalać mogła.

Pomiędzy bratem a jego narzeczoną, Felicja czuła się zbyt zbyteczną. Nieraz słyszała, jak szepty ich milkły za jej nadejściem, a zresztą jej także widok ten sprawiał nieokreśloną przykrość. Nie dlatego, by na równi z matką roiła świetny los dla brata, o jakiejbądź świetności zapomniała oddawna; nie dlatego, by zazdrościła szczęścia jemu lub Maryni, tylko, że czuła się w tej chwili niepotrzebną im, niemal obcą, że przychodziła jej na myśl z goryczą własna dola.

W takich chwilach wybiegała z domu; jeśli zastała kościół otwarty, wchodziła tam jak do przystani skołatanego serca. Siadała w najciemniejszym jego kąciuku,

upajała się ciszą i cieniem przybytku. Z ran Chrystusa płynęła dla niej pociecha; patrząc na ten obraz najwyższego cierpienia, lżej jej było dźwigać krzyż własny. Zdawało jej się, że ta głowa pochylona na piersi w boleści konania poruszała ustami, a z ust tych wychodziły pamiętne słowa: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i spracowani jesteście a ja was ochłodzę“.

Wówczas stawała się silną. Ją nikt nie pocieszał, nie obchodził nigdy; znękana, zboleła, musiała dźwigać nie tylko krzyż własny, ale pokrzepiać ciągle najbliższych sobie — ciągle, nieustannie. Tutaj zapomniała na chwilę przynajmniej o swoim gorzkim losie i doznawała mistycznej pociechy. Była w stanie siedzieć w ławce godziny całe, tem więcej, że czas jej nie miał właściwej wartości, bo skoro ukończyła domowe zatrudnienia, nie miała już sposobności zużytkować go na korzyść rodziny. Drobnie roboty szydełkowe spadły w cenie wskutek konkurencyi i nie miały zbytu, ona więc opuściła ręce i nie mogła wynaleść sobie innego zajęcia.

Tym sposobem czas był dla niej w wielu razach ciężarem i w godzinach przymusowego próżnowania, cisnęło jej się do myśli wszystko co było smutne i rozpaczliwe. W kościele tylko modlitwa sprawiała jej ulgę, wpadała w mgliste marzenia, które dawały jej ukojenie.

Podczas choroby brata nie mogła uczęszczać na nabożeństwa, na których spotykała się regularnie z całym kółkiem istot, będących mniej więcej w jednym z nią położeniu i na jednym poziomie umysłowym, gdy dorywczo tylko mogła wysunąć się z domu. Spotykała je czasem na ulicy, a wówczas zamieniały ukłon, czasem gorliwsze z pomiędzy nich dodawały bogobojne powitania imieniem Chry-

stusa. Czasem też pytały o przyczynę opuszczenia nabożeństwa, a dowiedziawszy się o smutku, jaki ją trapił, obiecywały swoje modlitwy.

Po każdym takim spotkaniu Felicya czuła się po krzepioną trochę, nie była już tak samą na świecie, istniał węzeł łączący ją ze społeczeństwem, a przynajmniej z jedną jego częstką, ona także była ogniwem w łańcuchu pobożnych, mogła w nim mieć znaczenie modlitwami swemi. Kościół w tem wielkiem, ludnem, ruchliwym mieście, był jedynem miejscem, gdzie zauważono jej nieobecność. To też kościół nabierał dla niej indywidualnego znaczenia. Wiedziała dobrze, iż Pan Bóg jest wszędzie jeden i wszędzie jednakowo modlić się można, przecież w innych kościołach czuła się obcą, tylko w po Dominikańskim doznawała tych błogich wrażeń, które powracały jej siły i odwagę do życia.

Kiedy jednak Adolf powoli zaczął przychodzić do siebie i codzienne wizyty doktora ustały, Felicya nawet w kościele nie znajdowała ciszy i ukojenia; wówczas przechadzała się po mieście, gnana jakimś niepokojem, zwracając się zawsze ku dzielnicom, gdzie miała szanse spotkać Konrada. Wiedziała kiedy był w lecznicy, kiedy w szpitalu i z wiedzą czy bezwiednie urzędowała się w ten sposób, iż bardzo często schodzili się na ulicznym chodniku.

Spotkawszy ją Konrad, zatrzymywał się zwykle, pytając o zdrowie Adolfa, a ona tłumaczyła się zawsze, iż miała sprawunek lub interes w tej stronie miasta; chciała usprawiedliwić te częste spotkania, lękając się, by nie naprowadziły młodego doktora na ślad jej uczucia.

Mogła być jednak spokojną pod tym względem; mężczyzna nigdy nie domyślił się uczucia kobiety obojętnej

sobie, jeśli uczucie to nie może pochlebić jego miłości własnej, tembardziej, gdy sam ma serce kim innym zajęte.

Spotykał on ją zresztą z przyjemnością. Podczas bliższych stosunków, jakie zwiększyły się pomiędzy nimi nauczył się cenić jej siłę charakteru, rozsądek, serce i odwagę, nabrał dla niej szacunku i przyjaźni, które podtrzymywały jej nadzieje. A przytem był on w takiej rozterce sam z sobą, iż baczne oko Felicyci zatrzymywało się teraz na nim z podwójną uwagą. Pod naciskiem niewiadomych czynników i wpływów, stawał się on przystępniejszym miększym uczuciom. Chwilami były w jego głosie drgania namiętne, chwilami głos ten zdawał się zwilżony, jakby tam coś skarżyło się i płakało mu w sercu; to znowu wyglądał jak człowiek, który sprzecza się sam z sobą, wszędzie nosi burzę, jaka nim miota, i zwraca się na wszystkie strony, szukając daremnie steru własnych uczuć i czynów, bo ster ten wypada mu z ręki.

Były dni, w których przychodził do Słońskich, siadał przy łóżku Adolfa i nie mówił słowa. Wówczas brat i siostra spoglądali po sobie zdziwieni, a Felicya potem marzyła o rzeczach, które zdawały jej się czasem niepodobne, a czasem znowu tak bliskie, iż kto wie, czy nie starczyłoby jej wyciągnąć rękę, aby je pochwycić.

W końcu zmiany i roztargnienia Konrada były tak widoczne, iż Adolf mówić o tem począł z siostrą.

— Nie poznaję doktora — wyrzekł do niej jednego wieczora, gdy ten po długim milczeniu powstał, pożegnał się i wybiegł gwałtownie, jakby go kto gonił.

— Co jemu jest? — pytała Felicya.

A gdy wymawiała te słowa, brat popatrzył na nią

uważnie i rozśmiał się w sposób tak dziwny, iż nie wiedzieć czemu zarumieniła się, jak nie rumieniła się nigdy.

— Czy doprawdy nie domyślasz się tego, Felo?

Ona lękała się domyślać, lękała się, by nie nazwano ją szaloną i nie chciała, by brat nawet zajrzał do głębi jej serca.

Adolf jednak, z intuicyją jaką miłość obdarza najmniej nawet bystre inteligencye, wyrzekł stanowczo:

— Konrad się kocha!

Przeszedł ją dreszcz rozkoszy i zachwytu. Więc jeśli to było szaleństwem, nie ona jedna była szaloną. Pochyliła głowę w milczeniu, a brat mówił dalej:

— Nie udawaj! Niby to o tem nie wiesz.

Nigdy głos ludzki nie wydał jej się rozkoszniejszą muzyką. Przecież instynkt jakiś obronny kazał jej nie poddawać się nadziei, nie pokazywać jej bratu.

— Cóż ja mogę o tem wiedzieć! — zawołała gwałtownie.

— Wy, kobiety — ciągnął dalej Adolf — choćbyście były niewiadome, wiecie zawsze, gdy kto na was spogląda.

Widocznie cieszyła go nadzieja szczęścia siostry, zatrzymywał się na tej myśli z rozkoszą. Aż ona słuchać go zaczęła jak zwiastuna dobrej wieści, której sama dowierzać nie śmiała.

— Więc on na mnie patrzy! — zawołała wreszcie. — To być nie może, Adolfe, ty się mylisz, jakby on mógł na mnie zważać!

Spoglądała na niego z bijącym sercem.

Ale Adolf należał do ludzi, którzy nigdy jasno nie umieją spojrzeć ani na siebie i na los własny, ani na drugich.

— Cóżby w tem było dziwnego — wyrzekł poważnie, porzucając ton żartobliwy. — Konrad zna cię oddawna, a teraz... teraz ocenił cię jak na to zasługujesz.

Niestety, on nie domyślał się wcale, że na tym świecie ludzie tylko wówczas cenieni są według zasługi, gdy o tej zasłudze sami mówią nieustannie i że zasługi brzydkich kobiet należą do kategorii wiecznie zapoznanych.

— Adolfie! — zawołała — czy ty jesteś pewnym tego co mówisz?

Spojrzał na nią, zdziwiony wyrazem, z jakim to wypowiedziała, bo nie przyszło mu nigdy na myśl, by siostra kryła jaką tajemnicę sercową.

— No, pewny! Któż może być pewny podobnej rzeczy?.. Tak mi się zdaje! Zresztą to się pokaże!

— Tak, to się pokaże — powtórzyła z wolna zmuszając do milczenia wszystkie podniecone uczucia.

— Tylko nie mów tego mamie, nikomu.

Felicya uniosła z tej rozmowy tyle słońca w myśli, że to biedne mieszkanie zdało jej się jasne i promienne.

A przecież przebywała bardzo ciężkie chwile; brak był coraz większy, Adolfowi trzeba było posilnego rosolu, delikatnego mięsa, kompotu. Felicya kupowała to wszystko w homeopatycznych dozach, strzegła jak oka w głowie, przed matką nawet, której musiała odmawiać owych sucharków, owej śmietanki co stanowiła osłodę jej życia. Pani Słońska zwracała ku niej przy śniadaniu i herbacie żalosalne spojrzenia, na które ona była nieczułą. Sama żywiła się suchym chlebem tylko, a kiedy matka lub brat zwracali na to uwagę, to wymawiała się nabożeństwem, votum uczy-nionem, że jako dziękczynienie za powrót do zdrowia Adolfa

suszyć będzie dwa dni w tygodniu. I suszyła rzeczywiście; brak środków łączył się u niej z nabożnem pragnieniem zadania sobie umartwienia, a kiedy była wycieńczona głodem, doświadczała jakiegoś błogiego uczucia, które podnosiło siłę wrażeń. Zdało jej się, że przez fizyczne cierpienie dokupywała się nieznanym rozkoszy i nie mogła się powstrzymać od ofiarowania ich na intencję spełnienia najgorętszych marzeń, a wówczas każdy kęs chleba od ust odjęty, czynił jej wrażenie zrobionego ku temu kroku.

Czasami znów napadały ją dziwne skrupuły. Przychodziło jej na myśl, że umartwienia jej i modlitwy należały się bratu jedynie, że powinna była ofiarować je za jego zdrowie i pomyślność i że przeznaczając je na osobistą intencję, przeniwierała się jemu. A jednak oprzeć się tej pokusie własnego szczęścia nie była w stanie, mimowoli modlitwy jej zwracały się za Konrada, myśl o nim zacieraa wszystkie inne. I dla uspokojenia sumienia, czyniła postanowienie, że skoroby raz pewną była jego serca, zadawałaby sobie więcej jeszcze umartwień na intencje rodzinne.

Jednocześnie zaczęła zwracać szczególną uwagę na swoją powierzchowność. Felicja wiedziała jednak, że jeśli pozyskała serce Konrada, to nie za pomocą wdzięku, ani umiejętnego stroju, że ocenił w niej inne przymioty. Pomimo to, ubierała się dłużej niż zwykle, często nie była zadowoloną ze swego uczesania, próbowała inaczej ułożyć włosy, lub też czyniła nieszczęśliwe pokuszenia względem upiększenia skromnej, czarnej wełnianej sukni, którą zimą i latem nosiła.

Nieraz czuwała późno w nocy, ażeby przeprać jakiś

garnirunek do sukni, zrobić żabot lub kokardkę i pod tym względem rozwijała przemysł godny lepszej sprawy. Zresztą w czuwaniu nie miała wielkiej zasługi, sen ją odbiegał; radość odejmuje go, zarówno jak smutek.

Brak snu i pożywienia odbijał się na jej obliczu, wychudła, zmizerniała, a jednak wypiękniała zarazem; żółtkłe, zatarte oblicze rozjaśniło się, znikł z niego wyraz pogębnienia, a przeciwnie, biła promiennosc nadziei.

Czasami jednak rozsadek odzyskiwał swoje prawa i wśród upojeń, jakie ją ogarniały, rzucał surowe ostrzeżenia: dlaczegoż Konrad milczy, jeśli ją kocha rzeczywiście? czemu nie wystąpi z tem otwarcie?

Rozmarzone serce miało na to tysiące odpowiedzi. Alboż znała wszystkie okoliczności jego życia? Alboż wiedziała co go krępować mogło? A potem, może namyślał się przed stanowczem słowem, może badał sam siebie?

Trzeba było czekać i milczeć, aż według słów brata, przyszłość zamiary jego odkryje. Była to męka, ale męka pełna rozkoszy, męka połączona z nadzieją.

A tymczasem postępowanie Konrada było coraz dziwniejsze i upoważniało coraz więcej, jeśli nie koniecznie do przypuszczeń jakie czyniła, to przynajmniej mogło zwrócić uwagę najmniej uważnego badacza.

Doktor widocznie przechodził jedną z tych faz moralnych, w których człowiek nie władnie sam sobą; znalazł się na jakimś rozdrożu i bił się wśród rozterki uczuć czy myśli; stało się to tak wyraźnem, wypisało się tak groźnie w jego oczach płonących, w błędej twarzy i w roz-targnionych słowach, iż raz Felicya, która, jak zwykle wyprowadziła go do przedpokoju, zapatrzyła się na niego,

przejęta rodzajem dziwnej litości. Cokolwiek nosił on w sercu, cierpiał, na tem omylić się nie mogła.

Zrozumiał zapewne, że jest odgadnięty i na pożegnanie wziął w swoją jej rękę i ścisnął ją zamyślony tak długo, iż zrobiła lekki ruch, aby ją cofnąć.

Nie zważał na to, lub też nie chciał zważać, przeciwnie rękę tę ścisnął mocniej jeszcze, zatrzymał z rodzajem słodkiej przemocy.

— Panno Felicyo... — wyrzekł cichym, zmienionym głosem.

Serce jej uderzyło tak gwałtownie, iż szalone bicia oddech jej przecięły. Czyż nadeszła chwila stanowcza? Czy rzeczywiście miał przemówić wyraźnie?

Ale on nie powiedział nic więcej, patrzył w jej oczy łagodnie i smutno.

— Panno Felicyo... — wyrzekł znowu, jakby czyniąc postanowienie nagle — znamy się od tak dawna, chciałbym z panią pomówić.

— Ze mną?... — wyszeptła.

— Tak, z tobą panno Felicyo, z tobą jedną...

Nie potrzebowała pytać, o czem chciał mówić; odgadywała, że wreszcie tajemnica jego wychodziła mu na usta.

— Mów pan — zawołała.

Uśmiechnął się smutnie.

— Och! nie teraz — wyrzekł — to nie da się powiedzieć w dwóch słowach...

Stała przed nim zarumieniona, milcząca, a tak szczęśliwa, iż sądziła, że serce jej piersi rozsądzi, zabraknie, powietrza na hymn dziękczynny, jakim wybuchnąć pra-

gnęła. Ciemny przedpokój zamienił się w jej oczach w raj rozkoszy.

A on mówił dalej:

— Panno Felicyo, teraz Adolf nie potrzebuje cię ciągle, masz pani czas wolny: czy nie moglibyśmy spotkać się gdzie na spacerze jakim i pomówić ze sobą...

Prośba mogłaby w innym razie wydawać się dziwną, ale oni byli w wyjątkowym położeniu, spotykali się tyle razy prawie codziennie, znali się od dziecka a w mieszkaniu ich niepodobna było zamienić swowodnie poufałego słowa.

Przystąpiła też na nią bez oporu, zapytała nawet czy zaraz pragnie z nią mówić, ale doktor nie jest panem swojego czasu. Spojrzał na zegarek:

— Nie! — zawołał z pośpiechem — dziś niepodobna! Może jutro?

Umówili się, iż około dwunastej godziny zejść się mieli na placu Zamkowym; on odszedł, ale zanim odszedł dziękował jej z całego serca, a dziękując, rękę jej podniósł do ust.

Odszedł wreszcie. A ona pozostała z czołem pochylonem ku ziemi, jakby ciężyla na niem korona szczęśliwości niewypowiedzianej. Przed oczyma biegały jej ogniste płaty, a powieki nabrzmiwały słodkimi łzami. W uszach, jak rzewna melodia, brzmiały słowa jego, a na ręce czuła ciągle usta świeże, gorące, które na niej wycisnęły pocałunek. Pod tem dotknięciem wszystkie fibry jej istności zadrgały, jak pod uderzeniem iskry elektrycznej; zapaliła się wyobraźnia i przedstawiała jej jakiś kraj cudowny, którego stała się nagle władczynią.

Szczęście — dla tej istoty wydziedziczonej — był to

grom prawdziwy; ona nie śmiała go się spodziewać, a teraz oto przyszło do niej samo i pokazało jej oślepiające oblicze.

Kiedy Felicya wróciła do saloniku, była blada, chwiała się na nogach jak człowiek pijany, tak, iż mimowolnie chwyciła się sprzętów. Szczęście działało na nią, jak cierpienie: obezwładniało, odejmowało siłę, łamało tę hartowną naturę, która wszystko bez szemrania przenieść była zdolna.

Zmiana w niej zaszła tak gwałtowna, iż zauważył ją Adolf.

— Co tobie jest? — zapytał.

Pytanie jego zagłuszyły radosne chóry, które rozbrzmiewały w jej sercu.

— Felo co tobie? — powtórzył głośniej.

Tym razem dosłyszała go i zwróciła ku niemu twarz przetworzoną — słoneczną.

— A więc miałem słuszność! — zawołał.

Chciał ją zapytać jak to było? jakiemi wypowiedział się słowami?.. Ale ona nie była w możności odpowiedzieć, położyła palec na ustach błagalnym ruchem i odeszła.

Potrzebowała ukryć swoje szczęście przed każdym okiem ludzkim, jakby czuła, że niema do niego prawa, że jest to szczęście skradzione.

Pragnęła być samą, wywołać swobodnie w myśli widmo Konrada i powtórzyć w pamięci to, co zaszło pomiędzy niemi.

Wszystko to tkwiło w niej wyraźnie, słyszała nawet modulacje głosu jego, tak iż próbowała naśladować je po cichu, widziała ruch szybki, a gwałtowny, którym po-

chwycił jej rękę i odnajdowała znowu wrażenie pocałunku.

Potrzebowała samotności; nie mogąc jej znaleźć, usiadła pod oknem w sypialnym pokoju, gdzie matka jej leżała na kanapce — i ukryła w dłoniach ociężałe czoło.

Gdy dano obiad, wymówiła się bólem głowy, a gdy wreszcie pani Słońska wyszła do salonu, zostawiając ją samą, odetchnęła z głębi piersi i swobodnie już zapuściła się w krainę przyszłości, która wyglądała w jej oczach, jak zaczarowana kraina marzeń, i zapytywała znowu sama siebie, czy mogła mieć do niej prawo?..

Była chwila, gdzie pobiegła do zwierciadła i przypatrywała się sobie, zastanawiając się, czy jest możebne, by jak w bajkach sprawdzały się sny dziecinne i jaka dobra wieszczka przetworzyła dotknięciem laski czarodziejskiej ją smutną, bez nadziei, znękaną, w najszcześniejszą kobietę na świecie.

Felicya nie pojmowała szczęśliwszej doli, niż była jej własna i gdyby ofiarowano jej królestwo świata, nie byłaby chciała zamienić na nie stanowiska, jakie sądziła, iż jej przypadnie w udziale.

Być jego żoną! czuwać nad życiem, zdrowiem, spokojem, które były jej stokroć droższe od własnych, być towarzyszką jego trudów, pysnić się jego sławą, a nade wszystko widzieć go co dnia, co chwila, oczekiwać go, gdy wyjdzie z domu i myśleć, że on powróci o godzinie oznaczonej i przygotować na jego powrót wszystko, co mu przyjemnem być mogło... Czem ona zasłużyć mogła na tyle szczęścia!..

Przysięgała samej sobie, iż on wyboru tego nie pożałuje nigdy, iż poświęci mu każdy moment życia bez my-

śli wstecznej, iż będzie starała się umilić mu każdą godzinę i pokazać wszystkie przymioty, których istnienie mógł tylko przypuszczać.

Resztę dnia przeszło dla niej szybko, napadały ją szalone chęci ruchu, gwaru, miała ochotę śpiewać jak dziecko, to znowu ogarniała ją senność marzenia. W nocy długi czas oka zmrużyć nie mogła, a gdy wreszcie zasnęła, miała sny piękne, jakie szczęście tylko przynosi.

Kiedy obudziła się nazajutrz, miała znowu rozkoszną chwilę; zamiast tłoczącego ją co rano ciężaru, przypomniała sobie dzień wczorajszy i rozmowę z Konradem i schadzkę, jaką sobie naznaczyli i uczuła, że jakkolwiek wczoraj było rozkosznem, dzisiaj jeszcze rozkoszniejszym być może. A skoro pomyślała o całym szeregu dni podobnych, uczuła się lekką jak ptak, co rozpuszcza skrzydła w błękicie.

Godziny biegły dla niej szybko a leniwie, aż nareszcie zbliżyło się południe. Dzień był mroźny, jasny, słoneczny, jakby niebo samo sprzyjało ich schadzce.

Felicya ubierać się zaczęła. Włosy ułożyła z nigdy nie widzianą starannością, poprawiając i przyglądając każdy promień. Nosiła je bez żadnej pretensyi przyczesane gładko na skroniach, z tyłu splecione w warkocz i przypięte grzebieniem. Teraz przysła jej ochota upiąć je w modniejszy sposób, próbowała nawet to uczynić, ale powstrzymała ją myśl, że skoro w takim uczesaniu podobała się Konradowi, nie miała prawa go zmieniać.

Potem starannie wyczyściła swoją starą czarną suknię i okrycie wytarte, włożyła kapelusz, upięła woalkę, poprawiając ją kilka razy, wreszcie pożegnała się krótko

z matką i bratem i wybiegła odmłodzona, żywa jak sarna w kniei.

Nie zdziwiło to nikogo, wychodziła codziennie.

Felicja biegła prawie, lękała się spóźnić, chociaż do placu Zamkowego miała bardzo blisko. Dopiero przechodząc koło zegaru przekonała się, że jeszcze brakowało dziesięciu minut do dwunastej. Wówczas zwolniła kroku i swobodna, szczęśliwa, rozglądać się zaczęła wokoło.

W wigilię spadł śnieg niewielki, zimowe słońce iskrzyło się w nim miriadami dyamentów. Cały krajobraz zarzeczny był nim obsypany, błyszczał w świetle promienną białością, a w cieniu przybierał od błękitu czystego powietrza niebieskawe tony. Wisła spowita lekką mgłą mroźną, toczyła kry wzburzone, brudno-zielonawą smugą odgradzając Pragę, której kolorowe dachy, przyćmione odległością, przysypane śniegiem, wyglądały świątecznie. Po nad dachami wykwiwały co chwila bukiety dymów, wzbijały się w niebo prostą kolumną i rozpływały w błękitnym powietrzu. Poważne, ciężkie budowle Zamku, rysowały swoje imponujące masy z kwadratową wieżą na tle jasnych tonów zamiejskich przestrzeni, na lewo białe smukłe wieżyczki katedralnego kościoła strzelały w niebo wydzierzgane jak koronka. Po drugiej stronie szerokiej wstęgi Zjazdu odpowiadała architektonice zamku czworograniasta dzwonica bernardyńska i fasada kościoła w romańskim stylu, a tuż przed nią na wysokiej kolumnie Zygmunta błyszczał w promieniach południa krzyż złoty i krzywa szabla, trzymane przez pierwszego z Wazów.

Widok ten znała dobrze, widywała go codziennie w czasie zieleni i zimowych śniegów, przecież teraz za-

trzymała się, jakgdyby spotkała go po raz pierwszy. Jakże wszystko, co ją otaczało było piękne!

Gdy tak rozglądała się wkoło, ujrzała nagle pannę Kordulską. Było to nieznośne spotkanie. To też Felicya przeszła koło niej tak śpiesznie, iż stara panna, która miała ochotę ją zatrzymać, dała za wygraną i popatrzawszy na nią przez chwilę, poszła swoją drogą.

Felicya odetchnęła swobodnie. Teraz zwolna obchodząc plac, oczekiwała Konrada od strony lecznicy; oczekiwała go z tem rozkosznem uczuciem, że zawiedzioną być nie może, iż lada chwila usłyszy głos jego przy sobie, ujrzy te ukochane rysy.

Rzeczywiście nie czekała długo. Za ledwie dwunasta wybiła na zamkowej wieży, zobaczyła go zbliżającego się i rozglądającego wokoło, jak czyni człowiek, który kogoś szuka. Serce jej uderzyło dumą i szczęściem.

Przyszła jej myśl skryć się gdzie, podrażnić go, bo szczęście przywracało jej młodość i szaleństwa młodości. I zapytywała znów siebie, jak on ją przywita? jakie pierwsze słowo padnie pomiędzy niemi?

Konrad nie wyglądał wcale na szczęśliwego kochanka, był blady i roztargniony jak wczoraj. Ujrawszy Felicyę, zbliżył się do niej.

— Dziękuję, dziękuję — wyrzekł, ściskając jej rękę.

Doznawała dziwnego uczucia. Sądziła, że to pierwsze słowo będzie odmienne, że on powita ją inaczej, spojrzy inaczej.

— Albożes pan wątpił? — zawołała z wyrzutem.

— Nie, nie wątpilem — powtórzył — wiem, że pani jesteś dobrą bardzo...

Czyż przyszła tutaj przez dobroć?

A on mówił tak dalej:

— Wiem, że masz dla mnie trochę przyjaźni.

Przyjaźni! Znowu to słowo zdawało jej się niestosownem; gdy je wymawiał, przebiegł ją dreszcz zimny. Chciała mu przerwać, zaprotestować, ale nie znalazła stosownego słowa.

Była pomiędzy nimi chwila milczenia. Szli oboje obok siebie, kierując się machinalnie ku Zjazdowi, gdzie ruch był mniejszy, On widocznie nie wiedział od czego zacząć, ona czekała trwożna, pochwycona wśród słonecznych zachwyków dziwnym niepokojem.

— Panno Felicyo — zaczął wreszcie...

Podniosła na niego oczy błagalne. Zrozumiała, że była to chwila stanowcza, że słowo, jakie wymówi, wyrokować będzie o jej losie i nie miała siły go wysłuchać.

Ale on nie miał najmniejszego pojęcia o procesie psychicznym, jaki się w niej odbywał, nie mógł pojąć ani nadziei, jakie obudził bezwiednie, ani trwogi która się w niej rodziła. Spojrzenie to, drgające złamanem życiem, wziął za prosty wyraz znużenia i pośpiesznie podał jej ramię.

— Jesteś pani zmęczona — wyrzekł.

Ona wsparła się na niem znowu, jak wówczas gdy prowadziła go do chorego brata. I znowu szli w milczeniu czas jakiś. Przymknęła oczy, zwiśla całym ciężarem na jego rękę i byłaby pragnęła, by on prowadził ją tak w nieskończoność, by chwila ta nie miała końca, a nadewszystko by nic nie rozwiało cudnych marzeń, któremi kołysała się od wczoraj.

— Panno Felicyo — wyrzekł znowu Konrad — jest to doprawdy egoizm z mojej strony mówić pani o sobie, a jednak ja potrzebuję tego koniecznie.

— Mów pan, mów — zawołała z wylaniem.

— Jestem sam na świecie — mówił dalej młody człowiek — nie mam ani matki, ani siostry...

Nieśmiało, z wolna, podniosła na niego oczy, słoneczne w tej chwili wielką, nieskrywaną więcej miłością. Gdyby był patrzył na nią nieprzyćmionym wzrokiem, byłby zrozumiał ją zapewne. Ale on nosił w źrenicach inny obraz... i ten zasłaniał mu wszystko.

— Panno Felicyo, czy chcesz mi być siostrą?..

To słowo *siostrą* uderzyło ją sztyletowym ostrzem. Przez chwilę była jak człowiek ugodzony śmiertelnie, który stoi jeszcze prosto, pomimo rany, zanim zwali się trupem.

Stało się więc; wszystko było skończone i sny jej i nadzieje i to co warto było zwać życiem. Mógł mówić długo, nie słyszała; to jedno słowo „siostra“, było dla niej wystarczającym.

Przez chwilę toczyła w koło błędnym wzrokiem, jak gdyby zapytywała samej siebie, co robi tutaj z nim, sama jedna, zwieszona na jego ramieniu. Słuchała machinalnie ukochanego głosu, który rozbrzmiewał w jej uszach donośnie, jakby w pustkowiu, daremnie usiłując pochwycić znaczenie słów.

Przecież słowa te domagały się odpowiedzi. On mówił jej o dziwnym położeniu, w jakim się znalazł, o miłości niespodzianej, która zawładnęła nim potężnie, zanim pomyślał o obronie, o różnicy położen społecznych, pojęć i wychowania, rasy i religii, które z tej miłości czyniły klęskę, doprowadzały go do rozpacz, a przecież nie zdołały jej zniweczyć, i o tem, że przychodziła mu coraz częściej szalona chęć potargać wszystkie więzy i być szczę-

śliwym na swój sposób, skoro nie mógł nim być według pojęć i formuł świata.

Odzywał się do jej serca, pragnął zasięgnąć jej rady jako istoty przyjaznej sobie, a nie należącej do świata, która z tego powodu sądzić mogła położenie bez uprzedzeń żadnych.

Felicya szła przy nim z głową spuszczoną. Nie odbierając odpowiedzi na pytania namiętne, jakie jej stawał, pochylił się, żeby spojrzeć jej w oczy... i umilkł nagle.

Twarz jej zwykle blada, teraz nie zachowała jednej kropli krwi, a wargi zdawały się tak ścięte, jakby wstrzymywały gwałtem krzyk rozpaczny.

Przez chwilę on także był osłupiały. Przyszło mu na myśl, że doświadczała jakiegoś strasznego fizycznego cierpienia.

— Co pani jest? — zawołał, zatrzymując się nagle.

Uderzyła ją zmiana głosu, którym przemawiał, bo nie była w stanie rozumieć słów. Myśli jej wirowały w głowie, pozbawione ładu i steru. Nie mogła odpowiedzieć, chociaż czuła niewyraźnie, że ciążyła na niej konieczność odpowiedzi.

Szli właśnie brzegiem Wisły, pustym prawie w tej chwili; spoglądała machinalnie na zmaczone, brudno-zielonawe bałwany, toczące kawałki lodu, po których ślizgały się wesołe promienie południa. Patrzała na nie osłupiałym wzrokiem.

— Co pani jest, przez litość, co pani jest?!

Chciała przemówić; zbielałe wargi drżały próżno przez chwilę, nie wydając żadnego dźwięku. A przed nią płynęła wzburzona rzeka i za wzrokiem myśli jej, pozbawione ładu,

Ignęły do tych fal płowych i uciekały, niesione przez nie, gdzieś daleko w przestrzeń, w dal, w zamęty i wiry. Zdawało jej się, że ją ogarnia jakaś pomroka pełna przerażeń, że wpada w przepaść bezdenną, że słońce ćmi się nad jej głową, a głos jego dochodził ją jakby z oddali, jakby z innego świata, ze świata żyjących, do którego należeć przestała.

Gdyby kto zapytał ją, co się stało, ona, choćby chciała nawet, nie umiałaby odpowiedzieć.

— Panno Felicyo!.. czy pani mnie słyszy?.. — wołał Konrad przerażony jej martwością.

Nagle zrozumiała, że on mógł domyśleć się tego, co się w niej działo i ta śmiertelna trwoga dodała jej siły. Była to natura mężna i przywykła do panowania nad sobą. W pierwszej chwili zwyciężył ją ból niespodziany, teraz jak ranny gladyator zapragnęła ukryć odebraną ranę i umrzeć, nie zdradziwszy cierpienia. Niezmiernem wysileniem przywołała na usta głos zdławiony.

— Nie zważaj pan — szepnęła — ja sama nie zważam...

On nie mógł poprzestać na tem, badał ją z troskliwością przyjaciela, z precyzyą lekarza. Zrozumiała znowu, iż musi odpowiedzieć mu wyraźniej.

— To nic!.. — wyrzekła — mam takie chwile gwałtownego bicia serca. To przejdzie wkrótce... już przechodzi...

Próbowała uśmiechnąć się, uśmiech przecież był rzeczą nad jej siły. A on dopytywał się, kiedy miała pierwszy atak, jak często powtarzają się podobne, jak długo trwają?

Musiała coś odpowiadać, a on wymawiał jej, że zaraz nie powiedziała mu o tem, nie szukała porady.

Wówczas zrobiła jeszcze rozpaczne wysilenie, ażeby odwrócić uwagę od samej siebie.

— Już mi zupełnie dobrze — zawołała — nie warto o tem myśleć, mówmy lepiej o panu, o pańskiej miłości.

Odzyskała panowanie nad sobą przynajmniej o tyle, że mogła trzymać myśl swoją na wodzy, była w stanie dotykać najdrażliwszych dla siebie przedmiotów i nawet czyniła to z pewnem okrucieństwem dla własnego bólu, jakby chciała wychylić do dna kielich goryczy i upoić się nim, aż do szału.

Mówiąc to wyprostowała pochyloną postać, chciała pokazać mu rzeczywiście, iż cierpienie minęło, a choć kolana uginały się pod nią, postępowwała odważnie. Widziała przed sobą w życiu tylko tę chwilę i to co wypadało jej ukryć. Innej przyszłości nie pojmowała zgoła. Chciała tylko, by starczyło jej sił na tę jedną godzinę, więcej nie dbała o nic.

— Mówmy o pańskiej miłości — powtórzyła, patrząc mu w oczy błyszczącym wzrokiem, w którym nie dorozumiał się rozpaczy.

Potrzebował o niej mówić, dał się złudzić jej pozor-nemu spokojowi. Zapytał wprawdzie, czy nie była zmęczoną, czy nie potrzebuje wrócić do domu, ale gdy powtórzyła, że jej zupełnie dobrze, uwierzył temu z ła-twością.

— Mówmy o pańskiej miłości — szeptała upornie — powiedz mi pan wszystko, jak siostrze.

Konrad miał naturę otwartą, całą na zewnątrz, słowa

paliły mu usta. Uwaga jego znów zwróciła się od niej do własnych dziejów. Potrzebował mówić o sobie i zaczął:

— Jestem nieszczęśliwy, panno Felicyo!

On mówił do niej o nieszczęściu! Cóż on o niem wiedział, on piękny! on młody! pan własnego położenia! on co miał przy sobie oddane, wierne kochające serce i deptał je tak bez miłosierdzia!

Po chwili jednak wymawiała sobie to egoistyczne uczucie i całą siłą niewieściego poświęcenia, do jakiego była zdolną, zapragnęła, by posiadał wszystko, czego żądał, o czem mógł zamarzyć tylko.

— Panie Konradzie — zawołała gwałtownie — pan niepowinieneś być nieszczęśliwym.

Współczucie jej było mu przyjemne, podnosiło go we własnym przekonaniu. Może właśnie dlatego zwierzał jej się i żądał rady, bo przeczuwał, że rada wypadnie po jego myśli, będzie tylko echem uczuć jego serca.

— A jednak — wyrzekł — są miłości skazane na nieszczęście... bez słońca, bez nadziei.

Postanowiła zapomnieć o sobie, ale to było niepodobnem. I znowu przez chwilę myśl jej zamącona nie była w stanie pojąć co mówił? o kim? Słowa te stosowały się do niej. To jej miłość była bez słońca i bez nadziei. Czyżby on wiedział wszystko? W takim razie na cóż była ta cała rozmowa?

On szybko wyprowadził ją z błędu i z naiwnym egoizmem zakochanych, ciągnął dalej:

— Pomyśl tylko panno Felicyo, kobieta innej rasy, innego wychowania, innego świata, innej religii.

— I cóż to znaczy — zawołała z namiętnym odcie-

niem w głosie — cóż to znaczy, kiedy się kocha! Twoja wiara będzie jej wiarą, twoje myśli jej myślami...

Mówiła to jakby sama do siebie, aż uderzona poufałym zwrotem słów swoich, dodała szybko:

— Twoje poglądy jej poglądami, panie Konradzie?

— Tak pani sądzi? — pochwycił.

Zwróciła na niego oczy pełne wilgotnych iskier.

— Tak się kocha! — wyrzekła z prostotą.

— Ja nie wiem nawet, czy ona mnie kocha — zawołał.

Chciała wykrzyknąć, jakżeby kochać nie miała. Przecież rozważa w sam czas powstrzymała tę odpowiedź.

— Ha! — wyrzekła zwolna — trzeba się starać. Czyż to tak trudno!

Przez czas jakiś milczał zamyślony. Potem zaczął znowu:

— Nie rozumiałaś mnie pani. Ja walczę z tą miłością... niepodobną, ja chciałbym mózdz nie myśleć o niej więcej...

— Alboż to można! — zawołała z głębi serca.

Nie zważał na tę przerwę.

— Ja — szepnął — nie powiedziałem nigdy słowa, któreby ją naprowadzić mogło na myśl tego co czuję. To szaleństwo! a jednak lękam się, by oczy moje i usta nie przemówiły pomimo mej woli, bym nie stracił panowania nad sobą...

Dlaczego on jej mówił to wszystko. Cóż za radę dać mu mogła? Przyszła jej na myśl rzecz najprostsza, odalenie.

— Więc czemuż — spytała — pan ją widzisz?

— Czemu! — powtórzył — jestem przecież leka-

rzem, czas mój należy do wszystkich, ona ma dziecko chore, które kocha... a ja... byłem mu pomocny... leczę je...

W myśli Felicyi stała się jasność nagle; przypomniała sobie tę kobietę, którą widziała raz przelotnie, czekającą wraz z nią w saloniku Konrada, na którą padł naprzód wzrok jego i oderwać się nie mógł. Przypomniała sobie, jak niechętnie szedł z nią wówczas do Adolfa, zamyślony, ociągając się i oglądając. W pamięci jej stanęły wschodnie oczy pełne cienia, głębokie jak przepaść, czarne jak noc, ponętne jak rozkosz, ku którym zwracał się ciągniony nieprzepartym magnesem. A Konrad zatopiony sam w sobie, mówił dalej:

— Sądz pani co chcesz, ja nie mam siły oderwać się od niej. Sto razy uciekam i sto razy powracam! Ta kobieta rzuciła czar na mnie, ta kobieta mnie opętała. Chwilami nienawidzę jej za to...

Usta Felicyi poruszały się bez dźwięku, może chciała zapytać dlaczego nienawidzi i co warta była podobna miłość.

— Gdyby przynajmniej — ciągnął dalej — ona wiedziała o tem co robił Gdybym dostrzegł w niej jakąkolwiek zalotność, wyrachowanie, chociażby najlżejszą chęć zwrócenia moich oczów... Ale nie, zawsze jednaka, chłodna, poważna, uśmiecha się tylko do swojej chorej córki, a jedyne uczucie jakie widzę w niej dla siebie, to wdzięczność, wdzięczność jeśli dziecko jest zdrowsze, nic... nic... nic więcej.

Słowa te wymówił prawie z wściekłością, odkrywając głębię swoich uczuć i dumę zranioną bezwzajemnością, co podlegała miłość i wraz z nią sprzysięgała się na niego.

— Przecież ona nie wie, że pan ją kocha! — zawołała.

— Powinna wiedzieć! — wybuchnął z samolubstwem, właściwem pewnym naturom i pewnym położeniom. — To jest — pochwycił, zrozumiałwszy sam niestosowność swego wykrzyknika — mogłaby się domyśleć gdyby zwracała na mnie uwagę.

Felicya słuchała go zdumiona. Namiętność, przeciw której walczył wolą i rozumem, była niepojętą dla jej dziewiczej wyobraźni, nie odłączającej miłości od ideału. Próbowała wytłumaczyć ją samej sobie i dla tego spytała skwapliwie:

— Ta kobieta musi mieć jednak wielkie przymioty, szlachetne serce, wysokie uczucia, inteligencyę... inaczej...

— Alboż ja wiem! — wybuchnął. — Nie myśl pani bym był w stanie patrzeć na nią trzeźwo i sądzić. Czasem zdaje mi się, że wśród otoczenia swego wygląda wspaniale, jak lilia nieskalanej białości, czasem mam ochotę śmiać się z szaleństwa mego. Bo przedewszystkiem ta miłość, to szaleństwo, nieprawdaż?

Słuchała go uważnie, zapominając o sobie. Brała na seryo rolę doradczyni, niepojmując, że on tylko potrzebował mówić o sobie, że rada była tutaj niemożliwą.

— Tak, to szaleństwo! szaleństwo! szaleństwo! — powtarzał, podnosząc rękę do czoła, jakby odganiał je od siebie.

— A gdyby — zawołała tknięta jego cierpieniem — a gdybyś jej pan to powiedział... .

— Co? — zapytał sucho. — Czyż nie widzisz pani, że pomiędzy nami jest przepaść?

— Przecież pan mówiłeś — szepnęła — że ona mogłaby ci dać szczęście. Czy nie pomyślałeś pan o tem?

Mówiła to nieśmiało, nie zważając, że krwawiła własne serce; szczęście jego było jej stokroć droższe niż własne. A potem cóżby zyskała, gdyby on nawet wyleczył się z tej miłości? Czy byłaby dla niego wówczas czem innym niż była dzisiaj?

Nie odpowiedział nic, zdawał się namyślać. Był przynajmniej szczerym wobec niej i samego siebie. Położenie było rzeczywiście bez wyjścia. Na kochankę jego Chaja była zbyt nieprzystępna, żony z niej uczynić nie chciał, a przynajmniej była to ostateczność, przed którą się cofał, przeciw której protestowały wszystkie rozumowe władze jego.

Wieleż razy miał już słowo miłosne na ustach i cofnął się tylko dla tego, że nie doznał nigdy zachęty żadnej, że nigdy jej oczy nie odpowiadały namiętym spojrzeniom jego, nigdy nie straciły na chwilę spokoju, powagi. A jeśli widział w nich łzy i uśmiechy, te były dla Resi, tylko dla Resi.

Gdyby Felicya była zręczną kobietą, gdyby umiała obrachować położenie, gdyby znała ludzi, byłaby może zdołała z tej zawilej sprawy wysnuć dla siebie pasmo nadziei. Powiernica ma w ręku serce, które się przed nią otwiera, widzi rany i fibry drgające, wie jak na nie działać należy. Jest to tajemnica wielu bardzo stosunków niepojętych, małżeństw niezrozumiałych, które zdumiewają świat, nie wiedzący za pomocą jakich wpływów dokonane zostały.

Felicya nie była ani zręczną, ani przebiegłą, nie miała pojęcia, jakby na swoją korzyść naciągnąć położenie i sko-

rzystać z cudzego nieszczęścia. Nie była zdolną wślizgać się podstępnie do serc, które należało do innej, radzić, pomagać i stać się w końcu niezbędną. Ona zrobiła bez wstecznej myśli ofiarę z własnych uczuć pragnęła już tylko jego szczęścia i gdyby to było w jej mocy pracowałyby nad niem ze wspaniałomyślnem zaparciem siebie.

A teraz z niedowierzaniem zapytywała samej siebie, czy podobna, aby istniała kobieta tak szczęśliwa, która posiadała miłość jego i tego szczęścia nie umiała ocenić.

Kiedy tego dnia Felicja powróciła do domu, pani Słońska nawet dostrzegła w niej niezmierną zmianę. Konrad odprowadził ją aż do samych drzwi, nie mogła zatrzymać się gdziekolwiek, opamiętać, ochłonać, ułożyć twarz, zebrać myśli.

Zosia, która otwierała jej drzwi, zawołała przestraszona:

— Jezus Marya! co się panience stało!

Nie zważała na ten wykrzyknik, szła dalej. Szaty, które miała na sobie, ciążyły jej jak ołów, dusiły ją wstążki od kapelusza, woalka tamowała oddech. Machinalnie, wchodząc do pokoju, odwiązywała ją i odpinała okrywkę, jakby uwolniona od jego obecności i przymusu, jaki zadawać sobie musiała; chciała szerzej zaczerpnąć powietrza.

W salonie siedziała pani Słońska z Adolfem, który już podnosił się z posłania; siedzieli we dwoje przed nakrytym stołem i rozmawiali poufale. Być może, iż radość Felicji udzieliła się rodzinie. Adolf miał na ustach uśmiech rekonwalescenta, a rozmowa matki i syna zdawała się być swobodną.

Ale na widok Felicji pani Słońska powtórzyła wykrzyknik Zosi:

— Na miłość boską, co tobie się stało, jesteś chora!..

Siły Felicyi były wyczerpane, nie mogła odpowiedzieć.

A pani Słońska powtarzała żałośnie:

— Otóż nowe nieszczęście, tego tylko brakowało, cóż my teraz poczniemy!...

Słowa ostatnie uderzyły Felicyę: cóż my poczniemy teraz? Wszak wątpliwość ta dręczyła ją nieustannie. Probowwała stawić czoło położeniu, chciała coś wyrzec, uspokoić matkę. Nagle wzrok jej objął te wszystkie przedmioty, które żegnała przed dwoma godzinami z takim zapasem szczęścia, nadziei i to już zwyciężyło ją ostatecznie. Z głośnym okrzykiem padła na wpół omdlała na krzesło, zaciskając konwulsyjnie zaplecione dłonie.

Był to fakt niesłychany, fakt nie zdarzający się nigdy. Felicya miała odwagę, siłę i zdrowie za wszystkich w domu. Jeśli cierpiała — umiała cierpieć bez skargi; jeśli była chora — starała się zmódc chorobę, jeśli dręczył ją niepokój jaki, zamykała go w sobie i szukała rady bez nękania tych, którzy ją otaczali.

Adolf zerwał się i pobiegł do niej, podczas, gdy pani Słońska, straciwszy zupełnie przytomność, szła po wodę do kuchni, nie widząc karafki stojącej na nakrytym do obiadu stole.

— Felo! — zawołał brat, korzystając z krótkiej chwili, w której byli sami. — Co ci jest? Czyby Konrad?...

Pochwyciła go gwałtownie za obiedwie ręce, jak gdyby słowa te zwiększały jej mękę.

— Przez miłosierdzie — szepnęła — nie mów o nim!

A widząc, że Adolf spoglądał na nią mętnemi oczyma, dodała namiętnie:

— On nie winien nic! On biedny! on nieszczęśliwy!
To my, Adolfie, byliśmy szaleni oboje...

Nie mogła nic wymówić więcej, oczy jej nie miały łez, ale pierś podnosiła się spazmatycznym łkaniem.

Matka i brat patrząc na to, osłupieli.

— Trzeba wezwać doktora — zawołała wreszcie pani Słońska. — Adolfie napisz, poszlemy Zosię.

Oczy Felicyi pełne przerażenia spoczęły na bracie, jakby wzywała jego opieki.

— Poczekajmy jeszcze — szepnął — może to przejdzie. O tej godzinie niema go w domu.

Miał słuszność. Pani Słońska łamała rękę, ale nie umiała dać córce pomocy żadnej. Adolf był równie, jak ona, nieudolny. Szczęściem Zosia okazała się praktyczniejszą od nich. Nalała szklankę wody, zwilżała mokrym ręcznikiem twarz i skronie Felicyi i szklankę podawała jej do ust.

Zrazu tylko zęby Felicyi uderzały o szkło, powoli jednak zdołała przełknąć parę kropel i to przyniosło jej trochę ulgi. Odetchnęła swobodniej. Spojrzała wkoło przytomniejszym wzrokiem.

Potem pochwyciła drżącemi rękoma szklankę, podniosła ją do ust i piła spragniona, jakby ugasić chciała ogień płonący w jej piersi.

— Czy ci lepiej? — pytała matka.

Adolf spoglądał na nią posępnie, ze smutkiem, do którego mieszało się trochę egoizmu; zdawało mu się, że ostatni promień nadziei zagasł na ich horyzoncie.

Chociaż atak nerwowy Felicyi przeminął, nie była w stanie utrzymać się na nogach i wsparta na Zosi przeszła do sypialnego pokoju; Zosia rozebrała ją i okryła starannie. Leżała teraz wstrząsana co chwilę dreszczem,

blada jak poduszki, na których spoczywała, z szerokorozwartemi oczami, w których malowało się przerażenie. Bez łez, głosu, ni skargi.

Adolf zbliżył się do niej. Skinęła ręką, prosząc, by zostawił ją samą. Widok każdej ludzkiej twarzy był jej nieznośny.

Zosia tymczasem postawiła wazę na stole, ale ani syn, ani matka jeść nie mieli ochoty. Adolf, pochwycony nagłem wzruszeniem, kaszlał znowu więcej, niż zwykle, pani Słońska pogrążona była w ponurem milczeniu; umiała ona dręczyć się, narzekać, spazmować wobec urojonych nieszczęść, ale wobec prawdziwych zachowywała się spokojnie.

Na domiar złego choroba Felicyi była nieprzewidzianym ciosem, sprowadziła zamieszanie straszne w ubogiem gospodarstwie, którego ona była duszą.

Po obiedzie Zosia przyszła po pieniądze na wieczorne bułki, na mleko, na emską wodę dla Adolfa, a pani Słońska nie miała ani grosza. Nie miała nawet za co kupić sobie tytoniu na papierosy, które dla oszczędności sama robiła.

— Trzeba zaczekać, aż się panna Felicya obudzi — wyrzekła wreszcie pani Słońska, widząc, że Zosia nie odchodzi.

Wyrzekła to zdławionym głosem, czuła się zawstydzoną ubóstwem swoim, bo zwykle, gdy Felicyi nie było w domu, zastępowała ją w drobnych wydatkach.

Adolf stał w oknie i bębnił w szyby nie mniej od niej upokorzony. Niby nie zważał na służącą i na jej żądanie zwrócone do matki, przecież kiedy wyszła z pokoju,

odetchnął głęboko. Zobaczył wówczas, że matka płakała.

Nie posiadała ona hartu Felicji, nie umiała znosić przeciwności i trudnych momentów życia. Łzy te były dla syna nieznośne, zdawały mu się wyrzutem.

Podparł głowę na łokciu i pozostał długi czas milczącym.

Pani Słońska płakała ciągle. Słyszał jej krótki oddech, zakończony stłumionymi łkaniami, a w stanie osłabienia, w jakim znajdował się jeszcze, łzy jej drażniły go w niewypowiedziany sposób.

— Niechże mama się uspokoi — odezwał się wreszcie drżącym głosem — jutro już wyjść muszę, pójdę do rejenta, piszę u niego od dwóch lat, zawierzy mi przecież, przyniosę pieniędzy...

Słowa te jednak zamiast uspokoić, wywołały głębsze jeszcze łkania.

— I czegoż mama tak płacze? — zawołał. — Czy chodzi mamie tak o dzisiejszy wieczór? Mnie się jeść nie chce, dla mamy jest jeszcze ranna bułeczka, dla Zosi obiad, którego nie dotknąłem. Powtarzam, że jutro będą pieniądze... A gdyby ich nie było... No, to przysięgam, nie będę patrzył na łzy mamy, nie będę wam chleba od ust odejmował... Wiem, co zrobię... Wisła głęboka, albo to jeden biedak, jak ja, znalazł w niej spokój...

Powstał gwałtownie, mówiąc te urywane słowa, jakby gotów je był wykonać.

Nie był to właściwy sposób uspokojenia matki. To też zawołała łkając:

— Adolfie! Czy ty masz sumienie mówić mi podobne rzeczy!

— To niech mama nie płacze! bo ja tego znieść nie jestem w stanie.

A gdy to mówił, łzy także płynęły mu z oczów, bo w ostatnich czasach osłabiony i rozdrażniony, stał się podobnym do dziecka.

To znowu było dla niej za wiele, zbliżyła się do syna, zarzuciła mu ramiona na szyję i szeptała:

— Alboż ja płaczę nad sobą? o kogoż mi chodzi jeśli nie o was, o ciebie, o Felcję!...

Milczał, bo i cóż miał odpowiedzieć. Czy chodziło jej o nich, czy o siebie samą, los to był jednak bolesny. Podobni byli do ludzi zawieszonych nad przepaścią, a wszystko to, czego się chwyтали, ażeby zatrzymać się w upadku, rwało się im w ręku nakształt nici zbutwiałych.

Czuł jak łzy matki padały mu na czoło gorące, ciężkie, obfite i otrzeć ich nie był w stanie, tylko pochylał pod niemi głowę, ostatecznie zwyciężony, jakby objawiały mu one fakt nowy lub nowe nieszczęście.

— Moja mamó! — szeptał tylko, nie mogąc zdobyć się na żadne słowo więcej — moja mamó...

Powtarzał to bezmyślnie z dziecinnym wyrazem pieśzcoty i skargi.

Adolf był dobrym synem, myśląc o przyszłości nigdy nie zapomniał o matce.

Nie zastanawiał się nad jej naiwnem ograniczeniem, nad dziecinną próżnością i dziecinnem usposobieniem, jak to czyniła Felicja i nie miał jej tego za złe. Być może, iż w jego przekonaniu, jako kobieta, nie była obowiązana do ścisłego myślenia, rozsądku lub hartu. Ona pieściła go za-

wsze więcej od córki, otaczała rodzajem czci, powtarzała, iż był głową rodziny i nadzieją jej całą. On też poczuwał się względem niej do obowiązków, ale nie wymawiał sobie bezsilności własnej, robił co mógł, pod tym względem miał czyste sumienie. Jeśli cierpieli wszyscy, winni temu byli źli ludzie, okoliczności, los. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że człowiek los swój dzwiga i wyrabia sam w sobie. Tylko teraz, pod tym gorącym deszczem łez matczynych, tajało mu serce, czuł, że ogarniało go przerażenie i smutek nieskończony, że ręce opadały mu beznadziejnie.

A ona powtarzała, przygarniając go coraz mocniej do siebie:

— Moje dziecko, moje biedne dziecko.

— Jesteśmy bardzo nieszczęśliwi — wyrzekł znowu Adolf, opuszczając zmęczoną głowę na piersi.

Matka chciała go pocieszać, ale słowa pociechy kołysły jej na ustach.

— Jesteśmy nieszczęśliwi! — powtórzyła głucho.

I znowu w pokoju była cisza i tylko wiatr przechadzał się po nim, przejmując zimnym dreszczem matkę i syna.

Długi czas tak zostawali we wzajemnym uścisku. Nie zwierzali się jednak sobie z niczem, nie prowadzili rozmowy, nie naradzali nad przyszłością, byli na to oboje zanadto bezsilni. Los mógł miotać niemi według woli, brakło im zupełnie siły oporu.

Kilka razy napadał Adolfa gwałtowny kaszel, ale ani matka, ani on sam nie zważali na to. Miał gorączkę, cóż ztąd? Myśl obojga zajęta czem innym, nie zatrzymywała się nad symptomatami choroby; ona nie pojmowała jak

one groźnemi były, a on był w tej chwili tak zmordowany walką życia, walką nad siły, iż może powitałby śmierć jako wybawicielkę, gdyby od razu uwolniła go od jego ciężaru.

— Zimno mi! — wyrzekł wreszcie bezmyślnie prawie, drżąc coraz mocniej.

— Prawda! tutaj zimno — powtórzyła pani Słońska, uderzając się w czoło, jak gdyby coś sobie przypomniała.

Rzeczywiście w pokoju panowała bardzo niska temperatura, dnia tego słońce świeciło jasno i nie napalono w piecu o zwykłej godzinie.

— Trzeba napalić... — wyrzekła po chwili pani Słońska, widząc, że Adolf drży, jakby w febrze.

Pobiegła do kuchni. Rzecz jednak okazała się trudną do skutecznienia.

Ostatek węgla wypalono do obiadu. Zosia w najgorszym humorze oświadczyła to szorstko swojej pani. Ta zaś w ponurem milczeniu powróciła do saloniku.

Namyślała się co począć. Czy pójść obudzić Felicyę, czy też znieść i tę niewygodę, jak znosiła tyle innych.

Po chwili jednak zdecydowała się pójść do niej. Kiedy brała za klamkę, Adolf zapytał:

— POCO mama tam idzie?...

Nie odpowiedziała nic i jego opozycja na tem się skończyła. Zapadł w apatyczną obojętność, było mu wszystko jedno, co robiono w koło niego.

Felicya nie spała, słyszała zbliżającą się matkę, a gdy nachylając się nad nią, położyła jej rękę na ramieniu,

otworzyła powieki i zapytała zdławionym głosem: czego by chciała?

— To nic — odparła pani Słońska — Zosia przyszła po pieniądze na bułki, nie ma już wody emskiej i węgla zabrakło, dzisiaj nie napalono w piecu... Adolfowi zimno.

Felicya słysząc pierwsze słowa, machinalnie sięgnęła do kieszeni i wydobyla portmonetkę. W miarę jednak jak matka wymieniała potrzeby, przypominała sobie, iż zawartość w niej nie mogła im zadosyć uczynić. A słowa: „Adolfowi zimno“, przeraziły ją tak bardzo, iż wyrwały ją z koła własnych cierpień.

Usiadła na posłaniu i potarła ręką czoło, jak ten, który budzi się ze snu i stara się zebrać rozpierzchłe myśli.

— Adolfowi zimno — powtórzyła, zaciskając rozpalone dłonie — Adolfowi zimno...

— Tak! a węgla już niema — tłumaczyła matka, jak gdyby córka nie zrozumiała tego — trzebaby kazać przynieść choć trochę.

Niestety! na tę troskę ona nie miała środków. Nędza odganiana jedynie jej skrzętnością i zabiegami, ukazała wreszcie swe groźne oblicze. Portmonetka zawierała zaledwie kilka dziesiątek.

Felicya powiodła wkoło wzrokiem rozpaczy, jakby szukając ratunku.

Przez czas, kiedy ona zatapiała się w samolubnym smutku, brat nie miał lekarstwa, bratu było zimno.

W każdym innym dniu byłaby obrachowała potrzeby konieczne, sprzedała lub zastawiła sprzęt jaki, jak

już nieraz w podobnych razach robiła. Ale dzisiaj zapomniała o wszystkim. Przez dzień jeden myślała tylko o sobie samej i ten dzień mógł mieć fatalne następstwa... a teraz było już za późno, by to opuszczenie naprawić. Noc zapadła, gdzież miała szukać handlarzy, a w razie gdyby ich znalazła, wiedziała dobrze, jak wyzyskaliby jej położenie.

Pomimo to chciała powstać i zaczęła się ubierać drżącymi rękoma.

Pani Słońska patrzyła na nią niespokojnie.

— Cóż ty chcesz robić? — spytała ją wreszcie. — Czy nie masz już na węgle?

Felicya roześmiała się sucho. Była w usposobieniu, które nie pozwalało jej nikogo oszczędzać. Może byłaby się zawahała wobec chorego brata, ale naiwna nieświadomość matki doprowadzała ją do ostateczności.

— Nie mam nic — odparła szorstko — a emeryturę zaledwie za dziesięć dni odbiorę.

— Jezus, Marya! — krzyknęła pani Słońska, załamując ręce. — Cóż my zrobimy?

Pomimo zmęczenia i bólu, jaki czuła we wszystkich członkach, podniosła się wysileniem woli i wyszła do saloniku. Przypomniała sobie, że należała duszą i ciałem do nędzy, która nie popuszczała nigdy ofiar swoich.

Apolf okręcony jej szalem, kaszlał i drżał całym ciałem, a pomimo to na jednej stronie twarzy wystąpił mu gorący rumieniec, odbijając rażąco od jej martwego koloru.

Zrozumiała, że miał gorączkę, że potrzebował ulgi i obliczyła szybko, iż najkonieczniejszym wydatkiem w tej chwili była woda emska. Nie starczyło jej na całą bu-

telkę; z wielką biedą wyszukała po rozmaitych skrytkach portmonetki potrzebną kwotę. Na mleko nie było, ale go Zosia przynosiła czasem na kredyt.

Potem kazała się położyć bratu i okryła go swoją kołdrą i futrem...

W miarę, jak zajmowała się nim, powracały jej siły, doraźna troska, kazała zapominać o wszystkim, tylko chwilami, kiedy ręce jej były bezczynne, odzywał się w głębi jej istności ból straszny; ona wiedziała, że on tam tkwi, że tkwić będzie wiecznie, że wiecznie krwawiącą odebrała ranę i że dotykać ją będzie wszystko, co ją otacza, co usłyszy, co pomyśli.

Na wpół martwa, z twarzą bladą jak kreda, siedziała nad bratem, nie zważając w tej chwili na żalosne westchnienia matki, która pozbawiona ostatniej swej pociechy, papierosów, zziębnięta i przestraszona leżała na kanapie.

Felicja nie czuła ani zimna, ani głodu, ani potrzeby snu. Pulsa jej tętniały, szumiało w uszach. Chwilami zdawało się jej, że spadła w jakąś otchłań, że fale wzburzone pochłonęły ją i przewalają się nad jej głową. Chwilami znów sądziła, że świat cały wre i kręci się koło niej, a ona jedna drgnąć nie może, skrępowana żelaznymi więzami. Majaczenia te przerwało wejście Zosi z wodą emską i mlekiem. Wówczas porwała się z miejsca i wiedziała co ma uczynić.

Potem wieczór płynął cicho, straszno. Zosia zrobiła herbatę, przyniosła jej i prosiła, by się nią rozgrzała.

Poniosła do ust filiżankę, lecz przełknąć nic nie była w stanie, coś ją dusiło, coś ścisnęło w gardle.

Potem pani Słońska przyszła namówić ją, by się po-

łożyła. Wstrząsnęła tylko głową. Spokój, cisza i ciemność nocy przerażały ją, wołała tutaj pozostać. Dopiero gdy brat i matka zasnęli, powstała ostrożnie ze swego miejsca i powlokła się do okna. Oparła rozpalone czoło o szyby i przez chwilę chłodziła je tym sposobem. To przynosiło jej fizyczną ulgę.

Gwary miejskie, dochodzące tutaj stłumione, milkły zwolna, w miarę posuwającej się nocy. Czasami tylko jakiś turkot daleki świadczył, że ludzie bawili się, korzystając z karnawałowego czasu.

Zegar miejski powolnie wydzwonił dwunastą. Felicya machinalnie rachowała uderzenia. Nagle przypomniała sobie, że rachowała je tak samo poprzedniej nocy, kiedy sen od jej powiek oddalało szczęście. I wówczas suche źrenice nabiegły łzami, a łzy te płynęły obficie, jak dwa strumienie po twarzy.

W stanie odrętwienia i martwoty, w jakim się znajdowała, ten kryzys płaczu przyniósł jej ulgę. Spojrzała spokojniej, trzeźwiej na swoje położenie. Cios, który ją dotknął, był niepowrotny, ale dotknął tylko ją samą, jej marzenia szalone. Wszakże w położeniu jej nie zmieniło się nic, nic wcale. Była tak samo biedną jak wczoraj, biedną dziewczyną, przygniecioną materyalnemi troskami bytu i bezsilnością własną.

Widać jednak marzenia, którym wczoraj popuściła dopiero wodze, były żywotniejsze, niż sądziła, widać, iż bez jej wiedzy owładnęły jej serce i wpiły się we wszystkie fibry istnienia, kiedy zniweczenie ich wprowadziło ją w taką rozpacz.

Marzenia rozwiłało jedno słowo Konrada, ale niestety, pozostawało uczucie, któremu beznadziejność nie odbierała

siły. Czuła dobrze, iż choćby nigdy nawet nie miała zobaczyć więcej twarzy ukochanego, nie zdoła wymazać jej z pamięci, że będzie ją widzieć zawsze i wszędzie przed oczyma duszy taką, jaką była, gdy on mówił o swoich troskach, niepokojach, ukochaniu.

I z kolei zastanawiała się nad jego miłością. Zrazu, kiedy jej mówił o niej, rozumiała to jedno, że on kochał już, kochał inną, że gmach jej nadziei nie miał podstawy żadnej, a strach żeby tych nadziei przed nim nie zdradzić, był jej troską jedyną. Teraz dopiero pojmowała słowa, które tylko jako puste dźwięki uderzały wówczas jej zmysły, ale które dziwnym fenomenem wyrwały się w pamięci niestarte; pojmowała, że mówił o kobiecie innej wiary, innego umysłowego poziomu. I zapytywała z przerażeniem samej siebie, jak on mógł tak nisko umieścić serce swoje.

Nie znała Chai, nie miała pojęcia o życiu tych istot, widywanych tylko za kontuarem małych sklepików, lub jako handlarzy ulicznych, a którzy nosili jednakie miano żydów. W towarzystwach, w jakich bywała za życia ojca jeszcze, nie spotykała ich wcale, a jeśli spotykała nawet, nie wiedziała o tem. Miała więc dla wyznawców mozaizmu przesąd dawny, nie zmodyfikowany żadnym wyjątkiem. A zresztą jedno spojrzenie, rzucone na piękna Chaję, starczyło do przekonania jej, że Chaja do wyjątków nie należała, że nie miała nic wspólnego z owemi królowemi mody, z finansowego świata, których nazwiska czasem dochodziły aż do niej, że była to prosta kobieta.

Felicya czuła, iż ją nienawidzi. Daremnie przypominała sobie, że Konrad nie był ani pewnym jej wzajemności, ani nawet tego, czy zauważyła jego miłość, że mówił

tylko o sobie, o czarze, jakim się czuł ogarniony. I cóż ztąd? Wina jej była tem większą. Przynajmniej tak sądziła Felicya.

Gdyby on był jej powiedział, że kocha jakąkolwiek pannę bogatą, czy ubogą, piękną, czy brzydką, należącą do jego świata, byłaby wieść tę przyjęła z bólem wielkim, ale bez goryczy. Dziś do bólu łączyło się zdziwienie, trwoga, że w poprzek jej życia stawały pierwiastki niepojęte, których nie domyślała się istnienia. A nadewszystko stawało w jej myśli pytanie, uparte bez odpowiedzi: Jak on mógł ją kochać.

To było szaleństwo, to było nieszczęście! Sam to mówił, a przeciwko temu było obowiązkiem bronić go, bronić jakim bądź kosztem.

Felicya przypomniała sobie, iż na zapytania jego dawała dziwne odpowiedzi. Wszakże mówiła o prawach namiętności, które wszystko łamać powinny, rozgrzeszała z góry za szaleństwa do jakichby one przywieść mogły. Zresztą, jeśli słowa Konrada pamiętała doskonale, własne stokroć mniej wyraźne były dla niej. Wiedziała jednak, że nie mówiła tego, co mówić należało i dręczyło ją to, jak wyrzut sumienia. Potem znów przyszło na nią poczucie własnej nieudolności, poczucie ciężkie, przygnębiające. I powstało w jej myśli hamletowskie pytanie: Dlaczego takie nędzne, biedne, nie kochane przez nikogo istoty, mają snuć się po ziemi i cierpieć, cierpieć tak strasznie, nikomu nie dając szczęścia?

Pytanie to rzucała daremnie szafirom niebieskim, których pas wązki, dostępny jej oczom, rozciągał się nad murem sąsiedniego domu; odpowiadały jej tylko chłodne promienie księżyca, które wpadały w szyby okien i kłó-

ciły się czystą jasnością z przyćmionem światłem lampy. Przypominała sobie chwilami okropne położenie, w jakim się znajdowali wszyscy. Ale to mijało szybko i znów powracała do tego, co ją raniło najboleśniej.

Dopiero, kiedy noc minęła, Felicja powróciła do poczucia rzeczywistych warunków życia. Choćby konała z bólu, musiała myśleć o problemacie, ciężącym na niej: dnia tego dać matce i bratu pożywienie i opał.

Nie miała już żadnego kosztowniejszego sprzętu do spieniężenia, trzeba było pomyśleć o mniej kosztownych, o tych, które przedstawiały małą bardzo wartość. Matka miała parę sukien wełnianych. Ale cóż za nie dostać mogła? Parę rubli najwyżej! Nie mogła się jednak długo namyślać. W pokoju panowało dojmujące zimno; była sama skostniała...

Lepsze i mniej używane rzeczy znajdowały się w komodzie, stojącej pomiędzy oknami. Otworzyła ją po cichu, wyjęła ową fiodkową suknię matki, stary szal francuzki, zrobiła zawiniątko i wyszła z domu po cichu.

Nie miała czasu czekać, aż się Zosia przebudzi, trzeba było się śpieszyć, tembardziej, iż nie wiedziała, gdzie szukać kupca lub zastawnika na podobne rzeczy. Z pierścionkiem, kolczykami, szła wprost do jubilera. Teraz schodziła znowu niżej o jeden szczebel ńędzy i musiała przyuczać się do tego szczebla, szukać zaułków, gdzie kupowano podobne rzeczy, bo na handlarzy ulicznych czekać nie mogła.

Ulice były bardzo puste, otwierano dopiero uboższe sklepy. Felicja poszła wprost do jednego z nich, gdzie zwykle zaopatrywała się w nici, igły i t. p. najprzód, że-

uprzejma kupcowa zawsze ją witała grzecznie i że miała przyjemniejszy wyraz twarzy, niż wiele innych, — powtóre, iż zauważyła nieraz, jak przychodziły tam kobiety z rzeczami, a kupcowa oglądała je i targowała; pytała ją kiedyś czy kupuje podobne przedmioty, a ona odrzekła z uśmiechem:

— Dlaczegooby nie; byle zarobić...

Do niej tedy prosto szła Felicja.

Na progu sklepu zawahała się, kupcowa nie była samą, jak zwykle; znajdowała się z nią za kontuarem jeszcze jedna osoba.

Okoliczność ta nie powinna ją była mieszać, bo cóż dla niej znaczyło, czy jedna, czy dwie osoby targować będą towar jaki przynosi i rozumieją, że nędza zmusza ją do tej sprzedaży. Tak powiedziała sobie zapewne, bo po chwili namysłu zbliżyła się do kupcowej i nie zważając na drugą kobietę, która siedziała, rachując coś z pochyloną głową, położyła zawiniątko swoje.

— Co pani rozkaże? — pytała właścicielka sklepu — może igieł, nici, bawełny, może włóczki?

I wyliczyła wszystkie towary, jakie posiadała.

Ale Felicja przerwała jej skinieniem ręki, na twarz jej znękaną wystąpiły płomienne kolory, rozwinęła zawiniątko i wyrzekła nieśmiało, prawie szeptem:

— Ja... ja chciałabym to sprzedać.

W uprzejmości kupcowej zaszła szybka i charakterystyczna zmiana, jaką spostrzedz można w każdym sklepie, skoro kupujący przedzierzgnie się w sprzedającego.

— Co to warte? — zawołała, biorąc w rękę szal, będący na wierzchu — to starzyzna.

— Ha! skoro nie — wyrzekła stłumionym głosem Felicya...

Gotową była wziąć napowrót swoje zawiniątko. Kupcowa jednak zatrzymała jej rękę.

— Co nie mam chcieć? — można się przecie zgodzić.

Felicya stała oparta o kontuar, nieruchoma, bez tchu prawie, w czasie gdy kupcowa rozkładała szal i suknię, czyniąc nad niemi wcale niepoehlebne uwagi. Tymczasem druga kobieta, która może miała udział w handlu, podniosła się i wynurzyła z półcienia. Felicya wstrząsnęła się cała; była to ta sama, którą spotkała u Konrada.

Kupcowa widocznie zasięgała jej rady, a ona z biegiłością znawczyni oglądała przyniesione przedmioty.

Felicya spoglądała na nią i nie wierzyła oczom swoim.

Więc to była ta, którą kochał Konrad?... Myśli jej mąciły się w głowie. Zapewne myliła ją pamięć; były to rzeczy przechodzące jej siły, wołała wierzyć we wszystko, niżeli przypuścić, by ta prosta handlarka mogła być przedmiotem miłości człowieka, którego wzniosła na piedestał swego ideału.

Nie była w stanie odczuć czaru, jaki rzucała ta piękność wschodnia, działająca na zmysły, ani magnetyzmu tych wielkich, spokojnych oczów, pod których aksamitem zdawały się tlić skry czerwone, ani wdzięku ruchów tej istoty, która naprawdę zapomniała, że była piękną a łączyła żywość właściwą swej rasie z jakąś powściągliwością i powagą, nadaną smutkiem, ciężącym na jej życiu. A prztem nie wiedziała, że Konrad widywał ją właśnie w naj-

piękniejszych chwilach, niby księżyc oświecony promieniem słońca, a mógł nie mieć pojęcia o tej drugiej stronie jej życia. Zresztą on sam uczucie to nazywał szaleństwem, walczył z niem, jak z pokusą.

Dwie żydówki mówiły coś z sobą; ona tego nie słyszała, zgubiona w myślach, nie mogąc zdjąć oczów z twarzy Chai. Poznawała jej rysy, jej głos, pragnęła jeszcze usłyszeć nazwisko, ażeby rozproszyć resztę wątpliwości. Nazwisko to pamiętała dobrze, pamiętała nawet najlżejsze odcienia głosu, jakim Konrad wyrzekł: „Pani Morgenblat“.

I znowu ponad groźnem położeniem rodziny, ponad miłością dla brata, zagórowało osobiste uczucie; stała wpatrzona w Chaję, ogarniona jednym pragnieniem usłyszenia jej nazwiska.

— Pani Morgenblat? — zapytała nagle, modulując bezwiednie głos, jak to czynił Konrad.

Jeśli mogła mieć wątpliwość jaką, ta znikła tejże chwili, bo Chaja podniosła nagle głowę i wlepiła w nią spokojne, inteligentne oczy. Nie było jednak w nich zdziwienia żadnego, Chaja miała bystry wzrok i pamięć niezawodną; poznała odrazu Felicyę, chociaż ją widziała raz tylko.

Uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

— Co pani każe? — spytała uprzejmie.

Felicya przyznać musiała, że uśmiech ten był prześliczny, ale zamiast być rozbrojoną słodyczą jego, uczuła jakąś szaloną żądzę spędzenia go z jej ust i zadania tej kobiecie choć jednej części męczarni, jakie zniosła z jej powodu.

W tej chwili zapomniała znowu poco tu przyszła

i o tem, że jeśli nie sprzeda tych nędznych rzeczy, które przyniosła z sobą, głód i zimno zapanują w domu. Spoglądała na Chaję oczyma, w których płonął gniew i pogarda.

Ale ona nie zważała na to, do pogardy ludzkiej przywykła od dziecka i znosiła ją tak, jak się znosi różne niesprawiedliwości od losu i ludzi. Nie zdziwiła się też, iż nie odebrała żadnej odpowiedzi, że była zainteresowaną daremnie. Miała tu jakieś rachunki do sprawdzenia, więc powróciła do nich, niezważając więcej na sprzedającą.

Handlarka rozpoczęła targ, rozumując z przebiegłością, jaka zwykle cechuje ludzi tego rzemiosła, że Felicya miała coś innego na myśli i że to coś zajmowało ją stokroć więcej od interesu, jaki ją tu sprowadził.

Miała słuszość, nie była ona w stanie w tej chwili targować się i rozważać co czyni; ta kobieta siedząca w kącie sklepu odejmowała jej władzę myślenia, budziła w niej jakieś okrutne instynkta, nieznane dotąd jej samej.

A jednak, kiedy Chaja ukończyła zajęcie swoje, powstała, zamieniła parę słów z handlarką i zabierała się wyjść ze sklepu, porwała ją chęć mówienia z nią, ujrzenia znowu uśmiechu, który zapewne czarował Konrada, a wreszcie pochwycenia w niej tego czegoś niepojętego dla niej co mogło kazać mu zapomnieć o różnicy pochodzenia, o różnicy wychowania i pojęć.

Dobiła targu nie zważając na cenę, jaką dostała, i szybko wzięwszy pieniądze, wyszła razem z Chają.

Szła machinalnie, krok swój równając z jej krokiem. Myśli wirowały jej w głowie, a nie znajdowała słowa, któ-

remby przemówić mogła. Płomienne kolory wybiły jej na twarz, oczy świeciły, jak w gorączce.

Chaja widać opacznie wytłumaczyła sobie jej wzruszenie, bo po chwili zbliżyła się do niej i wyrzekła przyjaźnie:

— Jak pani co sprzedaje, nie trzeba się tak śpieszyć.

Mówiąc to, miała najlepsze chęci, chciała ustrzedz ją od wyzysku. Ale Felicya odchyliła się dumnie i już miała spiorunować ją wzrokiem za te zuchwałe słowa, kiedy przyszła jej myśl inna.

Skinęła ręką niedbale, jakby sprzedaż ta obchodziła ją mało. Zatrzymała się i spytała nagle:

— Czy dawno pani widziała doktora?

Mówiąc to patrzyła jej wprost w oczy.

Czego chciała stawiając to pytanie, czy wywołać zmieszanie, czy tryumf na twarz tej kobiety? Nie wiedziała sama.

Chaja ani zmieszała się, ani tryumfowała.

— On bardzo dobry! — wyrzekła tylko poważnie, jakby samo wspomnienie jego przejmowało ją wciąż — on codzień przychodzi do mojej Resi, Resia codzień zdrowsza, Bóg da, że on ją wyleczy.

Głos jej był zwilżony, gdy wymawiała te słowa.

Potem dodała nagle, zwracając się do Felicyi:

— Pani wie. Ona kaleka, ona już pięć lat choruje. Ja proszę codzień Boga za tego, co ją wyleczy.

Złożyła ręce jakby do modlitwy, z taką prostotą, że Felicya czuła się zawstydzoną. Milczała, a Chaja mówiła jej o chorobie córki i o dobroci Konrada.

Słuchała jej z dziwnem uczuciem. Było jej straszno

i błogo, ten głos błogosławiący go, drażnił ją i sprawiał razem rozkosz bolesną, nie miała siły przerwać jej słów, odejść w swoją stronę. Zdawało jej się, że słuchając o Konradzie, była jeszcze mu blizką. Z każdą chwilą było jej słabiej, mdleć, a jednak nie skarżyła się, szła przy Chai, jak żelazo przyciągane magnelem, kiedy nagle rozbrzmiał tuż przy niej głos energiczny:

— Dzień dobry!... gdzie pani dąży tak rano?

Obejrzała się i ujrzała przed sobą małą postać i zawiadjackie pióro panny Kordulskiej.

— Dzień dobry — powtórzyła stara panna — pani pewno śpieszy na mszę księdza Bronisława, pójdziemy razem.

Felicja była jak osoba spadła z obłoków; od dwóch dni zapomniała zupełnie o nabożeństwach, na które uczęszczała i o mszy księdza Bronisława, szczególnie ulubionej przez pewne kółko, które się na nią zbierało.

Chaja tymczasem oddaliła się dyskretnie, a panna Kordulska mówiła dalej, świdrując oczkami Felicję, kiwając głową na znak pochwały.

— Aha! trafiłaś pani wreszcie, trafiła!

— Ja?... — zapytała — nie pojmując do czego zmierza.

Panna Kordulska należała do rodzaju ludzi, którzy nie zważają na głos bliźniego, a tylko słyszą zawsze samych siebie.

— No, tak — mówiła dalej — trafiłaś pani na drogę. Teraz to już wszystko będzie dobrze. Cieszę się, cieszę się bardzo. Pewno o tem wczoraj rozmawialiście tak gorąco z doktorem.

Felicja podniosła na nią zmęczone oczy, przez chwilę

zdawało się, że panna Kordulska zna jej tajemnicę i jego miłość, że wie wszystko i spoglądała na nią przerażona. Może nawet byłaby się zdradziła jakim słówkiem niebaczny, któreby pannę Kordulską naprowadziło na ślad jej uczuć, kiedy ta zaczęła znowu.

— No, teraz to już jestem pewna, że pan Adolf dostanie etat.

Myśli Felicji skierowały się ku bratu.

— Dlaczegoż to? — zawołała z żywością.

— Dlaczego?... no, bo trafiłaś pani na właściwą drogę.

A widząc, że Felicya rozumieć jej nie chce, ciągnęła dalej obrażona:

— Niechże pani nie udaje przedemną, przecież to nie sekret, że Chaja Morgenblat jest faktorką pani Bajorskiej i że ona to trzęsie całym biurem.

Okrzyk stłumiony wyrwał się z piersi Felicji; był w nim ból i wstyd i zdumienie. Cios ten dosięgał ją i Konrada i brata zarazem. Patrzyła szeroko rozwartemi oczyma w starą pannę, która rozśmiała się sucho i spytała:

— Albożeś pani o tem nie wiedziała?

— Nie — szepnęła zaledwie słyszalnym głosem — nie wiedziałam!

Dyskretniejsza osoba byłaby zrozumiała, że poza zdumieniem tem kryje się jakaś bolesna tajemnica, ale panna Kordulska dyskretną nie była, a na tajemnice ludzkie czuła szczególne łakomstwo.

— Więc zkądże pani zna Chaję? — wyrzekła bawczo.

Felicya byłaby chciała jakimbądź sposobem pozbyć

się tej natrętnej ciekawości. Obejrzała się, jakby szukała ucieczki; kościół był niedaleko, zdwoiła kroku.

Panna Kordulska przecież zatrzymała ją wprost za rękę, bez żadnej ceremonii i powtórzyła pytanie:

— Zkądże pani zna Chaję?

— Przypadkiem — szepnęła, nie wiedząc jak się wykręcić od kategorycznej odpowiedzi, bo za nic w świecie nie byłaby wyznała, gdzie ten przypadek dał jej poznać piękną izraelitkę.

Szczęściem także, w głowie panny Kordulskiej myśli goniły jedna za drugą. Więc nie czekając objaśnień, przerwała:

— Jest to szczęśliwy przypadek! Powinnaś dziękować zań Bogu, panno Felicjo, bo, powtarzam ci, przez nią tylko można robić interesy u Bajorskich, dowiedziałam się tego w tych dniach dopiero. Otóż dlaczego wam się nie udało!

Podniosła w górę rękę i wstrząsnęła nią nakształt Sybilli, objawiającej przedwieczne wyroki, nie zważając na to, że panna Felicja była coraz bledsza. Rozmowa ta cała była nad jej siły. W głowie jej znękanej powstawał chaos. Interesy rodzinne i sprawy sercowe plątały się dziwnie. Może istotnie spotkanie z Chają było szczęściem dla niej, tylko ona nie była w stanie za to dziękować Bogu.

— Chodźmy, chodźmy! — mówiła dalej panna Kordulska. — Ksiądz Bronisław pewno już się do mszy św. ubiera.

Chciała ją pociągnąć do kościoła.

— Nie, nie -- szepnęła Felicja — muszę wracać do domu.

Stara panna spojrzała na nią zdziwiona, a może i zgorzszona tem, co uważała za opieszałość w nabożeństwie. Felicya nie zważała na to, przygnieciona ogromem ciosów, spadających na nią. Nagle jednak zwróciła się do Kordulskiej, pochwyciła ją za rękę i szepnęła zdławionym głosem:

— Pomódl się pani za mną... za nas...

Wypowiedziawszy to, odeszła szybko, o ile pozwalały na to jej siły.

Idąc opierała się na wązkim trotuarze o mury kamienic, to znów usiłowała pośpieszyć pomimo osłabienia.

Panna Kordulska zdziwiona popatrzyła na nią chwilę. Czuła dobrze, iż z Felicyą musiało być źle bardzo, skoro nie wysłuchała mszy księdza Bronisława. Nie była jednak w stanie pojąć całego ogromu jej nieszczęścia; z cierpień, które były jej udziałem, nie rozumiała najdotkliwszych. Ponieważ jednak miała dobre serce i nikomu nie odmawiała modlitwy, ofiarowała na jej intencję dzisiejsze nabożeństwo. Potem przekonana, iż uczyniła wszystko, co było w jej mocy, poszła zbierać po mieście rozmaite prawdziwe i nieprawdziwe wiadomości, których roznoszenie było jej głównem zajęciem.

Felicya powróciła do domu w stanie trudnym do opisania. Działała już tylko jak automat sztucznie w ruch wprawiony. Poruszała się jeszcze na mocy dawnych nawyknień.

Przechodząc dziedzińcem spotkała Marynię z czerwonymi od płaczu oczami.

Fakt ten uderzył jej zmysły tylko, nie serce. Zapytała ją o przyczynę łez, ale był to tylko skutek przywyknienia; nie wysłuchała odpowiedzi, a przynajmniej jeśli wysłuchała, nic z niej nie zostało w jej pamięci.

Zastała dom w największym rozstroju. Pomimo zakazu doktora, próśb i łez matki, Adolf wyszedł; pani Słońska otulona szalem siedziała na fotelu szlochając, a Zosia w najgorszym humorze rzucała w kuchni naczyniami pod pozorem sprzątanania.

— Adolf poszedł! — zawołała pani Słońska, widząc ją wchodzącą z wyrazem żalu i wyrzutu.

Nie odpowiedziała nic; w tej chwili serce jej jakby zmartwiało, nie było w stanie odczuć trwogi o brata, ani wzruszyć się wyrzutem. Pamiętała jednak o najpilniejszych potrzebach domowych, kazała Zosi przynieść węgla, wody emskiej i mleka dla brata, oraz trochę mięsa na obiad, a gdy to uczyniła, suma jaką dostała za sprzedaną suknię, zmniejszyła się niezmiernie.

Dokonawszy tego, co leżało na jej głowie, co pamiętała, że uczynić powinna, usiadła na zwykłym miejscu przy stoliku, koło okna. Tutaj jednak skończyło się działanie jej pamięci, na stole nie było roboty żadnej, więc i ona pozostała bezczynna, wciąż nieustannie zapytując samej siebie, czy Konrad wiedział kogo pokochał? i czy nie było jej obowiązkiem ostrzedz go o tem, co usłyszała?

Inna w jej miejscu byłaby może pogardziła Konradem, znenawidziła go. Ona nie mogła... Był to jedyny

mężczyzna jakiego znała, jedyny cel marzeń. Od lat tylu przywykła zwracać do niego wszystkie myśli, nadzieje i uczucia swoje. A potem czyż ona mogła nienawidzić zbawcę swego brata, człowieka, co jeden prawie wśród tego wielkiego miasta był dla nich tak niewypowiedzianie dobrym. Ona raczej powinna była ubolewać nad nim, współczuć i ratować.

Ratować, to było pragnienie jej serca, pragnienie potężne. Ono o władnęło jej całą istotą, tętniało w każdym uderzeniu serca, czyniło ją głuchą i ślepą na wszystko inne.

— Adolf wyszedł! — jęczała ciągle pani Słońska.

A widząc, że córka nie zwracała na to uwagi żadnej, zbliżyła się do niej i pochwyciła za ramię.

— Felciu, Adolf wyszedł.

W stanie, w jakim znajdowała się Felicya, słowa te nie przedstawiały jej żadnego wyraźnego znaczenia, nie była zdolną skojarzyć tego faktu z chorobą brata, którą przecież zajmowała się gorliwie. Więc powtórzyła tylko martwo:

— Adolf wyszedł... aaa!...

Gdyby pani Słońska mogła zrozumieć cały proces psychiczny, odbywający się w córce, byłaby zapewne przeraziła się bardzo, ale to przechodziło absolutnie jej inteligencyę.

— Zapominasz, że on tak strasznie kaszle, że jest zimno! — zawołała z wymówką.

Słowa te jeszcze nie obudziły jej do rzeczywistości. Usłyszała z nich tylko próżne dźwięki; myślała jak ratować Konrada.

— Tak, tu jest zimno, strasznie zimno — powtórzyła znowu wstrząsając się skostniała cała.

— A on ubierał się tutaj, drżąc cały; Adolf się zaziębi, Adolf rozchoruje się znowu — wybuchnęła pani Słońska.

Teraz dopiero rozumiała.

— I dlaczego mama na to pozwoliła! — zawołała, podnosząc na nią przerażone oczy.

Pani Słońska załamała ręce z wyrazem bezsilności.

— Alboż on chciał mnie usłuchać, zaklinałam, by tego nie czynił, przypominałam zakaz doktora.

Felicya podniosła się nagle.

— Gdzież poszedł? — spytała.

Matka wzruszyła ramionami.

— Pewno po pieniądze — odparła cicho.

— Po pieniądze — powtórzyła — po pieniądze...

Przecież poszła po nie sama, mógł zaczekać... Teraz już oprzytomniała zupełnie, a pani Słońska, jakby usprawiedliwiając się, szeptała: że było w pokoju strasznie zimno, że Zosia przychodziła pytać się, co ma robić, że Felicyi nie było widać i że Adolf nie zważając na jej łzy i prośby, chwiejąc się, powstał na nogi, narzucił na siebie ubranie drżącymi rękami i wyszedł nie mówiąc słowa.

Raz tylko przez dzień jeden zapomniała o ich położeniu, zatopiona w egoistycznym uczuciu i dzień ten mógł brat jej przeplącić znowu chorobą. Nie przyszło jej na myśl gorsze następstwo, ale w ich położeniu choroba nie była to już trwoga, tylko trudy, nocy niespane i dni spędzone na drobnych usługach; nie była to już tylko ruina,

ale nędza w całym ohydny słowa tego znaczeniu, nędza, z którą dalsza walka była niemożliwą.

Wszystko to stanęło naraz przed oczyma Felicyi, a przecież nie zdołało zagłuszyć myśli panującej: ratować Konrada, ratować koniecznie, ratować jakim bądź kosztem.

I była w pokoju długa cisza, przerywana tylko czasem westchnieniem i wykrzyknikiem starej kobiety, lub wejściem Zosi, która porobiwszy konieczne sprawunki przestała się dąsać, napaliła w piecu i zakrzętnęła się koło obiadu.

Felicya siedziała na zwykłym miejscu przy oknie. Machinalnie wzięła jakąś robotę, przecież nie była w stanie zrobić jednego ściegu. Czasami podnosiła się i wychylała przez lufcik, patrząc, czy brat nie powracał; przecież w głowie jej tkwiła myśl jedna: ratować Konrada!...

Nareszcie ciężkie, nierówne kroki dały się słyszeć na schodach, a razem z niemi kaszel gwałtowny, niestający.

Wszedł Adolf...

Nie mógł mówić; drżącą ręką wy dobył z kieszeni starą portmonetkę i rzucił na stół z rodzajem rozpacz i tryumfu zarazem. Znajdowały się w niej dwa papierki: różowy i niebieski — zadatek na przyszłą pracę lub też dar miłosierny — a nędza domowa była tak wielką, że oczy matki i córki zabłyśły na ten widok, pomimo straszego znużenia i kaszlu Adolfa...

— Połóż się, odpocznij!... — mówiła matka.

Felicya nie powiedziała nic, bo na chustce, którą brat poniósł do ust, ujrzała krwawe plamy.

On tylko położył rękę na piersiach, jakby wskazywał, że go tutaj dusi i padł na fotel — krew rzuciła mu się z ust strumieniem.

— O Boże! — jęknęła pani Słońska prawie nieprzytomna, biegając po pokoju i łamiąc ręce bezsilnie.

Błada twarz Felicji w tej chwili do reszty straciła barwy życia.

— Doktora, doktora! — powtarzała pani Słońska — Felciu, trzeba iść po doktora!...

Felicja wiedziała dobrze, iż o tej godzinie nie było go ani w domu, ani w lecznicy. Może przyszło jej na myśl, że znalazłaby go u pięknej żydówki, byłaby pobiegła do niej bez wahania, tylko nie wiedziała — gdzie ona mieszka.

A gdyby wiedziała?...

Potrzeba ratunku była tak gwałtowna, iż trzeba było jak najspieszniej działać.

Przed chwilą Felicja była tak osłabiona, iż zaledwie mogła utrzymać się na nogach. Przecież u pewnych istot siły zdwajają się w miarę potrzeby. Wstrzymywało ją co innego. Lękała się zostawić Adolfa na opiece matki, bo wiedziała dobrze, iż nie była to opieka żadna. W tempoleżeniu pomyślała o pannie Kordulskiej, która może jeszcze była w kościele, a liczyć mogła na pewno, że nie odmówiłaby tej pomocy.

Krwotok uspokoił się trochę. Felicja przykazała, by nie pozwolono choremu ruszyć się z fotelu, a sama zarzuciwszy na siebie zaledwie chusteczkę, pobiegła do kościoła.

Traf usłużył jej szczęśliwie; spotkała starą pannę właśnie w chwili, gdy wychodziła.

Ujrzawszy Felicyę, zawołała z rodzajem wielkiego tryumfu:

— Modliłam się za panią, modliłam przez całą mszę świętą...

— Och! — szepnęła Felicya — modlitwa pani przyjętą nie została...

Panna Kordulska przybierała już obrażoną minę i chciała surowo zgromić ją za podobne słowa, lecz Felicya nie dała jej na to czasu, opowiedziała bowiem w krótkich słowach nagłe niebezpieczeństwo brata, prosząc, aby poszukała Konrada lub innego lekarza.

Stara panna chętnie podjęła się tej misyi, a że jej droga wypadała w tę samą stronę co Felicyi, puściła więc wodze swej gadatliwości.

— Masz pani słuszość — mówiła — tu niema chwili do stracenia. Chociaż-i tak... krwotok... hm... krwotok...

Kiwała głową w sposób tak znaczący, iż Felicya stanęła nagle jak wryta.

Chciała zapytać, czy symptomat ten był tak bardzo niebezpieczny i zatrzymała się nagle. Pytania tego stawić nie miała odwagi.

Panna Kordulska jednak należała do rodzaju ludzi, którzy śpieszą się z każdą wieścią, choćby najgorszą. Nie czyniła tego ze złego serca, broń Boże, tylko czuła zawsze potrzebę uczynienia wrażenia, a że złych wieści na świecie daleko jest więcej, niż dobrych, ona zaś ciągle na nie patrzyła, daleko więc częściej była posłem nieszczęścia, niż pociechy.

I teraz piekła ją żądza objaśnienia Felicji względem całej grozy położenia, a gdy ta o nic nie pytała, szukała sposobu obejścia pytań i wypowiedzenia myśli swoich bez upoważnienia.

Znalazłszy go zapewne, zawołała:

— A gdyby teraz, co już znasz drogę, nadarzył się wakans w biurze, nie śpieszcie się ze staraniami i zapłatą.

— Czemu? — zawołała przestraszona Felicja, patrząc na nią takim wzrokiem łez i przerażenia pełnym, że kto inny byłby zamilkł.

Panna Kordulska jednak nie uczyniła tego.

— No! bo widzi pani, niema co obwijać w bawełnę, choroba to długa, niebezpieczna i...

— I... cóż?... Dokończ, dokończ!... — błagała ją Felicja.

— I śmiertelna... — dokończyła rzeczywiście stara panna — lepiej zawsze o tem wiedzieć odrazu... suchooty...

A potem przestraszona sama rozpaczą widoczną na twarzy swej towarzyszki, dodała:

— Uspokój się. Bóg jest wszechmocny. Bóg doda siły. Bóg pocieszy!...

— Och! — zawołała Felicja — nie mów pani tego, pani nie masz brata!...

Na pargaminową twarz starej panny wystąpiły rumieńce, wązkie wargi zadrgały lekko. Milczała przez chwilę ze spuszczonej powiekami, jakby tam przed niemi przeciągały mury przeszłości.

— Bóg dał, Bóg wziął — szepnęła cicho sama do siebie.

Potem podniosła głowę nagłym ruchem.

— Bóg dał, Bóg wziął — powtórzyła głośniej.

I poszła, zostawiając towarzyszkę przed bramą jej domu.

Od dnia tego rozpoczęło się konanie Adolfa. Zdawało się, że nie mogło być nic posępniejszego nad dotychczasowe życie tej biednej rodziny, a jednak wszystko teraz było stokroć smutniejszym i posępniejszym jeszcze.

Gdyby Felicya nie uwierzyła smutnym wróżbom panny Kordulskiej, jedno spojrzenie rzucone na twarz Konrada, który przyszedł niebawem, wytropiony gdzieś przez nią na drodze, potwierdziłoby je w zupełności.

Dla Felicyi oblicze to było przezroczyście, jak kryształ, nauczyła się oddawna czytać w jego oczach, na jego czole, w uśmiechu, dobre i złe wróżby. Konrad mówił wprawdzie głośno, że Adolfowi będzie lepiej, że choroba minie, ale ona wiedziała dobrze, iż to były tylko słowa, któremi się pociesza umierających. Mogła im uwierzyć matka, Marynia, sam chory wreszcie — tylko nie ona.

Nie potrzebowała go badać, ani wyprowadzać na schody, żeby dowiedzieć się prawdy. Jedyne pytanie, jakie zadać mu mogła, było, ile czasu to jeszcze trwać będzie? Nie miała siły go uczynić, ani usłyszeć odpowiedzi.

Czuła się przygniecioną. Tyle nowych ciosów naraz spadło na nią, zdawało się jej, że od wczoraj przeżyła wieki całe. Wszakże to wczoraj jeszcze biegła na przechadzkę z Konradem i czuła się tak szczęśliwą, iż nie było

na całej ziemi istoty, którejby czegokolwiek pozazdrościć mogła.

A dziś!...

Dziś stała osłupiała prawie nad łóżkiem, w którym nieruchomy, z głową wysoko wzniesioną na poduszkach, spoczywał brat jej i wiedziała, że to było jego łożo śmiertelne; około niego siedział Konrad, rachując uderzenia pulsu, badawczy i uważny. Ale on był dzisiaj obcy dla niej; kiedy milczał zamyślony, wiedziała, jaki obraz snuł się przed jego oczyma.

Chwilami przychodziło jej na myśl, że jest pod wpływem jakiegoś straszego snu, a wówczas dolatywały ją, jakby z oddali i budziły do rzeczywistości słowa Konrada, który uczył ją, jak ma postępować z chorym.

Po jego wyjściu zapanowała w mieszkaniu głucha cisza.

Adolfa przeniesiono przy Konradzie jeszcze do sypialnego pokoju na łóżko pani Słońskiej. Wyczerpany leżał bez głosu, z oczyma zapalonymi gorączką, tylko czasem kaszel, połączony z ostrym bólem w piersiach, wyrwał zeń jęk cichy; wówczas Felicya zwilżała mu skronie i podawała napój uspakajający, przygotowany przez lekarza. Potem była znowu cisza grobowa.

Przerwała ją raz i drugi Marynia; przybiegła dowiedzieć się, co się dzieje z Adolfem. Ale dziś Felicya była martwą zupełnie na rozpacz biednej dziewczyny. Marynia cierpiała, niepokoiliła się — i cóż ztąd. Los jej, wobec własnego, sądziła jeszcze godnym zazdrości...

Wszakże Adolf ją kochał!...

Nad wieczorem zjawiła się panna Kordulska. Pierwszy raz wchodziła do domu swej kościelnej przyjaciółki. Czy

powodowała nią ciekawość, czy miłosierdzie, czy inne jakie uczucie? — któż mógł wiedzieć?...

To pewna, że panna Kordulska więcej podobną była do tryumfatorki, wchodzącej do podbitego kraju, niż do cichej siostry miłosierdzia. Oczy jej błyszczały, a wargi poruszały się, jakby wymawiała w duchu wyrazy, których nie miała jeszcze do kogo skierować.

— Jest panna Felicya? — zapytała Zosi, która jej drzwi otwierała.

I nie czekając odpowiedzi, mówiła dalej:

— Jest, jest, gdzieżby była; a pan Adolf cóż? kaszle. Teraz musi być lepiej troszkę? Tak zawsze jest po krwotoku. Doktor był? Nic nie powiedział. Co ma mówić? takie rzeczy widzi każdy. Ot, nieszczęście, nieszczęście. Dawno się przecież na to zносиło, pan Adolf wyglądał jak śmierć, uważałam to, uważałam, mówiłam nawet panie Felicyi. Cóż poradzić było. Zmartwienia. Oj, te zmartwienia! Gdyby ludzie ich nie mieli, żyliby wszyscy po sto lat!...

Wszystko to mówiła panna Kordulska, zdejmując futerko i zwyczajem swoim, nie czekając odpowiedzi, wkroczyła do salonu, gdzie zastała panią Słońską tylko, bo Felicya była przy bracie. Nie zmięszała się tem bynajmniej, naprzód, że znała równie dobrze z widzenia matkę, jak brata Felicyi, a powtóre, iż zmięszanie była to rzecz zupełnie jej nieznaną.

— Jestem Kordulska — rzekła, zbliżając się do starej kobiety, która podniosła się, widząc wchodzącą nieznaną osobę. — Wiktorya Kordulska, z Felicyą znamy się dobrze, spotykamy się codziennie w kościele, ona dziś posłała mnie po doktora, kiedy pan Adolf zasłabł. Przy-

szłam się dowiedzieć, jak się ma i czy nie mogę być na co przydatną?

Pani Słońska czuła się w obowiązku dziękować, ale zanim wymówiła słowo, stara panna przerwała:

— Państwo dawno znają doktora?

Przy tych słowach, wlepiła przenikliwe oczy w panią domu, z wyrazem świadczącym, że kryło się coś poza tem pytaniem, na które teraz oczekiwała odpowiedzi.

Zanim jednak dać ją zdołała, z sypialni wysunęła się śpiesznie Felicya. Usłyszała ona głos p. Wiktoryi, usłyszała pytanie skierowane do matki, domyśliła się zapewne, że nowoprzybyła ma coś więcej do powiedzenia i chciała ją uprzedzić.

Rzecz to jednak była bardzo trudna. Pannie Kordulskiej nikt nie zdołał nigdy przeszkodzić powiedzieć to, co zamierzała. Nie zważała więc na jej powitania i dziękczynne słowa i powtarzała znowu:

— Państwo dawno znają doktora?

Intuicyą właściwą zakochanym, Felicya odgadła, co dalej stara panna powiedzieć chciała i ta myśl zbudziła ją z duchowego letargu, w jakim była pogrążona.

A tymczasem pani Słońska opowiadała z namysłem o dawnych stosunkach swoich z rodziną Konrada, nie domyślając się, dla czego pytaną była.

Wówczas Felicya uczyniła rozpaczliwy wysitek.

— Mamo! — zawołała — zdaje mi się, że Adolf chce pić.

A widząc, że matka kierowała się ku drzwiom, do dała z błagalnym szeptem:

— Niech mama posiedzi przy nim...

Kiedy Felicya znalazła się sama ze starą panną, odetchnęła lżej. Przynajmniej matka jej nie będzie wta-
jemniczoną w sprawy Konrada. Bo odgadywała, że o nich
panna Kordulska mówić będzie.

A ta rzeczywiście, jak koło rozpędowe zatrzymane
na chwilę, skoro puszczą nań parę, zaczęła znowu:

— Skoro znacie państwo doktora, powinniście nie po-
zwolić na szaleństwo, jakie robi.

Mówiąc to, wpatrywała się bacznie w Felicyę. Może
powzięła jakie podejrzenie, może ona także miała swoje
domysły? Ale na tej bladej, pogiębionej twarzy, nie wy-
czytała nic, prócz bezmiernego znękania.

— I jakież to szaleństwo? — spytała Felicya.

Kordulska aż podskoczyła na krześle.

— Jakto? — zawołała — pani nic nie wiesz? nic nie
wiesz? nie wiecie nic?

A nie odbierając odpowiedzi, ciągnęła dalej swoim
zwyczajem:

— Prawda! zkąd pani masz wiedzieć? siedzicie tutaj
wszyscy, jak zakłęci przy chorym, a doktora widujecie
tylko jak tu przyjdzie, wiecie o nim to, co sam powie,
a on przecież się z tem nie pochwali.

Felicya była niezbadana. Uzbroiła się przeciw wszel-
kim pociskom.

— Wystawcie sobie — wołała Kordulska — on ko-
cha się; to nic. Ale w kim?

— Kocha! — powtórzyła jak echo Felicya.

— Kocha! kocha, jak szalony. I to w prostej ży-
dówce...

Panna Kordulska spodziewała się wyrzucić ogromne
wrażenie tą wieścią. Pozornie jednak omyliła się zupełnie,

wysłuchano ją spokojnie, bez wykrzyknika nawet. Więc mówiła dalej:

— Taki piękny, młody, elegancki chłopiec, z taką przyszłością. A toćże wszystkie panny wyrzywałyby go sobie, gdyby na którą chciał spojrzeć; pani Bajorska poluje na niego dla Mani. A on co? a on tymczasem życie trawi u tej żydowki. Nie wiem jeszcze jak się nazywa. Pewno bogata. Oj! ci młodzi ludzie! Ale jemu przecież nie trudno byłoby o żonę z posagiem. Ja sama...

— Nie, pani — pochwyciła Felicya — on tego dla pieniędzy nie robi.

Mogła się zdradzić tym wykrzyknikiem. Szczęściem, panna Kordulska nie zważała teraz na nią.

— Ba! ba! — wyrzekła, trzęsąc głową i podnosząc w górę rękę, jak to zwykła była czynić, kiedy ogłaszała jakie zdanie nieomyślne — oni wszyscy tacy!

— Nie, pani, Konrad stanowi wyjątek.

Stara panna wzruszyła ramionami, nie rada z zaprzeczenia.

— Tem gorzej — wyrzekła kwaśno. — Ot! jako przyjaciele jego, powinniście mu wyperswadować. Mówi o tem całe miasto; zaręczam, że mu to szkodzi, śmieją się z tego wszyscy.

— Ale zkądże wiedzą? — pytała Felicya.

— Miłość i kaszel — odparła sentencyjonalnie stara panna — nigdy się nie ukryje. Tak, tak, nigdy się nie ukryje. To darmo.

— A jeśli on się z nią ożeni? — wtrąciła nieśmiało Felicya.

— To cóż ztąd! zrobiłby największe szaleństwo! Naprzód musiałby ją ochrzcić, a potem, czy to dla niego

żona? Świat cały wytykałby go palcami! Pani chyba nie myśli tego na seryo?

— Masz pani słuszność — zawołała, jakby budząc się do rzeczywistości i przypominając słowo, które drgało w jej głowie nieustannie — trzeba go ratować.

Policzki jej zabarwiły się rumieńcem, splatała i rozplatała palce złożone na kolanach niecierpliwym ruchem.

— Trzeba go ratować — powtórzyła jakby przetworzona — ale jak? powiedz mi pani jak?

Zwracała się do niej z tem namiętnem pytaniem, na które sama odpowiedzi znaleźć nie umiała.

Kordulska nigdy nie namyślała się nad podobnemi rzeczami.

— Trzeba mu wytłumaczyć — zaczęła...

Ale Felicya położyła jej rękę na ramieniu.

— Czy sądzisz, pani — spytała — że człowiek, taki człowiek, jak on, nie zastanawia się sam nad tem co robi?

— Widać, że nie — odparła bez namysłu.

Felicya nie była przekonana. Przecież przyszło jej na myśl, że Konrad odwoływał się do jej przyjaźni, że zapytywał ją o radę i ona tak źle wywiązała się z tego zadania, ona mówiła mu o prawach uczucia. Prawda, że wówczas nie wiedziała, kogo on kocha i zamiast ratować, popychała go w przepaść. Dziś, dziś mówiłaby inaczej, gdyby powróciła ta chwila, gdyby zapytał ją znowu.

— Trzeba go ratować — powtórzyła z przekonaniem.

Panna Kordulska nie lubiła długo zostawać na miejscu, wypowiedziawszy więc co wypowiedzieć miała, zabierała się do wyjścia.

— Módl się pani za niego — zawołała Felicya.

Stara panna skinęła głową.

— Chętnie, chętnie — odparła — prosić będę, ażeby Bóg natchnął go dobrą myślą, ale wy powinniście nad tem pracować.

— Nie mów pani o tem mojej matce — błagała Felicya.

— A to dlaczego? — spytała zdziwiona.

Felicya nie umiała się wytłumaczyć. Czuła jednak, że rady pani Słońskiej mogły prędzej zaszkodzić, niż poprzeć sprawę, którąby wzięła w opiekę.

— Nie mów pani nic — powtarzała — ja biorę wszystko na siebie.

Kordulska dowodziła jej, że miłość Konrada nie była dla nikogo tajemnicą, że świegotwały już o tem wróble na dachach i poszła wreszcie, obiecując przychodzić często.

Po jej wyjściu, Felicya pozostała jakby w odrętwieniu; biły w niej wszystkie pulsa. Każde słowo starej panny czyniło jej wrażenie noża obracanego w świeżej ranie, była to męczarnia nad siły. Chwilami zdawało jej się, że nie zdoła powstrzymać krzyku rozpaczycy, że zawoła: „Ja tego nie zniosę. Ja nie wytrzymam“.

Ale siły ludzkie są niewyczerpane. Zniosła, przetrzymała wszystko. Kto wie nawet, czy wobec śmiertelnej choroby brata, to cierpienie osobiste nie było rodzajem ulgi, nie przynosiło dywersyi, bolesnej wprawdzie, ale przez to samo zdolnej jedynie skierować myśl w inną stronę.

Ktokolwiek cierpiał, wie z doświadczenia, iż każda zmiana, chociażby w jego formie, czyni ból znośniejszym.

Coś podobnego działo się z Felicyą; w czasie kiedy myślała o Konradzie, o własnych zawiedzionych nadziejach, o położeniu, w którym się on znajdował i o tem, jak jej postąpić należało, nie myślała o Adolfie, a kiedy znów zwracała się do brata, zapominała o sobie, dopóki jaka okoliczność lub słowo nie potrąciło jej zbołałego serca.

Były to dni straszne dla całej rodziny. Suchoty, jak to powiedziała panna Kordulska, rozwinęły się szybko, przybrały ostrą formę i nie trudno było zrozumieć, że Adolf wielkim krokiem zbliża się do grobu.

Widziała to dobrze Felicya, widziała Marynia, widziała nawet Zosia, nie domyślała się tylko pani Słońska i sam chory.

Jak to często ma miejsce w tej strasznej chorobie, snuł on projekta przyszłości, radował się do wiosny, był teraz pewny, że pierwszy wakans go nie minie i układał przyszłe życie z Marynią, a nawet robił zawczasu obrachunek swego skromnego budżetu. Czasami niecierpliwił się, że mu brak było siły, czasem zaniepokoił go nowy krwotok, to jednak mijało szybko i znów cieszył się, że jutro będzie mu lepiej, a gdy go ta nadzieja zawiodła, odkładał ją do nowego jutra.

Konrad przychodził co dnia regularnie, zapisywał tylko łagodzące środki, wiedział dobrze, iż innych nie było. Niekiedy wpadał tylko na chwilę chmurny, niespokojny, czasem znowu bawił dłużej.

Wówczas Felicya ratować go chciała. Ale chwili, która uleciała, nikt powrócić nie zdoła. W godzinie ucisku myśli i niepewności, Konrad pytał ją o radę, nie dlatego, żeby miał w niej szczególne zaufanie, tylko, że pytać po-

trzebował. Ona z tego nie skorzystała, a dziś zrażony nie zaczynał mówić więcej o pięknej izraelitce.

— No i cóż, mówiłaś z nim pani? — pytała ją panna Kordulska, która od czasu do czasu zaglądała tutaj.

Dla Felicyi pytanie to było męczarnią, czuła w niem wyrzut i podniecie. A jednak ile razy przyszła, doznawała nieokreślonego uczucia, biegła ku niej z otwartymi ramionami i sercem. Ona jedna przynosiła jej odgłos świata, mówiła o Konradzie, o jego stosunkach.

Nie przyszło jej na myśl wątpić o prawdzie jej słów, ani zapytać, z kąd stara panna czerpała swe wiadomości; Felicya posiadała naiwność istot, które mało mają do czynienia z ludźmi.

Kordulska niezmiernie zajmowała się Konradem, jak każda stara panna, ciekawą była miłości, a niezwykła jej forma podniecała jeszcze tę ciekawość.

— Czy wiesz pani — zawołała raz, wpadając jak burza nad wieczorem do mieszkania Słońskich i prowadząc Felicyę w najdalszy zakątek salonu — on się żeni... żeni na pewno!

Felicya nie odpowiedziała nic. Była przygotowana na ten cios, przecież nie wysłuchiwała jej słów bez śmiertelnego bólu. Zdawało jej się, że ostatnia cegiełka z gmachu marzeń rozsypuje się w gruzy, że pomiędzy nią a towarzyszem lat dziecinnych zapadała jakaś zaporą nieprzebyta. Nie miała nadziei żadnej co do siebie, tak sądziła przynajmniej, a przecież... Któż zna dokładnie serce własne?

Kordulska powtarzała nieustannie:

— Wystaw sobie pani, żeni się, żeni z pewnością.

Miłość, ślub, były to rzeczy mające dla niej urok

szczególny, lubiła w nich mieć współdział jakikolwiek, stawiać przeszkody albo usuwać je, stosownie do usposobienia. Były małżeństwa, za którymi się zabijała, były inne, które starała się rozerwać do ostatniej chwili, grając nieraz względem ludzi, niedomyślających się tego, rolę opiekunki lub złośliwej wieszczki.

Stara panna tymczasem, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, kręciła się po szczupłym mieszkaniu, zajrzała do Adolfa, przy którym siedziała pani Słońska, zapytała go o zdrowie i nie słuchając odpowiedzi, zwróciła się do okna, wyjrzała przez nie, zauważyła, że chociaż mieszkanie położone było na drugim piętrze, dochodziła doń wilgoć, a powróciwszy do salonu i widząc, że Felicya siedziała nieruchoma z opuszczonemi ramionami w miejscu, gdzie ją zostawiła, pochwyciła ją za rękę.

— Pani powinnaś temu przeszkodzić.

Na twarz Felicyi wystąpiły płomienne kolory, ręce jej drżały.

— Tak jest — zawołała gorączkowo. — Niech się dzieje co chce, ratować go trzeba.

Gdy stara panna odeszła, z drżeniem oczekiwała dzwonka, który zwiastował codzienną wizytę Konrada.

Był to piękny, ciepły dzień kwietniowy, drzewa pod jasnymi promieniami słońca rozwijały się w liście, nawet do dusznego miejskiego powietrza załatywały wonie kwitnących fiołków i czeremchy. Ale tutaj, w tem ciasnym mieszkaniu, gdzie tylko widać było z okna mur przeciwny i wązki pas nieba, nikt nie domyślał się nowego gościa, wiosny, który zawitał, rozweselając myśli i serca.

Konrad wszedł wesoły, pogodny, jakby niósł w sobie ożywcze jej tchnienie. Powitał przyjaźnie Felicyę.

— Ah! — zawołał na wstępie — tu chłodno i duszno jak w zimie, trzeba roztworzyć okno.

I łącząc uczynek do słów, wpuścił do pokoju słoneczne fale powietrza.

Felicya była blada i drżąca.

— Powinnas pani wyjść — wyrzekł doktor spoglądając na nią — jesteś bardzo mizerną.

Wzruszyła ramionami bezwiednym ruchem, jakby chciała powiedzieć, że o nią nie idzie wcale, lub też, że sama o siebie dbać nie ma ochoty.

On na to nie zważał. Poszedł do Adolfa, porozmawiał z nim chwilę, a gdy chory pytał natarczywie, kiedy zdrowym będzie, pozwolił mu w dni słoneczne, jak dzisiejszy, wychodzić na powietrze i usiąść na ławce w ogrodzie lub na skwerze.

Felicya nie poszła za nim do brata, z czołem opartym na rękę, siedziała przy swoim stoliku w oknie otwartym. W głowie jej powstawało postanowienie gwałtowne, odezwały się na raz wszystkie głosy serca, które brała za głos obowiązku. Tak bądź co bądź powinna była z nim mówić raz jeszcze. A kiedy brakowało jej odwagi, przypominała sobie, że sam upoważnił ją do tego, pierwszy opowiadając o swojej miłości.

Konrad wychodząc, spotkał spojrzenie jej przymglo-nych zwykle oczów, utkwione w siebie z dziwnym wyrazem.

— Masz mi pani coś powiedzieć? — zapytał zatrzymując się przy niej.

— Tak jest — odparła, chwytając w lot jego słowa.

Zarumieniła się gwałtownie. Czuła to i rozumiała, że rumieniec ten był zdradziecki, a przynajmniej zbyte-

czny. Wszak miała jako przyjaciółka odwołać się do jego rozsądku.

Chciała zaproponować mu przechadzkę, bo tutaj lękała się przerwy w każdej chwili. Rumieniec ten odjął jej nagle śmiałość.

On jednak nie domyślał się niczego.

— Chcesz pani zapewne zapytać o Adolfa?

Wstrząsnęła głową zniechęcona. Wiedziała dobrze, iż stan jego nie zostawiał nadziei.

— Może o siebie? — pytał dalej.

Namyślała się chwilę, potem odparła wręcz:

— Nie, chciałam mówić o panu.

Głos jej drżał trochę, powstała nagłym ruchem, jak ktoś, co się do walki gotuje.

Konrad był zdziwiony. Chwila zwierzeń była już oddaloną. Umysł jego przyszedł do równowagi, a raczej do postanowienia, i nie czuł potrzeby żadnej dzielić się niem z Felicyą.

— O mnie? — powtórzył chłodno.

Odcień ten nie uszedł ucha kobiety. Na jej miejscu, inna zręczniejsza, byłaby zrozumiała, że moment był źle wybrany na to, co chciała wypowiedzieć.

Biedna Felicya zręczną nie była, szła wprost przed siebie drogą, jaką sobie wytknęła, i chociaż zmięszana, pochwyciła:

— Tak, o panu, wszak pozwalasz mi mówić z sobą otwarcie?

Odparł z grzecznością, pod którą kryło się niezadowolenie:

— Słucham pani.

— Panie Konradzie! — zaczęła, wymawiając z roz-

koszą to imię, które wiecznie miała w myśli — przed kilku tygodniami wspominałeś mi pan... o...

Szukała wyrażenia stosownego i znaleźć go nie mogła lub wyprowadzić nie śmiała.

— Och! — przerwał, dorozumiewając się znaczenia słów — to było dawniej... kiedyś.

Widocznie chciał przerwać badanie. Spojrzał nawet na zegarek, jak człowiek, któremu pilno.

Ale Felicya zdobyła się raz na odwagę, i nie myślała się cofać. Słuchała ona tylko własnej myśli.

— Panie Konradzie — zawołała zapalając się i nie zważając na niego — wówczas pytałeś mnie o zdanie, a ja... ja nie wiedziałam co odpowiedzieć, to zaskoczyło mnie tak nagle.

Nie rad z jej uporu, zwolna wkładał rękawiczki, gryząc niecierpliwie wargi, i nie zapytywał o nic w tej chwili. Ona złożyła ręce i patrzyła na niego błagalna, trwożna, wzrokiem, w którym płonęła bezwiednie cała jej miłość.

— Dziś — szepnęła — ja zastanowiłam się nad tem, i gdybyś mnie pan dziś zapytał?...

Zatrzymała się instynktownie, czekała zachęty. Czekwała daremnie. Konrad stał z okiem wbitem w ziemię.

— To ja — ciągnęła drżącym głosem — powiedziałabym dzisiaj: panie Konradzie, nie czyn tego, bo się gubisz.

Chciała mówić dalej, ale spotkała wzrok jego ostry, zimny, wzrok, jakiego nigdy nie widziała u niego dotąd.

— I dlaczegoż to, panno Felicyo? — przerwał szorstko.

Teraz cofnąć się już nie mogła, a choćby mogła, nie chciała.

— Bo ta kobieta nie warta ciebie — zawołała gorąco — bo żałowałbyś pan tego zawsze.

— Zkądże pani wiesz o tem? — przerwał głucho.

— Ja znam tę kobietę, widziałam ją u pana, widziałam potem w różnych chwilach.

— Gdzie? — pytał dalej przez zaciśnięte zęby.

— Ta kobieta trudni się rzemiosłem, które nie przynosi jej zaszczytu, przez jej ręce kupować można urzędy. Jeśli Adolf dotąd jest bez etatu, to dlatego tylko, że nie wiedziała o tem wcześniej. I pan, pan tak szlachetny, tak dobry, pan mógłbyś...

Wymówiła to wszystko jednym tchem, nie patrząc na niego, żeby nie stracić odwagi, ale teraz zatrzymała się nagle, czuła na sobie jego spojrzenie groźne, przesywające.

— Panno Felicyo — odparł wreszcie — od chwili, gdy ona zostanie żoną moją, nie będzie potrzebowała trudnić się jakiembądź rzemiosłem, ani troszczyć się o byt swego dziecka, bo ja zapracuję na nie, przysięgam. A wówczas nikt nie będzie miał prawa wymawiać jej czegokolwiek.

Był blady. Wciągnął rękawiczki na drżące ręce i zabierał się wyjść, zapominając o pożegnaniu.

Oczy Felicyi wypełniły się łzami.

— Panie Konradzie — zawołała, biegnąc za nim — ja nie chciałam cię obrazić. Daruj mi, jeśli ci przykrość sprawiła.

Ale duma jego zbyt była podrażnioną, ażeby zwrócić uwagę na żal, widny w jej głosie.

— Obrażony nie jestem — odparł, sztywny, zimny, podając jej rękę.

Ona uczepliła się jej gorąco, ścisnęła ją w swoich, chciała się tłumaczyć jeszcze, on przecież nie dał jej na to czasu. Nie dopuścił ją do słowa. Śpieszył się bardzo.

— Zobaczymy się jutro, nieprawdaż? — szepnęła w rozpaczy, czując dobrze, iż postawiła pomiędzy nim a sobą wspomnienie, które wszelką przyjaźń rozerwie.

Obiecał przyjść jak zwykle, i wyszedł czempredzej. Obecność Felicji była mu nieznośną w tej chwili. Słyszał oddawna różne rzeczy o Chai. Nikt jednak nie był tak dobitnym. Gniewało go nie to, że ludzie śmieli zaglądać w życie kobiety, którą kochał, — wiedział, że zabronić im tego nie mógł, — ale że śmieli mu o tem wspominać. Jakąkolwiek była jej przeszłość, on się przed nią nie cofał. A słowa Felicji posłużyły tylko do utwierdzenia go w postanowieniu, które uczynił już sam w sobie, ale które dotąd słowem wypowiedziane nie zostało.

Teraz stało się już ono czemś wyraźnem, czemś niecofnionem, przynajmniej w jego własnem przekonaniu. Niezręczna opozycja, jak to często bywa, popchnęła go dalej niż zamierzał może.

Cały wzburzony, szedł na znaną sobie ulicę do mieszkania pięknej izraelitki. Po drodze zatrzymał się chwilę, niepewny, czy zastanie ją w domu o tej godzinie. Przypomniał sobie jednak zaraz, że to była sobota i że dzień ten świąteczny ona wyłącznie poświęcała córce.

Mieszkanie Chai nie zmieniło się wcale, wszystkie starożytne sprzęty były tam w zwykłym porządku, tylko słońce wiosenne wpadało przez okna i rzucało na przedmioty złote połyski. I czy to słońce, czy wyszukana czy-

stość pokoju, czy biała pościel łóżka, na którym siedziała Resia, obłożona zabawkami, czy uśmiech na jej bladej twarzyczce, czy wreszcie pogodna piękność Chai, czy harmonia tego skromnego obrazka, wszystko to sprawiło na Konradzie wrażenie pełne dziwnego wesela. Stał w drzwiach przez krótką chwilę, a wówczas dziecię wyciągnęło do niego drobne rączki, śmiejąc się srebrnym głosem, a oczy matki jego zamigotały blaskiem.

Chaja siedziała w fotelu wybitym czarną skórą, o rzeźbionej prostopadłej poręczy, niby obraz weneckiej szkoły.

Z powodu święta, obyczajem żydowskim, ubraną była staranniej niż zwykle. Miała na sobie czarną suknię, zapiętą pod samą szyję, którą obejmowała koronkowa kreza. Z pod niej wychodził medalion na ciężkim złotym łańcuchu. A poważny charakter tego stroju, odpowiadał zupełnie jej rysom delikatnym, silnie zarysowanemu łukowi brwi, purpurowym wargom i matowej cerze.

Konrad nie zapomniał o tem wszystkim, co mówiła Felicya, a jednak gdy spojrział w czarne oczy Chai, pamiętał to tylko, że odnajduje ją w całym blasku piękna, słodkiej pogody i miłości macierzyńskiej. Taką, jaką widział ją zawsze. Patrzył, utonął w nią wzrokiem, stojąc na tym progu przykuty zachwytem.

Czyż ta kobieta, która własną przyszłość poświęciła choremu dziecku, która utrzymywała je własnym przemyśleniem, nie stała stokroć wyżej od tych, co nią pogardzały?

A tymczasem Resia trzepotała rękami na łóżku, ciesząc się do niego, a oczy matki wtórowały wyraźnie jej wesołemu powitaniu.

Konrad zbliżył się i usiadł, nie mówiąc słowa, na fotelu, który tylko co opuściła Chaja. Wziął Resię za rączkę i wpatrywał się długo w jej twarzyczkę, na którą zwolna powracały barwy życia.

— Jak ona ślicznie wygląda — zawołała matka, nie mogąc powstrzymać się dłużej od wypowiedzenia tego co czuła.

Od kilkunastu dni Konrad codzień słyszał te same słowa.

— Spodziewam się — odparł — że wkrótce będzie mogła wstać, a wówczas dopiero szybko przyjdzie do siebie. Pojedziesz pani z nią do Ciechocinka.

Chaja wstrząsnęła głową nieznacznie.

— Jak będzie potrzeba, to Resia pojedzie — odparła.

— A pani? — zapytał Konrad.

— Ja — mówiła z naturalnością wielką — ja muszę pracować na to, żeby ona miała za co jechać.

— Czyż pracy tej przerwać nie można?

Uśmiechnęła się ciepłym uśmiechem, sobie właściwym.

— O! — szepnęła — dobra to praca, którą przerwać można, powrócić do niej za miesiąc lub dwa i wszystko znaleźć w porządku.

Słowa te przywiodły mu na myśl wszystko, co słyszał o niej. Chwila zdała mu się sposobną do zapytania. A zresztą zapytania tego dłużej zwłóczyć było mu niepodobna.

— Mówisz pani nieraz — wyrzekł wreszcie — o swojej pracy, o zajęciach, czyż nie możnaby znaleźć kogoś z dobrą wolą, coby panią w nich zastąpił?

Wstrząsnęła głową, jakby namyślała się nad tem.

— To trudno! to bardzo trudno!

— Czyż trzeba tu gorliwości, poręczenia charakteru? Wierz mi pani, uczyniłbym wszystko, co w mojej mocy, znalazłbym kogoś lub wreszcie, gdyby inaczej nie można, ja sam...

Ale tutaj przerwał mu śmiech Chai, śmiech szczerzy, wesoły, śmiech, za który obrazić się nie mógł, a który przecież zrobił na nim dziwne wrażenie.

Ona zrozumiała to szybko.

— Daruj mi pan — wyrzekła — jesteś pan dobry, bardzo dobry.

— Więc czegoż się pani śmiejesz? — zapytał poważnie.

— Bo — odparła bez namysłu — żebyś pan był jeszcze sto razy lepszym, toby nic nie pomogło.

— Więc czegoż na to potrzeba?

Popatrzyła na niego chwilę ślicznymi oczami, które w tej chwili miały zdziwiony wyraz.

— To nie pańska rzecz! — odrzekła tylko.

— Więc cóż pani robisz — zapytał — daruj mi, jeśli stawiam jasno to pytanie, nie jest to próżna ciekawość.

— Alboż pan nie wiesz?

— Nie, przysięgam, mówiono mi, nie chciałem wierzyć.

— Tu nie ma żadnej tajemnicy, handluję czem mogę, czem się da, aby żyć, aby dziecko wychować.

Patrzył na nią, jakby nie pojmował.

— Chodzę za interesami drugich, wiem czem trafić do gustu, do usposobienia każdego.

— Rozumiem! — przerwał z mimowolną goryczą — to nazywa się faktorstwem...

Odczuła pogardę w dźwięku tych słów.

— Ha! niech ludzie nazywają jak chcą, to nie zmienia rzeczy. Czy to co złego zrobić to, czego kto sam nie potrafi, ułatwić mu interes, czy wstęp do biura, czy awans? Czy to co złego kupić tanio, jak kto potrzebuje, sprzedać. Wiedzą wszyscy, że nigdy nikogo nie oszukała i nie zawiodła, że każdy zaufać mi może. Nie wzięłam grosza za to, czegom nie zrobiła; czegom się podjęła, to było zawsze zrobione, a nacom się zgodziła, zapłaciłam rzetelnie. Powiedzą to panu wszyscy, którzy kiedykolwiek z Chają mieli interesa.

Mówiła to z uczciwą dumą i miała słuszność ze swojego stanowiska. Nie zawiodła, nie oszukała nikogo, rzemiosło swoje pełniła sumiennie, chleb Resi był zapracowany przez nią ciężko, a w rzemiośle tem, wymagającym i znajomości ludzi i wprawy, i przebiegłości i dyskrecyi, nikt zastąpić jej nie mógł. Ale Felicya miała słuszność. I to przejmowało go rodzajem gniewu, gniew był niesłuszny, bez żadnej podstawy, a jednak palił mu piersi.

Ona jednak tego zrozumieć nie mogła. I patrzyła na niego wielkimi zasmuconemi oczami.

— Widzisz pan — zaczęła znowu — że ja wyjechać nie mogę. U nas chleba pilnować potrzeba.

Milczał, gryząc wargi. Podniósł wzrok na Chają. Nigdy nie wydała mu się tak piękną, jak w tej chwili. Piękność jej zwiększała bezwiedny gniew jego. Był w rozterce sam z sobą i ze światem. Czuł, że nie ma tutaj co robić, że słowa miały dla nich odmienne znaczenie, że

myśli ich krążyły w innem kole, spotkać się nie mogły, a przecież nie miał siły odejść.

— Czy nie pomyślałaś pani nigdy o innym sposobie zarobku? — zapytał wreszcie.

Zdawała się zdziwioną pytaniem, bo rzeczywiście nie pojmowała jasno jego pobudek.

— Dlaczego miałabym zmieniać? — spytała wreszcie z pewną nieśmiałością, usprawiedliwioną ostrym głosem jego i surowym wyrazem. — Czy to pan nie wie, że kaźden interes wyrobić potrzeba, a kobiecie o zyskowne zajęcie bardzo trudno. Cóżbym ja zresztą robiła? Na założenie handlu nie miałam pieniędzy i handel nie zawsze pójdzie? Czy to jeden straci? A coby się z Resią stało?...

— Czyż tylko handel na świecie? — zawołał niecierpliwie.

— A cóż innego? — spytała z naiwnością, która świadczyła o ciasnem kole jej pojęć.

Po chwili jednak dodała:

— Prawda, słyszałam, że są kobiety co zarabiają, ucząc drugich. Ale ja tego nie potrafię. Nie wychowano mnie w taki sposób. Miałam rówieśnice, które chodziły na pensję, mnie posyłać nie chciano. Ojciec mówił, że na pensyi zapomnę o tem, co dla kobiety żydowskiej najpotrzebniejsze, że nie będę zachowywać starego obyczaju i pilnować gospodarstwa: „Niech ona będzie taka, jak ty, dodawał zwracając się do matki, niech potrafi zarządzić tem, co mąż zapracuje“. Nie przewidział, że nikt na mnie pracować nie będzie.

Mówiła to z łagodnym wyrazem, który musiał rozbroić gniew Konrada.

Przez chwilę długą wpatrywał się w nią i czuł, że

wzrok jego miękł i topniał, spoczywając na tem pięknem obliczu.

— A pani? — zapytał — co o tem sądzisz dzisiaj?

— Ja? ja myślę, że rodzice kochali mnie i pragnęli, żeby mi było jaknajlepiej.

— A jednak, gdybyś pani była odebrała takie wychowanie, jak jej rówieśnice, czy to nie byłoby lepiej?

Uśmiechnęła się filozoficznie.

— Czy ja wiem? — odparła. — Znam takie, co się uczyły, a nie są dlatego ani szczęśliwsze, ani bogatsze odemnie!

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się Konrad; on myślał, że przynajmniej Chaja czuje to wszystko, czego jej braknie, że może boleje nad dzielącą ich intelektualną zaporą, dlatego też oburzyło go praktyczne zastosowanie wiedzy, jakie zdawała się jedynie pojmować. Powstał z miejsca, przypominając sobie, że wizyta jego, jako lekarza, była już skończona. Ale spotkał palące, szczere i pokorne razem spojrzenie dwojga aksamitnych oczów, i zamiast pożegnać się, przeszedł parę razy wstecz i wzdłuż pokoju.

— A cóż pani uczynisz z Resią? — zapytał wreszcie. — Czego uczyć ją będziesz?...

— Ja dotąd — odparła — myślałam tylko o tem, żeby ona była zdrowa.

— Teraz wiesz pani przecież, że zdrową będzie...

Chciał wybadać za pomocą najsilniejszego jej uczucia, co sądziła o kwestyi obchodzącej go najmocniej. Ona przecież tego nie zrozumiała. Przeciwnie, uwaga jej z powodu ostatnich słów Konrada, skierowała się cała na

zdrowie córki i na wdzięczność, jaką winną mu była z tego powodu.

— Ona będzie chodzić, będzie mogła bawić się, jak inne dzieci? — podchwyciła z iskrzącymi oczyma, nienasycona podobnemi zapewnieniami.

— Będzie! będzie! — powtórzył z odcieniem niecierpliwości.

Chaja znów nie zrozumiała tego.

— Oh! — zawołała — tylu doktorów leczyło ją i wyleczyć nie mogło! A dziś! dziś! jam taka szczęśliwa, jakbym się na świat narodziła.

Nie było tego, czego on żądał, przecież wdzięczność jej rozbroiła go.

— Tak! — mówił, siadając znowu na dawnym miejscu — za tydzień, za dwa najdalej, Resia wstanie.

Zaczął mówić o tem, jak ostrożnie trzeba będzie z nią postępować, dawał różne przepisy, zwracając się nawet do dziecka, które słuchało go, przerywając czasem srebrnym śmiechem.

Śmiech ten był u niej nowością. Chore dzieci na-przód zapominają śmiechu, to też Chaja słuchała go zachwycona i sama śmiała się także, łązy szczęścia migotały na jej rzęsach, a drobne ręce o długich, giętkich, delikatnych palcach, zaplecione na kolanach, drżały. Pochyliła gładkie czoło, a Konrad widział całe bogactwo jej krucznych włosów, w których ciemno-błękitną barwą łałało się słońce.

— O czem pani myślisz? — zapytał powodowany tajemną nadzieją, że nie był zupełnie obcy jej myślom, że powie mu cośkolwiek, coby odpowiadało jego pragnieniom.

Ona odparła bez wahania:

— Myślę, że Bóg jest dobry, kiedy zesłał Resi takiego doktora i że gdybym pana była spotkała wcześniej...

Nie dokończyła zaczętej myśli słowem żadnym, tylko jakiś uśmiech, pełen skupionego szczęścia, poruszył jej wargi.

Wdzięczność jej zaczynała mu być nieznośną, pragnął wzbudzić inne uczucia. A teraz nasunęło mu się przypuszczenie, na które zawrzała w nim krew cała. Gdyby nie choroba Resi, życie jej byłoby poszło odmienną koleją. Może żałowała teraz tej przeszłości.

Myśli tej znieść nie mógł.

— Gdyby Resia wyzdrowiała wcześniej, przed kilku laty — wyrzekł z wolna — zapewne byłabyś pani poszła za mąż po raz drugi, miała gospodarstwo, inne dzieci?

— Nie myślałam o tem.

— Ale teraz to przyjdzie samo z siebie, będą pani swatki nasyłać.

Milczała zadumana, nie przecząc, ani przytakując.

— A pani — dodał z ukrytym gniewem — pani będziesz szczęśliwa, bo na ciebie i na dzieci mąż pracować będzie.

Wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? — odparła. — Jużciż, jak zostałam sama bez nikogo na świecie, zdjął mnie strach wielki i czułam się bardzo nieszczęśliwą. Dziś dałam sobie radę, przyzwyczałam się rządzić sama, nikomu nie zdawać sprawy ani z czynów, ani z pieniędzy. Ja jestem już inna, niż byłam i chciałabym czego innego niż dawniej...

Konrad zadrżał, gdy wymawiała te słowa, bo wielkie jej palące oczy zwróciły się ku niemu, jakby zwierając mu się z niepokoju i wahań swoich.

Usposobienie to jednak było w niej krótkotrwałe, praktyczny zmysł górował nad niem i wnet odpędził troski dalekie.

— Ot! — zawołała z uśmiechem — mam też czem sobie głowę zaprzętać!

— I owszem, pani! — wyrzekł Konrad — o przyszłości myśleć zawsze trzeba.

— Ja też myślę — pochwyciła — myślę jak zarobić, jak oszczędzić, jak interes poprowadzić. Ale na cóż mamy myśleć o tem, czego zapewne nie będzie nigdy?

Nie należał, bo wreszcie cóż jej miał powiedzieć. Serce jego było znów niepewne, myśli zmacone, a na usta tłoczyły się wyrazy bezładne i pospieszne, których w ten sposób wymówić nie chciał.

Powstał nie rad z siebie i drugich. I po raz setny wyszedł z tego małego mieszkanka, ścigany błogosławieństwami Chai i wdzięcznym szczebiotem dziecka, zapytując sam siebie, co ma uczynić?

Tymczasem dni mijały jedne po drugich, przynosząc zwolna zmiany różne.

Adolf dogorywał i żadna sztuka nie mogła życia jego uratować. Konrad bywał tam rzadziej. Obecność doktora nie mogła być choremu pożyteczną, co najwięcej uspokajała go.

Konrad przestał nawet zapisywać lekarstwa, ażeby nie rujnować daremnie biednej rodziny.

Śmierć widywał codziennie i nie ona to odstraszała go od Słońskich, ale od ostatniej rozmowy nie mógł pa-trzeć na Felicyę. Przyjaźń, jaką miał dla niej, rozwiła się nagle, ustępując wstrętowi; nie mógł pojąć, jakim sposobem zwierzył się jej ze swoich wahań i dał prawo wglądać w głąb swego serca.

Odzywał się on do istoty, którą znał dobrą, wylaną, która słuchała go zawsze z rodzajem nabożeństwa, przyznawała słuszność, zanim usta otworzył. A tymczasem, zamiast być echem jego, dotknęła go w najdrażliwszą stronę.

Trzeba jednak przyznać, iż nigdy ani na chwilę nie domyślał się jej uczuć, nie przeczuwał, jaką miłością kochała go ta biedna dziewczyna.

Teraz ta smutna, wybladła, badawcza twarz, na której czytał cichy wyrzut, stawała mu się nieznośną. Byłby chciał wybrać chwilę dla odwiedzenia chorego, kiedy jej w domu nie było. Ale zastawał ją zawsze niezmiennie. Felicja do kościoła nawet chodziła tylko na chwilę, bo stan Adolfa wymagał nieustannej pieczy i starań.

Trawiony gorączką, stawał się on fantastycznym, drażliwym, gniewało go wszystko i wszyscy, a jeśli Felicya zostawiła go z matką na chwilę, z pewnością za powrotem zastawała matkę we łzach, a brata w stanie podniecenia, który powodował gwałtowne paroksyzmy kaszlu, krwotoki. Mogła go wprawdzie czasem powierzyć Maryni. Ale Marynia znów nie umiała ukryć wrażenia, jakie na niej robiła jego choroba. Było to dziecko jeszcze nie zahartowane, nie zdolne panować nad sobą, a gdy Adolf

zwyczajem swoim mówił jej o przyszłości, wybuchała płaczem, a przytem trzeba było koniecznie wystarczyć zwiększonym wydatkom domowym.

Felicya nie byłaby nigdy dokazała tego cudu, gdyby panna Kordulska nie okazała się prawdziwą Opatrznością całej rodziny, użytkując jej pracę. Odkryła ona talent hafciarski Felicy i potrafiła znaleźć zbytni na jej roboty.

Moda przychodziła jej w pomoc.

Felicya z benedyktyńską cierpliwością wyszywała na atłasie lub materji bukiety kwiatów, i ta robota mało rozpowszechniona dotąd, przynosiła jej pewne korzyści. Sama nie byłaby nigdy wpadła na ten pomysł zużytkowania w ten sposób swoich zdolności, a Kordulska, która ciągle przebiegała miasto i na mody zwracała baczną uwagę, zobaczywszy coś podobnego w jednym z magazynów, dostała dla niej obstalunek, targowała się jak o swoje i klóciła nawet, gdy tego było potrzeba.

Teraz można było widzieć Felicyę nieustannie pochyloną nad tamburkiem przy oknie brata, uważną na każde jego skinienie, gotową położyć robotę, by podać mu chłodzący napój lub przyrzadzić cośkolwiek według jego smaku i znów do niej powrócić, choćby sto razy odrywana była.

Czy ta mechaniczna praca przynosiła jej ulgę lub wydawała się uciążliwą — niepodobna było odgadnąć. Spełniała ją automatycznie, nie dając poznać po sobie znużenia, ponura i spokojna, przez sześć dni w tygodniu.

W niedzielę składała haft, ale pomimo to, siadała na tem samem miejscu z pochyloną głową, wpatrując się martwym wzrokiem w rysy i plamy jesionowego stolika, jak wpatrywała się w robotę.

Tak było w piękną majową niedzielę. Był to jeden z tych dni bogatych w błękit, promienie i wonie, w których rozradowana natura pełną jest uśmiechów, jak gdyby chciała pocieszyć smutnych i uleczyć chorych.

Nawet smutne, ciemne, wąskie podwórko miało pozor świąteczny. Wszystkie okna były na ścieżaj otwarte, a z głębi mieszkań, jak i z bruku dziedzińca, dochodziły wesołe gwary, śmiechy i spiewy.

Adolf czuł się lepiej dnia tego, z pomocą siostry zwłókł się z łóżka i obłożony poduszkami, usiadł na fotelu w salonie, bo już był tak osłabiony, że o własnej sile trudno mu się było utrzymać.

Był on dnia tego nie taki jak zwykle, łatwiej oddychał, ale pomimo to, był milczący i posępny. Ani złote promienie słońca, ani obecność Maryni, która dzień ten przepędzała przy nim, nie zdołały razjaśnić jego twarzy. Czasem tylko podnosił do czoła dłoń Maryni, w czasie gdy druga ręka blada i przezroczysta, spoczywała na jej ramieniu.

Niedziela cięższą była do przebycia dla Felicji, niż dnie inne. Może ta miłość nad brzegiem grobu, przejmowała ją żalem. Może czyniła zwrot do własnej doli i zapypywała: dlaczego umiera on, kochany, a nie ona, której niktby nie płakał? Dusił ją atmosfera domu; przychodziły na nią chwile, gdzie byłaby chciała skryć się przed oczami świata całego, pod pozornym jej spokojem wrzały takie burze, że byłaby gryzła własne ciało, lub biła głową o twarde głązy.

Nikt nie domyślał się tego, patrząc na jej bladą twarz i na oczy, które wlepiła w ziemię.

Tymczasem w koło niej brzmiały na wszystkie strony

wesołe głosy, dzieci na dziedzińcu śmiały się i swawoliły, z ulicy dochodziły jakieś skoczne tony, wygrywane przez katarynkę, a w ogrodzie, do którego dotykał jedną ścianą wąski dziedzińczyk, na szczytach drzew świergotały radośnie wróble i szczygły.

Pani Słowska, patrząc na Adolfa, mówiła coś z uśmiechem. Felicya nie dosłyszała wszystkiego, tylko wpadły jej w ucho słowa: „Jak będziesz zdrow“.

I zazdrościła matce wiary w powrót do zdrowia syna, zazdrościła jej niewiadomości.

A syn odpowiadał niecierpliwie:

— Ja tak wolno do zdrowia powracam... tak jestem osłabiony... Ale niechno potrwa to ciepło!

Uśmiechał się pełen nadziei i zwrócił się do Felicyi.

— Konrad ci mówił, kiedy będę mógł wyjść wreszcie. Szeptaliście coś z sobą.

Felicya zadrżała.

On mówił jej, że życie jego liczyć można już tylko na dnie, na godziny... że powinna być na wszystko przygotowaną.

— No! kiedyż to on obiecał? — pytał natarczywie chory, nie odbierając natychmiast odpowiedzi.

— Wkrótce, wkrótce! — wyszeptała zdławionym głosem.

— Och! ten Konrad! — mruknął Adolf.

Bo jak wszyscy nieuleczalni, wołał zwałać winę na doktora, niż na chorobę.

Felicya powstała nagle. Nie mogła wytrzymać tu dłużej. Była to godzina niesporów, mogła pójść na chwilę do kościoła. W domu nie była potrzebna.

Kościół pomimo słonecznego dnia, pełen był w tej

chwili tajemniczego półcienia; w głębi na wielkim ołtarzu jaśniały mdłym blaskiem zapalone gromnice, gdzieniegdzie migały płomyki lamp kolorowych, unosiły się obłoki kadzideł, rozbrzmiewały chóralne pienia i odzywały się poważne dźwięki organów. Kościół był dla niej zbawczą przystanią, dążyła do niego z utęsknieniem. Na progu samym spotykały się tu dwa odrębne światy, jeden obłany jaskrawem światłem dnia, ruchliwy, gwarny, zajęty codziennymi sprawami i troską, drugi idealny, mistyczny, pełen ukojenia i powagi, odrywający od nędzy, smutków, zawodów i bólów, dźwięczący zapowiedzią wiekuistego szczęścia, spokoju, harmonii.

Weszła doń, przejęta więcej jeszcze niż zwykle mistycznym dreszczem; oblała ją całą poważna, brzmiąca, wonna atmosfera świątyni, chłód jej orzeźwił zgorączkowaną głowę, uspokoił na chwilę przynajmniej zbolełe serce; rzuciła się na marmurową posadzkę, niby na łono pocieszycielki, kryjąc twarz w dłoniach; powieki jej nabrzmiwały łzami, a łzy te zdawały jej się bez goryczy płynąć dwoma strumieniami, jakby z niewyczerpanego źródła.

„Przed tak wielkim Sakramentem...” zabrzmiał kościół zbiorowym głosem tłumu.

A ona powtórzyła z głębi serca: „Przed tak wielkim Sakramentem”. Zapomniała znów o świecie. Indywidualność własna, którą czuła samem cierpieniem, ginęła wśród tłumu otaczających, jak głos jej ginął pochłonięty chórem potężnym. Nie była więcej nieszczęśliwą, zawiedzioną, smutną kobietą; czuła się częstką zgromadzenia wiernych, z którymi łączyła ją jedna modlitwa.

Dopiero gdy śpiewy umilkły, gdy tłum wielką falą wylał się z kościoła, Felicya podniosła splakane oczy.

W tej chwili jednak, jedna po drugiej, zaczęły wychodzić kobiety, należące do pobożnego kółka, z którymi spotykała się niegdyś codziennie; pomiędzy nimi była i Kordulska.

One wszystkie poznały Felicyę i witały się z nią serdeczniej po tym długim czasie niewidzenia, niżeli dawniej. Uwiadomione przez Kordulską o chorobie brata, wszystkie dopytywały się o niego, ofiarowywały swoje modlitwy.

Wprawdzie nie było to wszystko, czego potrzebował chory. Ale Felicya nie pomyślała o tem. Nie popsuło ją życie zbytkiem współczucia. W strasznem osamotnieniu, w jakim się znalazła, nawet troskliwe słowo zdawało jej się ulgą. A potem wszakże i materyalna pomoc przyszła jej z tego koła, wszakże Kordulska wynajdywała jej ciągłą robotę, biegała za nią. I ona także była na niesporach, tembardziej, że odprawiało się przy nich majowe nabożeństwo.

— No i jakżeż tam u was? — zapytała protekcyjnie, chwytając za ramię Felicyę.

Było to bardzo niezręczne pytanie. Felicya uczuła, jak ból uspokojony na chwilę, znowu odezwał się w jej sercu.

— Adolf dziś ma się trochę lepiej — szepnęła.

Stara panna wstrząsnęła głową.

— Tak to zawsze bywa ku końcowi — wyrzekła. — Chory sądzi się uleczonym, robi projekta, każe sobie przygotowywać rzeczy do wyjścia, a tymczasem nie wyjdzie już nigdy, wyniosą go, wyniosą... Suchoty nikomu nie przepuszczą. Oho! widziałam ja to nieraz.

Felicya smutnie spuściła głowę.

— Czasem nawet bywają tak dobre pozory, że wszyscy uwierzą w polepszenie i łudzą się razem z chorym. A to na nic!

— Ja się nie łudzę — wyrzekła biedna dziewczyna.

— Mówię, żebyś pani była na wszystko przygotowaną. Widziałam Adolfa.

Stara panna miała najlepsze chęci, przecież słowa jej były okrutne.

Felicyi toż samo prawie powiedział Konrad, tylko powiedział w inny sposób, odpowiadając na jej natarczywe pytania.

— Wszyscy jesteśmy śmiertelni — ciągnęła dalej w sposób pouczający Kordulska — a tak jak jest, to do prawdy lepiej będzie i dla was i dla niego samego, gdy prędzej skończy.

— Nie mów pani tak — przerwała błagalnie Felicya — ja tego nie pomyślałam nigdy.

— I cóż ztąd, przecież on męczy tylko was i siebie. Zresztą cóż robić, taka wola Boża, przyjąć ją trzeba.

Odpowiedzi na podobne słowo być nie mogło, ale nie było ono pociechą.

Felicya więc słuchała jej w milczeniu, gotując się znowu wziąć na barki swój ciężar i zwolna, w towarzystwie ciągle coś dowodzącej starej panny, szła wąskim trotuarem, potrącana przez przechodniów, kiedy niespodzianie spotkała się oko w oko ze zdyszaną Zosią. Służąca byłaby nie poznała może swojej pani, która nie zważała na przechodniów, gdyby nie Kordulska. Ta zobaczyła ją odrazu i zatrzymała.

— Cóż się stało? — zapytała.

Panicz konał. Zosia biegła po księdza.

Słyszając to panna Kordulska, o mało nie wykrzyknęła tryumfalnie: „A co, nie mówiłam!“ Wstrzymała się jednak, widząc kredową bladość Felicyi, tylko zwycięskie pióro na jej kapeluszu trzęsło się przez chwilę.

W mgnieniu oka stara panna zrozumiała ważność chwili i objęła komendę.

— Wracaj do domu z panienką — wyrzekła — wskazując jej chwiejącą się Felicyę — ja pójdę po księdza i przyprowadzę go zaraz.

Pobiegła pędem napowrót ku kościołowi. Felicya chciała także iść śpiesznie, chwytając się murów, nie przerywając słowem jednym Zosi, która opowiadała, jak raptem Adolfowi krew się rzuciła, jak panna Marynia pobiegła po doktora, ją posłała po łód, a starsza pani łamała ręce i zawodziła; jak przyszedł z panną jakiś stary doktor, po kiwał głową i powiedział, że ksiądz tu potrzebniejszy od niego.

Felicya spoglądała na nią szklistem i oczyma.

— Idźmy, idźmy — powtarzała machinalnie.

Rzeczywiście, Adolf był konający. Chwila ostatnia, jak często bywa w tej strasznej chorobie, przyszła nagle, niespodzianie, w czasie pozornego polepszenia.

Z głową zwieszoną na poduszki, był teraz bez głosu, bez tchu prawie, wodził w koło przerażonemi oczyma. Nie rozumiał on, co się z nim działo, ale ogarniała go jakaś nieznana potęga, było mu dziwnie mdło, słabo, duszno.

Widok rozpaczki matki nie objawił mu nic, przywykły był do jej łez, wyrzekań, trwogi. Łkania Maryni kładł na karb jej troskliwości, albo też nie zdawał sobie z niej sprawy; umysł jego, zawsze niejasny, teraz był zupełnie zmaćcony.

Dopiero, kiedy panna Kordulska przyprowadziła księdza w białej komży, z olejem świętym, zrozumiał, że umiera; zaczął wtedy drzeć na całym ciele, ręce jego wyciągnęły się naprzód nerwowym ruchem, jak gdyby chciał oddalić od siebie tę straszną, ogarniającą go potęgę. Przemówić nie był w stanie, tylko wzrok jego, pełen niewypowiedzianego przerażenia, zwracał się z kolei do każdego z obecnych, jak gdyby szukał u nich nadziei lub ratunku.

Felicja stała przy nim z gromnicą w ręku, blada, zeszywniała, jak posąg. Marynia ukrywszy twarz w dłoniach, klęczała, a całą jej postać wstrząsały spazmatyczne łkania; pani Słońska dostała nerwowego ataku, na który nikt zważać nie był w stanie, Zosia nawet płakała głośno. A przez drzwi otwarte ukazywały się ciekawe głowy sąsiadów, którzy zbiegli się za księdzem.

Wśród tego wszystkiego, panna Kordulska wyglądała jak mistrz ceremonii smutnego obrzędu. Była w nieustannym ruchu, a wśród ciasnego mieszkania, pełnego w tej chwili, widać było tylko sterczące pióro przy kapeluszu, obracające się tu i tam. Poprawiała gromnicę w drżących rękach Felicji, dopomagała księdzu, który z kolei kładł olej święty na nogi, piersi i ręce umierającego, rozporządzała obecnymi. Sąsiadce, którą znała z widzenia, kazała pilnować, by złodziej nie skorzystał z zamieszania, a przytem każdemu z rodziny mówiła słowa pociechy, a przynajmniej słowa, które w jej przekonaniu, pociechą być miały, jak np.: „Trudno, wszyscy jesteśmy śmiertelni“. „Ot, lepiej, że się to raz skończy“. „Z suchot nikt się nie wyleczy“. „Adolf męczył się tylko sam i was męczył“.

„Mówiłam dawno, żebyście się przygotowały na tę stratę“.

Mowy te, zwracane po kolei do Felicyi, pani Słońskiej, Maryni, przerywała słowami modlitwy. Albo też z sąsiadkami wspominała o bliskim pogrzebie, pytała się gdzie dostać tanią trumnę, bo umarłemu z tego nic nie przyjdzie, w jakiej go pochowają, a pieniądze oszczędzone lepiej dać na mszę świętą za jego duszę.

Mówiła to wprawdzie półgłosem, szeptem nawet, przecież kto wie, czy umierający jej nie słyszał, bo oczy jego szkliste stawały się coraz bardziej przerażone, pierś jego pracowała gwałtownie, a na ściągniętych rysach, na które występował pot śmiertelny, malowała się trwoga granicząca z rozpaczą. Poruszał rękami, jakby chciał coś uchwycić, co wymykało mu się z ujęcia, a z ust wyrwały się bezładne dźwięki, które napróżno w słowa powiązać usiłował.

Powiadają, że często w chwili śmierci, w oczach człowieka staje życie całe z szeregiem walk, trosk, cierpień i radości, że streszcza się ono i rozjaśnia w ostatniej godzinie. Być może, iż coś podobnego działo się w myśli Adolfa; może rozumiał teraz marność własnego istnienia, może stawało mu przed oczami pytanie, dlaczego tyle się nakłopotał, naciерpiał i nic nie osiągnął z tego co pragnął?

— Maryniu!... Felo!... — szepnął wreszcie zduszo-
nym głosem, czyniąc wysilenie wielkie.

Felicya zrozumiała myśl jego, skinęła na Kordulską, a ta zbliżyła się do Maryni klęczącej w kącie z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Chodź — wyrzekła — on chce cię pożegnać!...

Ale Marynia cofnęła się przestraszona. Była młoda, po raz pierwszy widziała śmierć z tak bliska i to śmierć ukochanego.

— Chce cię pożegnać — powtórzyła ostro stara panna, podnosząc ją prawie gwałtem.

— Ja nie chcę! ja nie mogę na to patrzeć — szepnęła wśród łkań dziewczyna.

— Kiedy on to może przecierpieć, ty na to patrzeć możesz — odparła szorstko Kordulska.

Miała słusność i Marynia zrozumiała to zapewne. Drżąca, blada jak opłatek, zbliżyła się i padła znów na kolana przy Adolfie.

Coś na kształt uśmiechu ukazało się na jego twarzy. Usiłował wyciągnąć ku niej rękę. Felicja zrozumiała to i włożyła zimną dłoń jego w rękę narzeczonej.

Wówczas na tej znekanej, przerażonej twarzy ukazała się pogoda dziwna.

— Felo!... Maryniu!... — wyszeptał jeszcze — już...

I z tem „już“ tchnienie jego uleciało. Już! Czy słowo to znaczyć miało, że walka życia skończona, czy było początkiem frazesu, który pozostał niedopowiedziany, czy też streszczało to całe marne, nędzne, nierozwikłane istnienie? Czy dźwięczała w niem radość wyzwolenia, czy żal niespełnionych nadziei i zamiarów?

Skończył tem zagadkowym wyrażeniem.

Przez chwilę obecni nie zdawali sobie sprawy z tego, że śmierć już nastąpiła. Felicja uwierzyć w to nie mogła, Marynia niewiedziała co się z nią działo. Dopiero Kordulska baczną na wszystko, zobaczyła, iż oczy Adolfa zasły bielmem.

— Umarł! — zawołała z rodzajem tryumfu. — Panie, świeć nad jego duszą!

Zbliżyła się i chciała zamknąć mu oczy. Ale Felicya sama spełniła tę ostatnią posługę i drżącymi rękami przywarła mu powieki. Tutaj jednak siły ją opuściły i ze spazmatycznym płaczem upadła na ciało.

Brat, było to, co jeszcze najdroższego posiadała na świecie.

Rozpoczął się głośny lament.

Kordulska okazała się teraz opatrnością pozostałej rodziny. Ona, co już grzebała tyle ludzi, wiedziała jakie formalności spełnić należy i zajęła się nimi energicznie.

Wiedziała, że środki Felicyi były bardzo małe, a teraz zupełnie wyczerpane i starała się koszta zredukować, o ile to było możebne.

Biegała więc na miasto, powracała to z babami kościelnymi, które ciałem zająć się miały, to ze stolarzem, który wziął miarę na trumnę, przemawiała zdawkowemi pociechami do pani Słońskiej, do Maryni, bo biednej dziewczynie zdawało się, że tu jest właściwe jej miejsce.

Należało wprawdzie zabrać rodzinę z tego ciasnego mieszkania, ale o tem nie było co myśleć. Z sąsiadami Słońscy znali się zaledwie z widzenia; byli to ludzie z odmiennego świata, rzemieślnicy po większej części, przytem wszystkie mieszkania w tym domu były ściśle zastosowane do potrzeby. Innych znajomych nie mieli, a zresztą gdzie ich było szukać w tej chwili, Kordulska zaś nie posiadała własnego domu, nikt nawet nie wiedział na pewno gdzie mieszkała.

Ciało więc postawiono w ostatnim pokoju, który

w czasie choroby był pokojem Adolfa; został on nim jeszcze po śmierci jego. Kobiety skupiły się w saloniku.

Kiedy jednak stolarz przyszedł brać miarę na trumnę, Felicja zbudziła się na chwilę do realności życia. Wśród rozpacz, w jakiej była pogrążona, przeświecała myśl, że śmierć jest nie tylko stratą i nieszczęściem, lecz także kosztem wielkim, a na opędzenie jej, ona nie miała nic prawie.

Z przerażeniem podeszła do Kordulskiej, zwierając się ze swego położenia. Ale stara panna wiedziała o tem dobrze i miała swój plan, nie uważała jednak za stosowne podzielić go z Felicją, albo też zasięgnąć jej rady. Powiedziała jej tylko, by była spokojną.

W innej chwili zapewnienie to nie wystarczyłoby Felicji, teraz jednak była tak znękaną, tak złamaną walką i cierpieniem, iż nie była zdolną pytać o więcej.

Po dniu słonecznym zapadła noc ponura, bez gwiazd i księżyca. W saloniku panowała głucha cisza. Zosia zapaliła lampę, której światło chwiało się i migotało z powodu otwartych okien. O zwykłej godzinie podała nawet samowar, ale stał on syczący na stole, a nikt nie pomyślał wcale o zrobieniu herbaty.

Kobiety siedziały milczące obok siebie; czasem jedna z nich wybuchała głośnym płaczem lub wyrzekaniem; czasem głębokie westchnienie, podobne do łkania, wyrывało się z ich piersi. I znów była cisza.

Potem Zosia chciała posłać łóżko, prosiła, żeby zeszyły z kanapy, ale nie słuchano jej. Nawet pani Słońska dnia tego nie myślała o sobie. Śmierć Adolfa była dla niej ciosem tem straszniejszym, że niespodziewanym. Cios ten przygniół nie tylko jej serce, ale zniweczył wszystkie

nadzieje przyszłości lepszej; Adolf był zawsze w jej przekonaniu głową i podporą rodziny; marzyła o jego karierze, wierzyła, pomimo smutnego doświadczenia, że on uczyni ją jeszcze bogatą i szczęśliwą. Wobec śmierci, powstawały te wszystkie urojenia z nową siłą, opromieniły zmarłego w ten sposób, iż pani Słońska opłakiwała w dobrej wierze nie tylko jedynaka syna, ale z nim razem ostatnie złudzenia i nadzieje.

Teraz życie jej było już tylko beznadziejną pustynią, oczekiwaniem grobu, bez jednego jaśniejszego promienia w ponurej drodze, która do niego wieść miała. Była to najwyższa boleść, jaką odczuć mogła, boleść egoistyczna. Któż jednak kiedy zanalizuje wiele egoizm¹ jest w cierpieniach ludzkich?

Nazajutrz panna Kordulska w swoim nieśmiertelnym kapeluszu ze sterczącym piórem, który zimą i latem nosiła, zadzwoniła rano do mieszkania Konrada. Mniej cierpliwa jednak od Felicyi i zwykłych pacjentów doktora, nie chciała czekać na jego przebudzenie i bez ceremonii żadnej kazała obudzić doktora, a gdy służący, zmierzwszy ją nieufnym okiem, nie myślał usłuchać tego rozkazu, rozgniewała się bardzo, zaczęła wołać, że przychodzi z powodu śmierci jednego z serdecznych przyjaciół doktora, że jeżeli ją natychmiast do niego nie zaprowadzi, straci miejsce z pewnością; słowem, narobiła takiego hałasu, że Konrad się obudził i wybiegł na wpół ubrany dowiedzieć się co to znaczy.

Ujrzawszy starą pannę, chciał się cofnąć, ale ona nie pozwoliła na to.

— Nic nie szkodzi! nic nie szkodzi! — wołała z powodu jego niekompletnej toalety — ja muszę się z panem

konsyliarzem rozmówić! Ja po to przyszłam, a czekać nie mam czasu!

I zwycięskie jej pióro posuwało się trop w trop za Konradem.

— Czegóż pani sobie życzy? — spytał wreszcie ten ostatni. — Zapewne kto chory?

Stara panna nie dała mu dokończyć. Podniosła w górę zwykłym sobie ruchem rękę, której suche i spiczaste palce wyglądały z rozprutych rękawiczek.

— Nie idzie tu o chorego!

— Ależ w takim razie — przerwał Konrad.

Nakazała mu znów milczenie energicznym ruchem i wyrzekła uroczyście:

— Adolf umarł!

Konrad spodziewał się tej wiadomości, wiedział od dawna, że godziny Adolfa były policzone, że nic ich przedłużyć nie mogło.

— Aa! — powtórzył — Adolf umarł.

Zdawał się nie pojmować dlaczego obudziła go z tego powodu. Ona przecież nie zostawiła go długo w niepewności pod tym względem.

— Pan jesteś jedynym przyjacielem Słońskich w Warszawie? — spytała.

— Zdaje się — odparł — że i pani się do nich liczysz.

— Och! co tam ja! — ofuknęła go prawie, a potem dodała, powracając do zwykłego tonu. — Pan wie, że rodzina ta jest uboga, że...

— Ach! więc tu chodzi o pieniądze! — zawołał zawstydzony, że potrzebował, by mu to przypominano.

— Naturalnie, czy to pan nie wie, że na świecie wszystko kosztuje i chrzest i wesele, a najwięcej pogrzeb.

— Prawda! prawda! — powtarzał — że ja też o tem nie pomyślałem.

Kordulska patrzyła na niego przez chwilę. Miała ochotę zawołać: „O czem też pan myślisz?“ Ale nie wypowiedziała tego. Przyszła tutaj z pewnością wiedzona chęcią niesienia pomocy Felicyi, kto wie jednak, czy pod tą chęcią nie kryła się ciekawość, czy nie zapragnęła poznać bliżej bohatera romansu, mającego całą woń skandalu i zakazanego owocu, czy nie miała ochoty wtrącić się do spraw jego i wypowiedzieć to wszystko, co o jego postępowaniu myślała?

Tymczasem Konrad poszedł do biurka, wyjął parę tęczowych papierków i z nimi powrócił do panny Kordulskiej. Przypomniał sobie teraz, że spotykał ją nieraz u Słońskich, że zajmowała się ona gorliwie chorym i jego rodziną.

Podał jej pieniądze.

— Weź to pani — zawołał — użyj jak uważasz, dziękuję, że udałaś się do mnie.

Kordulska stała zdumiona jego hojnością, obracając w rękę cenne papierki.

— Ma się rozumieć — mówił dalej Konrad — nie trzeba, żeby panna Felicya wiedziała skąd pochodzi ta pomoc...

— A dla czegoż nie ma wiedzieć? — spytała szorstko...

I nie czekając odpowiedzi, ciągnęła:

— Cóż to złego pomoc ludzka? Kto może wiedzieć, czy jej potrzebować nie będzie? Wstydzic się ją przyjąć,

to pycha... A jeszcze od przyjaciół. Pan masz w Felicji prawdziwą przyjaciółkę. Czy pan wiesz o tem?...

— Wiem pani, — odparł pośpiesznie, zmieszany bystrem spojrzeniem starej panny, której świdrujące oczy były w niego wlepione — a jednak jestem pewny, że mówiąc to, wyrządziłabyś jej pani wielką przykrość, kto wie nawet, czy chciałaby przyjąć moją pomoc; ofiarowywałem ją tyle razy...

— Widać nie umiałeś pan ofiarować — wyrzekła ostro.

Chciała znowu coś dodać, ale Konrad zapewne domyślił się tego, bo wyrzekł chłodno z odcieniem dumy:

— Być może, pani, każdy czyni co może i jak może...

Zapanował już nad pierwszym wzruszeniem i pragnął pozbyć się starej panny, która miała widoczną ochotę dalej prowadzić rozmowę.

— Są ludzie — zaczęła niezrażona Kordulska...

Ale on słuchać jej nie chciał.

— Daruje pani — przerwał stanowczo — jestem bardzo zajęty... czekają na mnie... Gdyby potrzeba było więcej pieniędzy, zechciej pani napisać...

Usunął się do swego pokoju. Przeszkodzić mu nie mogła. Chwilę jeszcze stała oglądając się po salonie jego, gniewna pomimo osiągniętego rezultatu, obracając w rękę odebrane papierki, jakby na świadectwo, że chodziło jej tutaj więcej jeszcze o co innego, niż o pomoc dla nieszczęśliwej rodziny.

Pomimo tego, co Konradowi mówiła, okazała się jednak roztropną, a ponieważ nie była wcale pewną, jakby

datek jego został przyjęty przez Felicję, wolała użyć go, nie zdradzając ręki, z której pochodził...

Pogrzeb odbył się więc bardzo świetnie, stosunkowo do stanu biednej rodziny.

Kordulska sama zarządzała wszystkim, z góry oświadczwszy, iż wszelkie kłopoty i wydatki bierze na siebie.

To też biegła po całym mieście, po biurach, kantorach, zakrystyach; zajmowała się smutnym obrzędem, jakby największą uroczystością, aż gdy wreszcie w dzień oznaczony, czterokonny karawan, poprzedzony licznym szeregiem księży, ruszył z przed kościoła i kiedy nieliczna gromadka znajomych i kolegów zmarłego podążyła za trumną, a grono pobożnych przyjaciółek Felicji, należących wraz z nią do bractw różnaitych, otoczyło ją, oddając ostatnią posługę jej bratu, nie mogła powstrzymać wykrzyknika, który wyrwał się z jej ust, prawie radosny:

— A co! jaki pogrzeb!

— Jaki pogrzeb — powtórzyły zachwycone kobiety — sam ksiądz Bronisław prowadzi kondukt.

Szczęściem Felicya nie słyszała tych słów, ona szła zapłakana, wspierając matkę. W tej chwili nie widziała ani wspaniałego karawanu, ani garstki uczestników pogrzebu, ani księdza Bronisława, ani nawet Konrada. Ten z obowiązku pokazał się na pogrzebie, a sam chociaż zbliżył się i przemówił słów kilka do rozpaczających kobiet, zdawał się unikać starannie dłuższej rozmowy.

Nie uniknął jednak panny Kordulskiej. Dojrzała go najpierwsza swym bystrym wzrokiem w orszaku pogrzebowym i chociaż umyślnie opóźniał się i zostawał w tyle, potrafiła go zaczepić.

— A co — zapytała tryumfująco — jaki pogrzeb! Powinieneś mi pan podziękować.

— Jestem pani prawdziwie wdzięczny — odparł sztywno.

Stara panna nie zwróciła na to najmniejszej uwagi i mówiła dalej:

— Z pieniędzy, jakie mi pan dałeś, zostało mi jeszcze parę rubli.

— Och! pani — zawołał — czyż brakuje ubogich, którymbyś tę resztę rozdać mogła.

— Ubogich jest bardzo dużo — odparła opryskliwie, patrząc na niego — a najbiedniejszymi nie są wcale ci, co wyciągają rękę i napastują przechodniów.

— Jeśli mogę być za pani pośrednictwem pomocnym panie Felicyi i jej matce... — zaczął znowu.

— Wiesz pan dobrze, iż nie są to osoby, coby przyjęły jałmużnę; Felicya pracuje i da sobie radę teraz, jeśli ją Bóg uchroni od choroby.

Milczał, bo słowa jej nie wymagały koniecznej odpowiedzi.

Pogrzeb ten towarzysza lat dzieciennych przejmował go smutkiem, a potem było coś dziwnie smętnego w tem marnem życiu młodego człowieka, którego udziałem była tylko walka nad siły i który padł na początku drogi swojej, niczego się nie dobiwszy, niezdolny nawet zrozumieć powodu swych niepowodzeń.

— Biedny Adolf — szepnął, spoglądając na grupę złożoną z matki, siostry i narzeczonej jego.

— Co, on biedny? — ofuknęła go stara panna — przestał się męczyć i koniec, światłość wiekuista niech mu świeci — dodała pobożnie. — Biedniejsi ci, co zo-

stali. Czemu pan o nich nie myślisz i nad nimi się nie użalasz!

— Przeciwnie — tłumaczył się Konrad — lecz cóż mogę dla nich uczynić?

— Co? pan doprawdy zapytujesz o to?

I zanim zmiarkował, co uczynić chciała, pochwyciła go za ramię i wyrzekła:

— Co? oto ja panu powiem: ożenić się, jak Pan Bog przykazał, z uczciwą panną, z dobrą katoliczką, z zacnego domu, która na pana patrzy jak w obraz cudowny... zamiast... zamiast, odpuść Panie.

Chciała dodać: „bałamucić się z jakąś żydówką“. Ale jakkolwiek śmiałą była Kordulska, spojrzawszy na Konrada, słów tych nie wypowiedziała.

Ramię jego, którego uczepliła się z całych sił, wyrwało się z jej ujęcia; wzrok padał na nią piorunujący.

Ona spiorunować się jednak nie dała.

— Czy pan myśli — zawołała, stawiając mu czoło — że świat cały o tem nie gada? Ja postanowiłam pana o tem ostrzedz, bo masz dobre serce i szkoda cię, należałoby to raz skończyć...

Przez chwilę Konrad stał blady z przyciętą wargą, którą przygryzał aż do krwi. Miał niezaprzeczoną ochotę zmiażdżyć tę małą istotkę, co tak zuchwale dotykała tajemnic jego serca. Kroczyła ona przy nim z wyzywającym piórem na kapeluszu, z ręką podniesioną, niez mieszana wcale; nie zważała zgoła na jego milczący gniew, tak dalece, iż gotową była mówić dalej.

— Masz pani słusność — syknął przez zaciśnięte zęby — skończę to prędzej, niż ludzie sądzą.

Kordulska chciała odpowiedzieć, ale nie miała na to czasu. Konrad oddalił się szybko.

— Przynajmniej powiedziałam mu, co o tem myślą wszyscy — szeptała sama do siebie — co powinien zrobić.

I mocno zadowolona z samej siebie, podreptała do grupy kobiet i zaczęła im opowiadać co uczyniła.

Gdyby jednak panna Kordulska obdarzoną była jasnowidzeniem lub mogła odgadnąć co Konrad robił w tej chwili, niezawodnie tryumf jej byłby o wiele mniejszy.

Odłączył się on szybko od żalobnego konduktu. Ostatecznie uczynił wszystko, co było w jego mocy; leczył Adolfa, nie szczędząc czasu, ani starania.

Przyszedł w pomoc jego rodzinie, gotów był uczynić więcej jeszcze i opiekować się nią zawsze. To jednak nie upoważniało dziwacznych roszczeń Felicji... Zrozumiał je teraz dopiero z niebacznych słów starej panny. A skoro przypomniał sobie wiele scen, słów i spojrzeń przelotnych, miłość Felicji stała się mu wyraźną. Nie wzruszyła go ona jednak wcale. Przeciwnie, wydała mu się śmieszną i przykrą. Czuł, że nie mógł teraz bez wstrętu myśleć o towarzyszce swoich lat dzieciennych, lub spotkać się z nią bez przymusu. Od tego przymusu uwalniała go wprawdzie śmierć Adolfa. Obecnie wypadało mu już tylko pójść za dni kilka wypowiedzieć Słońskiemu swoje ubolewanie... A potem? Potem nie czuł się już do niczego więcej obowiązany. Stosunek ten powinien się być rozwiązać, jak tyle innych stosunków ludzkich.

Z kolei myśl jego zwróciła się do Chai. Skoro już świat cały znał jego tajemnicę, nie miał się co ukrywać,

ani walczyć z własną namiętnością. Kochał ją pomimo wszystkiego, co stało pomiędzy nimi. Dla czegoż nie miał jej tego raz wypowiedzieć. Wszak zamiary jego były czyste, uczciwe, chciał ją podnieść do godności żony, chciał być ojcem tego dziecka, które jemu zawdzięczało zdrowie, może życie.

Po tych smutnych, drażniących scenach, w których uczestniczył, potrzebował zobaczyć znowu jej pogodne spojrzenie, wyczytać na twarzy ufność bez granic.

Szedł szybko dobrze znaną drogą.

U Chai była dnia tego wielka uroczystość. Resia po raz pierwszy wyjść miała na świeże powietrze. Konrad pozwolił na to już od dni kilku, czekano tylko by wiosenne słońce było dość ciepłe, by wiatr ostry nie raził dziecka przywykłego oddawna do atmosfery zamkniętego pokoju.

To też ruch niemały panował w małym mieszkaniu. Chaja biegła jakby oszalała. Przygotowała na dzień ten wszystko, co mogła najpiękniejszego wymyślić dla swojej jedynaczki. To też Resia wyglądała jak dziecię najbogatszych rodziców. Białą jej twarzyczkę okalał wielki biały kapelusz z strusiem piórem, spływającym aż na plecy. Niebieska aksamitna sukienka przystrojona była koronkami, a biedne jej chore nóżki, nóżki, które tak dawno nie stąpały po ziemi, obute były w śliczne ze złocistej skórki buciki i pończoszki błękitne jak suknia.

I Chaja i służąca i Resia były tak zajęte, że nie słyszały, jak Konrad zadzwonił. Okna na dziedziniec były pootwierane, a gwary dzieci biegających po nim, ich krzyki radosne, głużyły wszystkie inne dźwięki.

Konrad, nie mogąc się doczekać, by mu otworzono,

a słysząc ruch w mieszkaniu, wszedł na dziedziniec, zobaczył otwarte okna, zbliżył się do jednego z nich, przez firankę zieleni zapuścił wzrok niedyskretny w głąb pokoju i ujrzał tę scenę, godną pędzla malarza.

Ustrojona Resia stała na środku pokoju, przyglądając się z zachwytem własnej osobie, która odbijała się w zwierciadle zdjętem ze ściany i postawionem na ziemi, ażeby w całej świetności zobaczyć się mogła. Służąca zapinała jej z tyłu sukienkę, a matka klęczała przed nią, wkładając na drobne rączki świeże duńskie rękawiczki.

Widocznie Chaja nic nie szczydziła dla córki w tym dniu uroczystym. Jak matka, która wprowadza dorosłą pannę na bal pierwszy, tak ona pragnęła, by okazała się w całej świetności. Tylko uczucie to było mniej wyrachowane, nie chodziło jej o to, by córka podobała się komu, a w następstwie zrobiła los świetny, jak czynią matki w chwilach podobnych. Ona stroiła ją raczej jak pobożni stroją obraz cudowny, modliła się niemal do swojej Resi, dziękując jej, że była zdrowszą, że uśmiechała się, że mogła utrzymać się na nóżkach, że rozpoczynała zwykłe życie dziecinne zabaw, spacerów. Zachwycało ją to właśnie, czem umęczone są inne matki. Nie wiedziała sama, jakie dobrać jej zabawki; zrujnowała się na nie widocznie, bo na krześle leżała porzucona wielka lalka, mająca towarzyszyć Resi w pierwszym spacerze, z blond lokami, spadającymi na ramiona, niemal tak bogato ustrojona, jak jej mała właścicielka i śliczny wyplatany wózek dla tej lalki i sznur i obręcz i piłka, słowem to wszystko, o czem kiedykolwiek zamarzyło dziecię lub co matka u innych widziała.

Dziecię jednak spoglądało na te wszystkie cacka

obojętnie. Cóż one znaczyły dla niej wobec tego prostego faktu, że miała opuścić pokój, w którym lat pięć przebyła, zobaczyć to wszystko co znajdowało się po za nim. Ładna sukienka stokroć więcej cieszyła matkę, niż ją samą, to też poruszała niecierpliwie nóżkami obutymi w złociste trzewiczki, które z całego stroju podobały jej się najwięcej, powtarzając co chwila:

— Chodźmy już, chodźmy...

Obok dziecka Chaja klęczała w swej zwykłej czarnej, nieco wytartej sukni, bez żadnej ozdoby. Jej cała kobieca próżność przeniosła się na Resię. A jednak jakże słonecznie piękną wydała się Konradowi, pomimo całego zapomnienia o sobie. Matowa bladość jej twarzy zabarwiła się lekkim rumieńcem, purpurowe usta rozchylone uśmiechem, zdawały się pełniejszymi i ponętniejszemi jeszcze niż zwykle, a oczy błyszczały jak dwa słońca w delikatnie wyrzeźbionej twarzy. Znikły z niej cienie smutku, niepokojów, znużenia; promieniała takim szczęściem, że aż łuna blasków padała od niej na otaczające przedmioty, aż uśmiechać zdawały się martwe sprzęty tego pokoju, w którym wszystko jeszcze było w nieładzie, z powodu tak niezwyklej okoliczności, jak ubieranie Resi.

Klęczała profilem tylko zwrócona do Konrada, mógł jednak widzieć jej pyszną kibić i grube warkocze kruczych włosów, które spadały aż na plecy, bo wyciągnęła z nich szpilki ubierając córkę.

— Dzień dobry pani — odezwał się wreszcie Konrad — widząc, że nie odwracała oka ku oknu, choć cień jego dostrzedz mogła łatwo z po za rozczepionych liści palm i azalei.

— Ah! to pan — zawołała radośnie. — Patrz pan, jaka ona śliczna — dodała wskazując mu Resię.

I obejmowała ją namiętym i ostrożnym uściskiem, jakby lękała się ją zadusić w objęciu.

— Chodźmy już mamó, chodźmy — niecierpliwiło się dziecko.

— Zaraz, złotko moje, zaraz moja śliczna — odpowiadała matka — zapinając jej drugą rękawiczkę, zachwycona, szczęśliwa, prawie dziecinna sama.

Uczuła jednak, że coś należało się Konradowi, więc uśmiechnęła się do niego i wskazując go dziecku, rzekła:

— Patrz, pan doktor tam jest, pan doktor!

Ale Resia powtarzała swoje:

— Chodźmy już, chodźmy!

I łącząc uczynek do słów, wyrwała się z rąk matki i pobiegła do kuchni.

— Resiu, ostrożnie, poczekaj, próg, ostrożnie! — wołała Chaja, podnosząc się i biegnąc za nią bez tchu prawie.

Dziecko szczęśliwie ominęło przeszkodę, a widząc to Chaja, zwyciężona wzruszeniem, oparła się o ścianę i łyzy szczęścia gorące, obfite, najrzadsze łyzy na świecie, wytrysnęły z jej oczów.

Wówczas pobiegła do Konrada i zawołała z wybuchem:

— Jam to panu winna!

Wymowne jej oczy wypowiedziały z za łez wdzięczność podniesioną do potęgi, wdzięczność namiętą.

Konrad milczał. Doznawał przykrego uczucia, kiedy nie zważając na niego, cała oddaną była dziecku, ten zwrot sprawił mu ulgę i radość.

— Czy mogę wejść? — zapytał z uśmiechem.

Chaja uderzyła się w czoło.

— O czemże ja myślę? — zawołała. — Widzi pan, oszalałam ze szczęścia.

Pobiegła sama drzwi otworzyć i spotkała się w nich z Konradem.

Był niezwykle blady, oczy jego pałały, a na skroniach wystąpiły żyły i krew tętniała w nich przyspieszonym pulsem. Nie zważała na to, bo Resia zawołała, zwracając się do niego:

— Idę na spacer.

Mała puszyła się, wymawiając te słowa, które dla niej miały uroczyste znaczenie. A przytem lękała się, by przybycie jego nie opóźniło oczekiwanej chwili.

I zwracając się do matki, dodała z despotyzmem rozpieszczonych dzieci:

— Mamo! Chodźmy.

Chaja patrzyła na nią z zachwytem. Nie przyszło jej na myśl, że nie wypadało jej w ten sposób postępować z Konradem. Sięgnęła po kapelusz leżący na stole:

— Widzi pan — wyrzekła — trzeba zrobić co ona chce.

— Jeśli pani pozwoli — wyrzekł — towarzyszyć będę temu pierwszemu wyjściu mojej małej pacjentki.

Chaja spojrzała na niego z pewnem zdziwieniem.

— Doprawdy! — zawołała — pan byś to zrobił, ja nie śmiałam prosić. Może nas kto spotkać z pana znajomych.

— To i cóż? — spytał z mimowolną szorstkością.

— Śmiać się będą — dodała z właściwą sobie pokorą — że pan chodzisz z taką jak ja żydówką.

Zamiast odpowiedzi, podał jej ramię. Palily go jeszcze słowa panny Kordulskiej, pilno mu było rzucić wyzwanie światu całemu, jeśli to świat przemawiał przez jej usta.

— Nie pozwalam nikomu śmiać się z tego, co ja robię — wyrzekł dumnie.

Chaja wahała się chwilę.

— Ja wiem, że pan jesteś dobry, bardzo dobry, dobry, jak nikt na świecie.

Niecierpliwiał się, nie lubił kiedy ona mówiła do niego w ten sposób; pragnął wzbudzić inne uczucie. Zauważyła coś niezwykłego w jego spojrzeniu, lękając się go obrazić dłuższym oporem, cała zarumieniona oparła się u niego.

Konrad miał pierwszy raz na swoim ramieniu jej lekką rękę, za każdym krokiem odczuwał elastyczny, rytmiczny ruch jej ciała; to przejmowało go rozkoszą, skronie jego tętniały coraz gwałtowniej, oddech jego był urywany, ciężki, rumiane fale przechodziły mu po twarzy, a wzrok płomienny szukał jej spojrzenia.

Ale ona była spokojną i poważną jak zawsze. Zawołała na służącą, by zabrała zabawki Resi i poszła z nimi. Dziecko mogło być zmęczone, przewidywała, że ją powietrze rozmarzy. Nawet w tej chwili myślała o dziecku, tylko o dziecku. W czasie kiedy on...

On nie wiedział w którą kierują się stronę; machinalnie szedł za dzieckiem, które prowadziła służąca, tylko cisnął coraz mocniej do siebie ramię kobiety tak, iż czuć mogła gwałtowne uderzenia jego serca.

I znowu spotkał jej wzrok zapatrzonego w dziecię tak, iż zapytać musiał samego siebie, czy ona nie zapomniała

obecności jego. Tonęła oczyma w drobnej postaci Resi, uśmiechała się za każdym jej krokiem, przechylała za jej pochyleniem, wytyżała ucho na jej szczebiotanie.

Weszli wreszcie do ogrodu Krasińskich. Była to godzina upału i ogród był prawie pusty, chociaż woń akacyi i jaśminu unosiła się w powietrzu. Na ławkach, w głębi kasztanowych szpalerów, z rzadka tylko siedzieli starzy ludzie, używający swobodnie wypoczynku; gromadki dzieci bawiły się wesoło w głównej alei.

Był to dzień powszedni; ci co pracują, nie mieli czasu używać świeżego powietrza; ci zaś, dla których każdy dzień jest świętem, zbierali się gdzieindziej. Przechodnie oglądali się za tą bladą, ślicznie ustrojoną dziewczynką, a każde ich słowo pochwały lub litości, chciwie chwytiała Chaja.

— Panie doktorze — wyrzekła wreszcie, uderzona jakimś wykrzyknikiem mijającej ich kobiety — ludzie gotowi sądzić, że jesteś ojcem Resi.

Mówiła to żartobliwie, ale spotkała tak wyrazisty wzrok młodego człowieka, że umilkła nagle.

— A gdyby tak było — szepnął stłumionym głosem, nachylając się ku niej tak, iż czuła oddech jego gorący na czole.

Zatrzymała się nagle i zwróciła do niego, jakby nie dowierzając własnym uszom.

Konrad mówił dalej z prostotą wielkich namiętności:

— Czyż nie rozumiesz pani, że cię kocham, że pragnę nazwać cię moją na zawsze i zastąpić ojca dziecku twojemu...

Stała drżąca i zdumiona, uderzona wyznaniem, o któ-

rem nie pomyślała nigdy. Wielkie jej wyraziste oczy zwracały się ku niemu pełne uczuć, których odczytać nie był w stanie. Rozumiał tylko, że go nie odpychała.

Poprowadził ją ku ławce, posadził na niej, usiadł obok i mówił cichym głosem o tej wielkiej miłości, która zapanowała w jego sercu samowładnie.

Wypowiadał to wszystko, co oddawna działo się w jego sercu: nadzieje, na których opierał swoją przyszłość.

Była pomiędzy nimi różnica wiary — to prawda. Ale czyż codzien współwyznawcy jej nie przyjmowali chrześcijaństwa? Czyż ona, jak niewiasty biblijne, do których była podobną, nie powie przyszłemu mężowi: „Bóg twój będzie moim Bogiem, twój lud moim ludem“. Był wymownym, zapewne jak przekonanie, jak siła uczuć młodych.

Chaja słuchała go, nie przerywając żadnem słowem; słuchała nieruchoma.

Wrażenia nawet słów swoich wyczytać nie mógł z jej twarzy, bo miała głowę pochyloną, a wielkie skrzydła kapelusza zakrywały ją zupełnie. Tylko ręce, które trzymała na kolanach, drżały lekko.

Gdyby w tej chwili byli sami, byłby pochwycił te ręce i nie wypuścił ich, dopóki by nie otrzymał słowa wzajemności. Niestety, sami nie byli, śledziły ich oczy rzadkich przechodniów, a wreszcie Resi, która nie przywykła do towarzystwa i zabawy z rówieśnikami, przechadzała się uśmiechniona, szczęśliwa, tracąc powoli powagę, w jaką oblokła ją choroba.

— Nie odpowiadasz mi pani? — zapytał wreszcie przerywanym głosem.

Podniosła na niego słoneczne oczy, przyćmione łzami, które migotały na długich rzęsach.

— Cóż mam odpowiedzieć? — szepnęła.

— Co?... jedno słowo: że zgadzasz się zostać moją żoną...

— Żoną, twoją żoną... — powtórzyła tak cicho, że zaledwie mógł odgadnąć na jej ustach ulatujące wyrazy.

Ale cisza nie trwała długo.

Chaja, jakby zebrawszy siły lub przemógłszy samą siebie, mówić zaczęła:

— Cóż ja mam odpowiedzieć, zdaje mi się, że to wszystko, co pan mówisz, nie jest do mnie zwrócone. Zdaje mi się to niepodobieństwem, byś pan mnie pokochał, mnie chciał zaślubić... Ja nigdy nie pomyślałam nawet o czemś podobnem...

Chciał jej przerwać, powtórzyć swoje zaklęcia, ona skinęła ręką, prosząc, by jej pozwolił mówić.

— Czemże ja jestem?... Pomyśl pan o tem, prostą kobietą, prostą żydówką... Nie uczyłam się tego wszystkiego, czego uczą się panie i panny, które spotykasz w towarzystwach...

— I cóż to znaczy — zawołał — jeśli tylko kochasz mnie, jak ja ciebie.

Myślała chwilę, jakby uderzona myślą nową, a potem dodała, usiłując powrócić do zwykłego tonu.

— Pan mówił to wszystko tak tylko, nieprawdaż? Pan się namyśli, pan sam powie, że mam słuszność i będziesz znowu dla mnie takim dobrym, jak dotąd.

Głos jej był miękki, błagalny prawie, a wielkie, marzące oczy spoczywały na nim pełne prośby.

Konrad wstrząsnął głową.

— Na co to wszystko — wyrzekł. — Pani musisz wiedzieć, iż nie powoduje mną kaprys chwili, inaczej wyrządziłabyś mi ciężką krzywdę. Od pierwszej minuty, gdym na ciebie spojrział, byłem jak oczarowany, przestałem do siebie należeć.

Powracały mu do pamięci walki, jakie stoczył sam z sobą, ale tego powiedzieć jej nie mógł i umilkł nagle.

Czarne oczy Chai wpatrywały się w niego przenikliwie. Konrad czuł, że one czytały w jego myśli słowa niedomówione.

I była chwila ciszy, w której ważyły się losy ich obojga.

Nie przerywał jej, czekał z bijącym sercem, pożerając wzrokiem tę postać harmonijną, giętką, delikatną a silną, tę twarz wyrzeźbioną, te usta barwy żywego koralu, z których tryskać się zdawała gorąca krew wschodu.

— Panie Konradzie — wyrzekła wreszcie — to, co pan mówiłeś, jest tak nowem dla mnie. Pozwól mi zastanowić się, pomyśleć.

— Daj mi rękę — zawołał namiętnie — myśleć, zastanawiać się będziem potem, razem.

Ale ona przekonaną nie była.

— Nie, nie — szepnęła, wstrząsając głową — to byłoby po niewczasie. Przyjdź pan jutro. Ja teraz nic więcej odpowiedzieć nie mogę. To tak nagle wszystko...

— Gdybyś mnie kochała! — zawołał.

Przerwała mu skinieniem pełnem prośby i pokory razem. A skinieniu temu towarzyszyło takie spojrzenie, że posłusznym być musiał. Przecież ociągał się.

— Pan zawsze byłeś dobrym dla mnie — szepnęła składając ręce — bądź nim dziś jeszcze. Odejdź pan, zostaw mnie, potrzebuję być samą.

— Ale jutro — szepnął — jutro będzie moje.

Podawała mu rękę w milczeniu z zagadkowym uśmiechem na ustach.

Odszedł wreszcie, jednak oglądał się na ławkę, na której pozostała i widział jak goniła go głębokiem spojrzaniem.

Odchodził pełen nadziei, żądanie jej uważał za kaprys pięknej kobiety, lub wyrafinowaną kokieterię, od której widać wolną nie była. Stało się więc, los był rzucony, przyszłość jego rozstrzygnięta, teraz należało mu już poważnie patrzeć w życie, jako mąż, ojciec, głowa rodziny, tembardziej, że tworząc ją, stawał w kolizyi ze społeczeństwem, że powinien się być zahartować przeciw szyderstwu i obmowie, przygotować do walki.

Szedł zamyślony Bielańską ulicą, gdy nagle usłyszał wesoły wykrzyknik:

— A, to Konrad!

Wykrzyknikowi temu wtórował przyjazny głosik kobiety, który powtórzył:

— A, pan Konrad!

I ujrzał naprzeciwko siebie jednego ze swoich kolegów, prowadzącego młodziutką żonę.

— Cóż się z tobą dzieje? — nigdzie cię nie widać, ani w szpitalu, ani na naszych zebraniach lekarskich, ani w świecie, ani przy pracy — pytał mąż.

— I o nas zapomniał pan zupełnie — dodała żona. A potem dorzuciła z uśmiechem:

— Obmawiają pana, że się pan żenisz.

Konrad podniósł nagle głowę.

— Może w tej obmowie jest cokolwiek prawdy.

— Ach, jak to dobrze — zawołała młoda kobieta.

A mąż jej dodał poważnie:

— Rzeczywiście, to bardzo dobrze, raz położy się koniec bezsensownym plotkom, które nie wiem kto o tobie rozpusza.

— Pozna mnie pan ze swoją żoną — szczebiotała młoda kobieta — zaprzyjaźnimy się ogromnie, będziemy się wzajemnie pocieszały, kiedy wy panowie pójdziecie do swoich chorych, do swoich laboratoryów i już nie wiem gdzie więcej. Bo mnie samej nudzi się straszliwie. Ot i teraz odprowadzam męża, który śpieszy się na jakieś konsylium.

Młoda para odeszła, ale myśli Konrada pobiegły inną koleją. Słowa przyjaciela były bardzo znaczące, rozumiał o jakich plotkach wspominał i że jeśli ucieszył się z jego postanowienia, to dlatego, że widział w niem zaprzeczenie wieściom krążącym o jego szalonej miłości. Lekceważył zdanie Felicji, wypowiedziane nieoględnie. Przestroga Kordulskiej mogła popchnąć go tylko do szybszego wykonania zamiarów, świat wzięty ogólnie mógł obchodzić go mało, ale kolega lekarz był echem poważnej jego części, streszczał dla niego sąd najbliższego otoczenia, sąd tych, co stali z nim na jednym szczeblu intelektualnem.

Stanął mu w myśli obraz trudnych stosunków, w jakich się znajdzie w przyszłości i to sprawiło mu pewien kłopot.

„Świat jest głupi“, pomyślał wreszcie, uspakajając sam siebie.

Mówiąc to, miał po części słusność, nie miał jej

przecież w zupełności, bo nie ma reguły bez wyjątku. Sąd świata o jego namiętności właśnie do takich wyjątków należał; odrzuciwszy przesąd i plotki, pozostawała zawsze różnica umysłowego poziomu i większa jeszcze różnica wyobrażeń, poglądów i pojęć, które szczęścia wróżyć nie mogło.

Po jego odejściu Chaja pozostała czas jakiś w ogrodzie. Zamyśloną była bardzo, tak bardzo nawet, że nie zważała na Resię. Ale na jej twarzy nie było znać walki żadnej. Wkrótce jednak czynna natura odzyskała swoje prawa. Chaja powstała, jakby chciała otrząsnąć się z pod wpływu marzeń i spojrzała na starożytny zegarek, który nosiła zawsze przy pasku. Godzina ta przypomniła jej widzieć coś pilnego, bo zawołała służącej, kazała, skoro tylko Resia się zmęczy, odprowadzić ją do domu, a sama śpiesznie opuściła ogród.

Była to właśnie godzina, w której widywała się z panią Bajorską. Może dlatego dłuższą rozmowę z Konradem odłożyła do jutra, zresztą jakiegokolwiek miało być jej postanowienie, nie zapominała o tem, że dotąd słynęła ze słowności i że nie wolno jej było dla niepewnego jutra opuszczać pewnych dzisiejszych korzyści, a przytem Chaja miała swoją ambycję, bo i któż jej nie ma, pragnęła doprowadzić do końca interesy, których wątek trzymała w dłoni.

U państwa Bajorskich nie zaszła w domu żadna zmiana, a przynajmniej żadna z tych zmian tak gorąco pożądaných przez panią Bajorską i jej córki; ani Mania, ani Ludka, ani Janina nie miały narzeczonych, a nawet wszyscy ci, których szczególnie na oku miała naczelnikowa, gdzieindziej zwrócili swoje zabiegi. Nic nie pomogły

wieczory stale dawane tej zimy i uroczę tualety i koncertowa gra najstarszej. Młodzież bywała, rozmawiała, tańczyła sumiennie ze wszystkimi pannami, gdziekolwiek ich spotkała, oddawała wizyty wówczas, kiedy to zwyczaj nakazywał, ale po za tem?... nie było nic wcale.

Pani Bajorska знаła świat i nie można jej było odmówić rozumu, to też pojęła w końcu, że do wydania córek za mąż, należało użyć koniecznie środków energiczniejszych, niż dotąd. Wiedziała przytem, że wiele małżeństw kojarzy się za pomocą podobnych środków, co nie przeszkadza, iż ludzie nie wtajemniczeni sądzą i mówią najczęściej, iż skojarzyły się one z powodu wyjątkowych uczuć.

Pani Bajorska więc po cichu robiła przegląd ludzi, z którychby zięciów mieć mogła i dziś właśnie postanowiła pomówić o tem z Chają, czyli uczynić przedwstępne kroki do urzeczywistnienia swoich zamiarów.

Rozmowa zaczęła się jak zwykle biurowymi sprawami, z temi jednak krótko załatwiła się pani Bajorska, a gdy Chaja zamierzała odejść, zatrzymała ją skinieniem ręki, mówiąc:

— Mam jeszcze coś innego na myśli.

Inteligentne oczy izraelitki spoczęły przez chwilę pytająco i badawczo na pani Zuzannie. Oczekiwała dalszych wyjaśnień bez próżnych słów, z postawą, świadczącą wyraźnie, że gotową była każdą trudność usunąć i każdy rozkaz wykonać.

— Chciałam pomówić o córkach — dodała z pewnem wahaniem pani Zuzanna, bo jakkolwiek postanowiła uciec się do energicznych środków, ostateczność ta drażniła jej macierzyńską dumę.

Chaja zrozumiała to wybornie, bo odparła :

— Śliczne panny! mało takich; gdzie się pokażą, wszystkie oczy zwracają się ku nim. Spotkałam niedawno pannę Maryę z panną Janiną, każdy się oglądał i zapytywał kto one. Ja to najlepiej mogę wiedzieć, bo na mnie nikt nie uważa.

Pani Zuzanna słuchała jej z przyjemnością. Chaja widocznie trafić umiała w jej słabą stronę. Po chwili jednak wyrzekła :

— Ładne są, dobrze wychowane i cóż ztąd?

Owo „cóż ztąd“ brzemiennie było żalem, znaczyło, że świat się na tych doskonałościach poznać nie umiał...

— Co pani chce — pochwyciła Chaja, rozumiejąc już do czego zmierzała naczelnikowa — dzisiaj takie czasy, że z pannami bardzo trudno. Panna Marya i panna Ludwika i panna Janina warte nie wiem jakich mężów bogatych, pięknych, młodych, ale z kąd ich wziąć?

— Janina jeszcze dziecko, z Ludką też śpieszyć się nie ma co — przerwała pani Zuzanna.

Izraelitka szybko pochwyciła ten odcień.

— Albo to i panna Marya śpieszyć się potrzebuje? — zawołała z udanem zdziwieniem.

A potem dodała szybko, jakby po namyśle.

— No jednak kiedy młodsze nadrastają, to zawsze lepiej jak starsza wyjdzie naprzód.

— Otóż to lepiej — przywtórzyła matka — rada, że tak dobrze jest rozumiana.

— To też panna Marya dawnoby już była poszła za mąż — mówiła dalej filuternie Chaja — młodzi panowie to patrzą na nią jak w tęczę, ale coż, dotąd się taki nie

trafił, coby jej był wart. Gdyby to panna Marya chciała...

Kończyła to zdanie powoli, wpatrując się w panią Zuzannę, gotowa zmodyfikować go i obrócić według jej woli.

— Mania jest bardzo rozsądną — wyrzekła naczelnikowa — ona pojmuję, że są ludzie dzisiaj ubodzy i mało znani, którzy jednak mają świetną przyszłość przed sobą, zwłaszcza jeśli znajdą poparcie.

— Ale czy taki będzie śmiał? — spytała Chaja.

— O to właśnie chodzi żeby śmiał — zawołała pani Zuzanna — uszczęśliwiona z obrotu, jaki zręczna izraelitka umiała nadać tej drażliwej sprawie.

— Gdybym ja tylko wiedziała o kogo chodzi?

A potem dodała badawczo.

— Czy to kto z biura? Tam protekcyja najwięcej znaczy.

— Nie, nie — zaprzeczyła Zuzanna. — Co to biuro? Każdy się zestarzeje zanim jakie takie utrzymanie mieć będzie.

— Prawda, prawda — wyrzekła Chaja, jakby uderzona mądrością pani Zuzanny.

— Przyznam się — mówiła ta ostatnia, bawiąc się srebrnym łańcuszkiem, okręconym według panującej mody około ręki — że pragnęłabym dla Mani jakiego młodego adwokata albo doktora. Tacy przy zdolności zawsze do majątku dochodzą. A choćby nawet początki były trudne pomoglibyśmy...

— Zapewne adwokat, doktor, to najlepsza partya — przywtarzała Chaja.

— Ja nawet znam jednego — mówiła dalej pani Zuzanna, bawiąc się ciągle swoją bransoletką — któremu chętnie powierzyłabym szczęście mojej córki; poznałam go tej zimy, tańczył z Manią na wszystkich wieczorach, był nawet u nas parę razy...

— Przecieżby coś na to można poradzić, szepnąć słówko przez jedną lub drugą osobę. Każdy ma kogoś komu wierzy, na którego uważa.

— To właśnie, to właśnie — przywtarzała pani naczelnikowa — ty jesteś rozumną kobietą, pani Chajo, wiesz najlepiej jak do kogo trafić.

Chaja kiwała głową z uśmiechem, czuła, że miała prawo do tych pochwał, że nie były to wcale czcze, światowe komplementa, do których zresztą nikt jej nie przyzwyczał.

— Niech pani tylko powie kto on? — spytała wreszcie.

Pani Bajorska wiedziała dobrze, iż ze wszystkim Chai zwierzyć się mogła bezpiecznie. Powiedziała więc bez wahania imię i nazwisko:

„Konrad Chronowiecki“ i nie uważała wcale, że słysząc je izraelitka drgnęła lekko i że cień różowy przesunął się po jej czole.

Pozostała chwilę zamyśloną, z rękoma zaplecionymi na kolanach, jak gdyby ważąc coś głęboko. Potem podniosła nagle głowę i zawołała z wybuchem:

— Ja go znam, on wyleczył moje dziecko chore od tyłu lat, dziecko, któremu najlepsi doktorzy poradzić nie mogli. On mądrzejszy od nich wszystkich. On będzie sławny, on będzie miał miliony, on powinien być szczęśliwy, najszczęśliwszy na świecie!

Pani Zuzanna spojrzała z pewnem zdziwieniem na Chaję. Nigdy nie widziała jej w takim zapale.

— Alboż nie byłby szczęśliwy z Manią? — odparła z rodzajem wyrzutu.

— No, ja tego przecież nie powiedziałam — poprawiła się Chaja.

Po chwili dodała zupełnie odmiennym tonem, z namysłem widocznym:

— Panna Marya jest piękna, młoda i taka edukowana.

— Każdy mąż — dodała z dumą matka — mógłby się nią poszczycić.

— Prawda, prawda! — szepnęła Chaja. — I panna Marya z pewnością kochałaby go bardzo? — spytała po chwili, patrząc badawczo w twarz pani Zuzanny.

Ona nie obrazila się tem pytaniem, przeciwnie, uśmiechnęła się i rzekła:

— Między nami mówiąc, jest to już rzeczą spełnioną, Mania pokochała się w nim i wybić go sobie z głowy nie może.

Czy tak było rzeczywiście, czy pani Bajorska chciała w ten sposób zyskać sobie gorętsze współdziałanie wdzięcznej Chai — trudno było odgadnąć. Ona także umiała posługiwać się uczuciami ludzkiemi.

Chaja nie domyśliła się tego i zawołała z żywością:

— Jakżeby jego nie kochać?

Ale powiedziawszy to, zatrzymała się nagle; po raz drugi różowa fala przebiegła jej po twarzy.

Po chwili pani Bajorska zaczęła znowu:

— Chodzi tu o szczęście Mani; doprawdy, nie umiałabym rachować w takiej chwili i gdyby małżeństwo przyszło do skutku, miałabyś u mnie pani Chajo 500 rs.

Suma była znaczna, jakkolwiek nieproporcjonalna do usługi, na którą niepodobna ceny oznaczyć; pani Zuzanna wiedziała, że są okoliczności, w których oszczędność jest złą rachubą.

Izraelitka jednak nie słuchała jej z chciwością zwykłą, gdy szło o kwestyę pieniężną; była nawet chwila, gdzie zdawało się, że wprost odrzuci czynioną sobie ofiarę. Powstrzymała się jednak i przyjęła ją głębokiem milczeniem.

Po chwili dopiero odezwała się nagle:

— Więc panna Marya go kocha! kocha bardzo.

Myśli jej zdawały się krążyć około tej zaimprovizowanej miłości.

Pod pozornym spokojem znać było wzruszenie.

Pani Bajorska nie wiedziała co odpowiedzieć, potwierdzając, lękała się spotkać zbyt wygórowane warunki — przecząc, przeczyłaby samej sobie. Chwyciła się więc drogi pośredniej, uśmiechnęła się i wyrzekła lekko:

— Znamy dziewczęta i ich serduszka.

Odpowiedź ta nie zadowolniła Chai.

— Czy ona go kocha? — powtórzyła gwałtownie — ja to muszę wiedzieć! Mnie chodzi o jego szczęście, o szczęście takie, jakiego on wart jest.

Chaja miała do czynienia z przebiegłą kobietą, to też pani Bajorska w lot pochwyciła ten odcień, zrozumiała, co było motorem jej działania i poczęła opowiadać cuda o miłości starszej córki. Zwierzała się niby niechętnie

jakby szczegóły, które na prędcie improwizowała z godną podziwu bujnością, wymykały się z jej ust mimowolnie. Mówiła to wszystko z ubolewaniem, z żalem, skarżyła się na pochopność dziewcząt do oddawania serca bez wahania pierwszemu, który stanie im na drodze i odegrała tak swoją rolę, że Chaja mądra, ostrożna, Chaja, która znała ją tak dobrze, uwierzyła jej zupełnie. Prawda, że u Chai wchodziło w grę — rzecz nowa zupełnie — uczucie i mieszało zwykłą trzeźwość sądu.

Słuchała ona o miłości starszej panny Bajorskiej z dziwnem rozrzewnieniem. Żrenice jej błyszczały wilgotnym blaskiem, a w sercu było razem i smutno i błogo.

— Czemu nie — szeptała sama do siebie — czemu nie?

Na myśl jej nie przyszło, że panny Bajorskie były to zepsute, rozbawione istoty, wymagające strojów i rozrywek za jakąkolwiek cenę, istoty najmniej zdolne zapewnić domowe szczęście człowiekowi pracy. Nie pomyślała także, iż samo brudne źródło dostatków, jakie ich otaczały, odstręczyłoby uczciwego człowieka, gdyby je znał tylko.

Wszystko to leżało po za granicami jej pojęć, pojęcia te bowiem nie były zbyt wyrobione w tym kierunku. Widziała tylko stronę powierzchowną pięknej panny, należała ona do jednego świata z Konradem, takiej żony wstydziliby się nie potrzebował, a skoro go kochała...

W tej chwili z dalekich salonów doleciały dźwięki fortepianu.

— To ona gra? — zapytała nagle.

Pani Zuzanna skinęła głową.

Izraelitka przysłuchiwała się cała zatopioną w dźwię-

kach, które w tej chwili czyniły na niej nigdy nie doznane wrażenie.

— Jak to pięknie! — zawołała z naiwną admiracją, bezwiednie składając ręce.

— Mania gra ślicznie — dodała niby niedbale pani Bajorska, która nie spuszczała jej z oka — uczyła się od najpierwszych nauczycieli, taka jest zamiłowana do muzyki.

Dopóki odzywały się dźwięki, Chaja słuchała ciągle. Pani Zuzanna nie przerywała jej zachwyków. Wkrótce jednak zamiłowana w muzyce panna porzuciła ją, urwawszy wpół akord jakiś nierozwiązany.

Wówczas dopiero Chaja podniosła się jakby nagle ze snu zbudzona.

Pani domu powstała także; na dziś konferencja była skończoną.

— Panna Marya go kocha — wyrzekła zwolna izraelitka — ja będę chciała, żeby on się z panną Maryą ożenił.

— Będę miała 500 rs. w pogotowiu — odparła pani Zuzanna przyjaźnie.

Bo pomimo uczuciowych czynników, nie zapomniała o tem, co tak słusznie nazwano „nervus rerum“.

Ale Chaja była tak zamyślona, że znów nie zwróciła na tę obietnicę uwagi i nie zaznaczyła jej, jak to byłaby uczyniła w każdym innym razie.

Nazajutrz Konrad szedł o zwykłej godzinie na róg Zielonej i Złotej ulicy.

Serce jego biło szybciej niż zwykle.

Zapytywał samego siebie dlaczego ta zwłoka, czemu Chaja odrazu odpowiedzieć nie chciała i chociaż nie wątpił o jej przyzwoleniu, chociaż wiedział, że podobne małżeństwo stanowiło los niespodziany dla kobiety, utrzymującej z trudnością siebie i dziecię — był niespokojny.

Dzień był równie piękny jak wczoraj, słońce świeciło tak, jak dnia poprzedniego i Chaja skorzystała z tego, by wysłać Resię na przechadzkę. Po raz pierwszy Konrad zastał ją samą.

Nie było w niej znać odmiany żadnej, ani w układzie, ani w stroju; nie starała mu się niczem przypodobać, nie uważała się widać za szczęśliwą narzeczoną. Tylko może twarz jej bledszą była, niż zwykle, delikatne rysy napiętnowane były postanowieniem, na czole jej i w spojrzeniu panowała powaga.

Nie była to z pewnością kobieta chcąca podwoić miłość trudnościami.

Spojrząwszy na nią musiał oddać jej tę sprawiedliwość.

Otworzyła mu sama i zostawiając drzwi niezamknięte, szła przed nim w milczeniu do pokoju.

Nie usiadła, tylko skierowała się do okna i stała wśród splotów zieleni, które obejmowały ją wdzięczną ramą liści i kwiatów. Promienie słoneczne przebijające je gdzieniegdzie, padały na jej włosy, na ramiona i szyję, a pod ich światłem widać było karby bogatych splotów, z granatowym połyskiem i drobne, skręcone, nieposłuszne włoski otaczające głowę.

Stała zamysłona wśród promienia złotej kurzawy,

w której drgały mirjady mikroskopijnych jestestw, w całym majestacie piękności nieświadomej siebie.

Konrad spoglądał na nią olśniony i wyciągnął bezwiednie ramiona, jakby chciał pochwycić ją i przycisnąć do piersi.

— Chajo! — szepnął stłumionym głosem.

W głosie jego drgała namiętność.

Ona nie odpowiedziała nic, wpatrywała się w niego, wpatrywała się z natężeniem, poważnie, smutno, bo знаła dość ludzi, by wiedzieć, że chwila postawi pomiędzy nimi zaporę wiekuistą, że on nie będzie więcej nigdy dla niej przyjacielem, opiekunem i pocieszycielem, jakim był dotąd.

— Chajo! — powtórzył Konrad.

I ramiona jego wyciągnięte obejmowały ją prawie.

Ale kobieta zrobiła ruch, jakby się cofać chciała i tym ruchem zatrzymała go na miejscu.

Stał zapatrzonej w nią, pozerając ją wzrokiem.

Wówczas zaczęła mówić zwolna, głosem, który drżał jej na ustach:

— Ja myślałam nad tem, co pan mnie wczoraj powiedział, myślałam noc całą.

Zatrzymała się chwilę, jakby ciężko jej było wypowiedzieć to, co chciała. Wzrok jego ognisty olśniewał ją, spuściła przed nim powieki.

— Pan dajesz mi wszystko, — mówiła dalej coraz mniej pewnym głosem — bogactwo i szacunek ludzki i szczęście.

— Ty mi go dasz także — szepnął namiętnie.

Wstrząsnęła głową.

— A ja... cóż ja? — powtórzyła z zapytaniem, jakby

nie zważając na przerwę jego. — Ludzie śmiać się będą z pana, ludzie będą panu wytykać takie ożenienie.

— Nikt nie będzie śmiał! — zawołał z rumieńcem na twarzy.

— Ludzie zawsze śmieją — odparła — tego nikt za-
bronić nie może, nie zrobią tego w oczy, to za oczy. Ja
to wiem dobrze.

— I cóż mi ludzie!

— Ludzie zawsze coś znaczą. A potem twoi wszyscy
gniewaliby się na ciebie za takie ożenienie, znaćby nie
chcieli ani mnie, ani mojej Resi; moi odepchnęliby mnie
także. Ja musiałabym zmienić moją wiarę...

— Czyż nie mówiłaś zawsze — zawołał — że Bóg
jest jeden?

— Bóg jest jeden — odparła poważnie — ja w to
wierzę, ale kaźden nauczył się od małości chwalić go ina-
czej i trudno mu to odmienić.

— To nie jest dostateczna przyczyna, ażeby rozdzielić
tych, co się kochają.

— To jest jedna z przyczyn — mówiła powoli, jakby
za kaźdem słowem walcząc z sobą. — W kaźdej rzeczy
wystąpią pomiędzy nami różnice przywyknień, oby-
czajów, wychowania. Życie i bez tego jest trudne...

— Powiedz od razu, że mnie nie kochasz — zawołał
namiętnie.

Chciała odpowiedzieć. Wargi jej drgały bez dźwięku,
jak gdyby próżno starała się wymówić słowa, które jej
przez usta przejść nie chciały.

— Ja nie chcę — wybuchęła wreszcie — byś pan
kiedykolwiek narzekał na mnie; ja nie chcę być dla cie-
bie tem, czem zawsze w końcu staje się dla męża niedo-

brana żona — nieszczęściem. Ja nie chcę się odpłacić w ten sposób za wszystko dobre, za życie mojej córki...

Gdy to mówiła, łzy spływały po jej licach rozgorzałych...

— Nie... — dodała z energią — ja tego nie uczynię nigdy...

Konrad patrzył na nią ze wzrastającym zdziwieniem. Spotykał trudności, o których nie pomyślał nigdy. Był przekonany, że ona z uniesieniami szczęścia przyjmie jego słowa. Trudności, jakie mu stawiała, rozumowania jej same, dowodziły wprawdzie szlachetności, ale razem braku serdecznych uczuć. Pochwycił gwałtownie jej ręce, usiłując spojrzeć w oczy.

— Ty mnie nie kochasz!... powiedz to lepiej!... powiedz odrazu...

— Ja nie chcę, żebyś pan był nieszczęśliwy przeze mnie...

Te jedno słowa mógł z niej wydobyć. Daremnie chciał pochwytać jej spojrzenie i tam wyczytać głębi uczuć. Żrenice jej wciąż jednak uparcie odwracały się od niego.

— Powiedz mi, że mnie nie kochasz!... — wołał ciągle opanowany namiętnością, nad którą nie silił się już zapanować — powiedz to wprost, patrząc mi w oczy!

Była chwila ciszy. Wreszcie podniosła żrenice niezbadane jak otchłanie.

— A więc tak jest!... — wyrzekła tak cicho, że zaledwie dźwięk jej głosu mógł pochwytać — nie kocham pana!...

Spoglądał na nią, jakby piorunem rażony. Miał ochotę zawołać: „Czemuż nie powiedziałaś mi tego wcześniej,

dawniej“. Powstrzymywało go uczucie sprawiedliwości. Nie powiedziała mu tego, bo jej nie zapytał, bo nie przyszło mu na myśl, by go nie kochała.

Puścił jej ręce, które więził w swoich. Uczucie upokorzenia ogarnęło go tak silnie, iż stłumiło żal zawodu.

— Ha!... — szepnął tylko sam do siebie, oddychając ciężko, jak człowiek ze snu zbudzony.

Chaja korzystając z tego, mówić zaczęła:

— Co panu po mnie?... Jestem biedną żydówką, całe życie pracowałam na chleb dla dziecka i nic innego nie potrafię... Pan co innego, panu potrzeba młodej, pięknej, edukowanej panny.

Zdawał się nie słyszeć jej nawet; pogrążony w myślach gryzł wargi, jak to zwykł był czynić w chwilach gniewu i patrzył w ziemię. Gmach jego nadziei był zburzony. Stało się coś, czego nie przewidywał nigdy.

A Chaja ośmielona jego milczeniem, mówiła dalej głosem cichym, drżącym i słodkim jak muzyka:

— Gdybyś pan zaufał wdzięczności biednej Chai, ja wynalazłabym żonę dla pana.

Spojrzał na nią z dumnym gniewem, serce jego było pełne goryczy.

— Bądź pani spokojną — wyrzekł — nie będę szukał drugiego zawodu.

A po chwili dodał twardo:

— Nie wierzę kobiecemu sercu!...

Westchnęła cicho i zniosła to z pokorą, chociaż odpowiedzieć mogła, że nie zwodziła go nigdy, że nie miał prawa czegokolwiek jej wyrzucać.

Rozmowa pomiędzy nimi była skończona, drogi ich rozchodziły się. Czuł to; czuł i to także, że nie miał czego więcej oczekiwać, a jednak nie spieszył się z pożegnaniem.

Spoglądał w milczeniu na skromny, schludny pokoik, gdzie spędził tyle godzin, gdzie tak wiele przemarzył. Zdawał mu się on w tej chwili zasłany ruinami wspomnień sponiewieranych.

Potem głos jakiś, głos zranionej miłości własnej i dumy odezwał się w nim wszechwładnie. Rzucił na Chaję spojrzenie, które chciało być zimne i pogardliwe, a które jednak topniało od jej piękności.

Chaja niezrażona, próbowała dalej nawrócić jego serce według swej woli.

— Ta piękna panna pana kocha... — rzuciła.

W innej chwili byłaby ułagodziła go może takim słowem. Miłość ta mogła zagoić jego ranę, zadaną obojętnością pięknej izraelitki. Teraz jednak było zawcześnie. Raziła go niestosowność podobnej mowy, podobnego nalegania z jej strony.

Nie raczył nawet odpowiedzieć. Sięgnął po kapelusz. Chciał się oddalić.

Chaja zrozumiała to. Zbliżyła się do niego pokorna i smutna.

— Panie Konradzie — zawołała, jakby słowa te wyrwały jej się gwałtem — nie pamiętaj pan tego, co dziś zaszło; pamiętaj pan tylko, że tutaj jest wdzięczna matka, któraby panu za życie swego dziecka własnem zapłacić chciała.

W tej chwili oczy jej pałały dawnym blaskiem — straciły tylko swój niezbadany wyraz. Olśniewały go jak

niegdyś ogniem błyszczącym z poza łez, które drgały na jej rzęsach.

Nie odpowiedział; zbyt wiele sprzecznych rzeczy cisnęło mu się na usta.

— Później, kiedyś! — szepnął, czując teraz, iż nie był panem siebie — kiedyś pomówimy o tem...

— Później, kiedyś — powtórzyła zwolna — a tymczasem?... Tymczasem nie gniewaj się pan, przebac, pamiętaj!...

Nie słyszał nic prawie. Później, kiedyś mógł jej przebaczyć, pomyśleć o niej bez gniewu, goryczy i żalu sprawiedliwie. Dziś było to niepodobnem; dziś wiedział tylko, że ofiarował jej swoje serce i imię, a w zamian za to — odrzuconym został!

W bramie domu spotkał wracającą Resię; nie zatrzymał się, nie ucałował dziecka, które wyciągało ku niemu rączki. Pilno mu było uciec z tych miejsc i nie widzieć więcej ani Chai, ani nikogo z tych, co znali jego szaloną miłość i mogli się domyślać, że miłość ta odepchniętą została.

A Chaja patrzyła za nim długo, długo bardzo, nasłuchiwała odgłosu jego kroków, dopóki nie zginęły w oddaleniu; wówczas łzy powstrzymywane długo, wypłynęły z jej oczów i biegły dwoma strumieniami po bladej twarzy. Czy kochała go? Czy odmawiając jego ręki czyniła ofiarę? Czy czyniła ją dla niego, dla samej siebie, czy dla dziecka? Nie wypowiedziała tego nigdy nikomu.

Po śmierci Adolfa wszystko pozornie powróciło do dawnego trybu w mieszkaniu na ulicy Freta. Są ludzie, co tak mało miejsca zajmują na świecie, że z ich ubytkiem nic nie zmienia się wkoło. Matka i córka żyły tak jak

przed jego chorobą. Pani Słońska leżąc na kanapie, wypalała ilość papierosów ograniczoną jedynie materyalnemi środkami, przeplatając monotonię życia scenami niepokoju w razie, jeśli Felicya spóźniła się z powrotem do domu i rozmaitemi kapryсами. Ale z myśli obydwu kobiet uleciały ostatnie promienia, które rzucały na ich szarą, powszednią, skłopotaną przedzę, złudne odblaski nadziei. Pani Słońska postarzała się bardzo i nigdy już nie przychodziła jej ochota użyć resztek kosmetyków, jakie walały się w głębi szuflady, na upiększenie swojej osoby. Jednocześnie stała się więcej jeszcze wymagającą. Ani Zosia, ani córka nawet dogodzić jej nie mogły, śmietanka nigdy nie była dość gęstą, sucharki dość lukrowane, obiad dość dobry.

Felicya z pozoru zmieniła się mniej jeszcze. Spełniała ona z automatyczną regularnością codzienne obowiązki, spełniała je nawet bez roztargnienia, bo żadne kroki teraz stąpające po wschodach nie zwracały więcej jej uwagi. Nie nasłuchiwała już o szarej godzinie odgłosu dzwonka w przedpokoju, nie wyglądała pełna trwogi i nadziei z bijącą piersią, czy nie dostrzeże na dziedzińcu znajomej postaci.

Co rano, a często i po południu, chodziła do kościoła; co wieczór, jak to czyniła dawniej, rachowała się z Zosią, przy świetle przyćmionej lampki, z drobiazgową akuracnością. Powierzchność jej zmieniła się mniej jeszcze; była to zawsze ta sama blada, poważna, płowowłosa kobieta, o powolnych wymierzonych ruchach, tylko gdyby kto spojrział uważnie w jej oczy bez blasku, martwe, nieruchome, ten nie poznałby ich dawnego wyrazu.

Oczy te przypominały krater wygasłego wulkanu, były w nich tylko popioły.

Nikt jednak teraz na Felicyę nigdy nie zważał, nikt nie robił nad nią głębszych studyów, a jeśli matka, Kordulska lub która z kobiet spotykających ją w kościele, zrobiła uwagę przelotną, że Felicya była mizerną lub smutną, fakt ten był łatwym do wytłumaczenia żalem po bracie.

Z bratem rzeczywiście straciła ona ostatnie ogniwo, łączące ją ze światem, ostatnią istotę, z którą podzielić mogła choć w części myśli i smutki swoje. Gdyby kto jednak zajrzał w głąb jej serca, znalazłby tam dwie mogiły, dwa krzyże, dwie rany, a ta, co krwawiła się jawnie dla brata, nie była najboleśniejszą.

Pomiędzy nią i Konradem wszystko było skończone; on nie przyszedł więcej do mieszkania na ulicę Freta, ona nie odezwała się do niego. Dzień każdy kładł pomiędzy nimi dalszą przestrzeń, a przecież pamięć jej o nim była równie świeżą, jak w chwili, w której widziała go po raz ostatni.

Ludzie zwykle bardzo prędko zapominają jedni o drugich, a świat zaciera powoli zarówno smutne, jak wesołe wspomnienia. Ale świat nie miał przystępu do Felicyi, ruchliwa fala jego przepływała od niej z daleka. Dla niej dni, miesiące, lata, upływały w jednostajności tak wielkiej, iż gdyby Konrad przypadkiem zaszedł tutaj o zwykłej godzinie, znalazłby ją jak niegdyś przy tym samym stole.

Dni jej były tak zupełnie podobne do siebie, iż gdyby nie pory roku, zmieniające postać ziemi, mogła

była uwierzyć, iż śmierć Adolfa i wszystkie wypadki, które wówczas miały miejsce, zdarzyły się wczoraj.

Dawniej Adolf stanowił przynajmniej łącznik pomiędzy dwiema kobietami a światkiem, z którym się sam stykał; tym sposobem nie były one odcięte zupełnie od łańcucha jestestw innych, zahaczały się o jakiebądź ogniwo życia.

Dzisiaj Felicya i jej matka podobnemi były do tych istot, które morze w odpływie zostawia na brzegu, które odłączone od swego żywiołu, zamierają zwolna.

Dawniej rozmaitość stanowiły troski, nadzieje i sama miłość Adolfa. Felicya żyła podwójnem życiem; kiedy zwątpiła o własnym losie, wcielała się w uczucia brata, a kiedy jego dola zdawała jej się zbyt gorzką, myślała o swoich tajemnych nadziejach.

Teraz nastąpiła dla niej rozpaczliwa cisza pustyni. Wszystko zamarło i wszystko ucichło wkoło. Mogła sądzić się żywcem pogrzebaną wśród interesów, uczuć, zajęć, które wrzały wokoło, a których zaledwie domyślać się mogła, nie będąc z niemi związana nicią żadną.

Szczupła emerytura matki zasłaniała je obie od ostatecznego głodu i nędzy, zaś to, co zarabiała obecnie za pomocą haftów, czyniło przy niezmiernej oszczędności egzystencję możliwą...

Życia jej jednak zapełnić nie mogły ani codzienne obrachunki z Zosią, ani trudy małego gospodarstwa, ani wyszywanie na jedwabiach, płótnie, batyście, owych wzorzystych girland, kłosów, arabesek, które wykonywała z wzrastającym mistrzostwem.

To też Felicya przesuwiała się pomiędzy ludźmi, jakby senna, z przygasłym okiem i przyciętymi ustami. Bo

im bardziej zrywały się węzły, które łączyły ją ze światem, tem więcej myśl jej i uczucia szukały sobie dróg innych i innej ojczyzny.

Co rano więc, za ledwie rozświtało, a często w zimie przed świtaniem, Felicya zrywała się z posłania i biegła do kościoła, nie zważając czy dął wicher, czy śnieg padał, czy też mróz pozamieniał chodniki miasta w gładką tafłę lodu. Padała na kolana w jakim zakątku i pozostawała długie godziny, zatopiona w modlitwie. Dawniej, w dniach, które stosunkowo jeszcze dniami szczęścia nazywać mogła, tutaj przychodziła spotykać się z ludźmi, wypoczywać, wreszcie marzyć swobodnie. W czasie choroby brata, tutaj uciekała przed jego okropnym kaszlem, przed widokiem jego zgorączkowanej twarzy, a gdy widziała, że wiedza ludzka uratować go nie może, przychodziła tu modlić się.

Teraz wiodły ją tutaj te wszystkie czynniki i moc nałogu i wspomnienie chwil ulgi, jakich tu doznawała. Kiedy siedziała nieruchoma, pochylona nad haftem, w uszach jej dźwięczały poważne tony organów, przed oczyma snuły się wizerunki święte i postacie kapłanów, spełniających religijne obrzędy. Powoli zaczęła przenosić sposób modlenia się, głos, ruchy jednych nad drugich i wołała uczęszczać na nabożeństwo, odprawiane przez niektórych.

Spowiadała się często, znajdowała słodycz i ulgę w sakramencie pokuty. Grzechy, jakie popełniała, nie były z tych, co rumieńcem okrywają czoło, co przy konfesyonale wypowiadają się niewyraźnym głosem; grzechy jej wszystkie spełniały się jedynie w krainie myśli. Były to żale straszne, bunty przeciw swojej doli, czasem zwąt-

pienie o sprawiedliwości tego Boga, który dotykał ją tak ciężko. Spowiadając się więc, musiała wywnętrzać się w zupełności, mówić o sobie, ona, o którą nie troskał się nikt, która nie miała powiernika żadnego.

Powoli, dnie spowiedzi były przez nią wyglądane, jak wielkie duchowe święto, a ulga sprawiona wypowiedzeniem najtajniejszych uczuć, powiększała się mistyczną radością połączenia z Bogiem.

Był to świat nowy i tajemniczy, zaledwie przeczuwany kiedyś, który teraz otwierał się przed nią na oścież i stanowił jej świat jedyny. Felicya tonęła w nim całą duszą, aż wreszcie kościół stał się jej właściwym domem, jedynym miejscem, gdzie czuła się swobodną.

To też coraz liczniejsze były węzły, które ją z kościołem łączyły; wpisała się do wszystkich bractw, odprawiała wszystkie nabożeństwa, a w domu nawet, zajęta haftem, który stanowił dla niej możliwość utrzymania, odmawiała po cichu modlitwy, przesuwając w myśli ziarnka różańca.

Namiętna jej natura odzywała się w gwałtowności, z jaką oddawała się Bogu.

Świat cały mógł się zapaść i runąć, ją nie obchodziło to już wcale. Tak sądziła przynajmniej, oddana postom, rozmyślaniom, modlitwom.

Dnia jednego, w piękny majowy wieczór, dążyła do kościoła na zwykłe nabożeństwo, odbywające się w tym miesiącu.

Dwa lata upłynęło od śmierci Adolfa, mogiła jego bujną trawą porośla, a Marynia opłakawszy go serdecznymi łzami, pocieszyła się i była już narzeczoną innego.

Felicya szła śpiesznie, kiedy wśród przechodniów, ukłonił się jej jakiś młody, wykwintnie ubrany mężczyzna, prowadzący strojną kobietę. Zaledwie zdołała oddać ukłon, zachwiała się, krew uderzyła jej nagle do czoła i jak dawniej zasłoniła oczy czerwoną falą.

To był Konrad — Konrad z młodą żoną zapewne, bo Felicya poznała w kobiecie najstarszą pannę Bajorską.

Konrada nie widziała od śmierci brata, a nawet nie słyszała o nim od bardzo dawna. Kordulska, która przez czas jakiś zajmowała się nim tak bardzo, skoro zerwała się jego niedorzeczna miłość, jak ją nazywała, przestała o nim myśleć i nikt więc jej Felicyi nie mówił jego nazwiska.

Gdyby czytywała dzienniki, dowiedziałaby się z nich, że w dniu tym a tym, w takim a takim kościele odbył się obrzęd zasubin Konrada Chronowieckiego, doktora medycyny, z panną Maryą Bajorską, córką radcy stanu, naczelnika itp. Dowiedziałaby się nawet, kto go prowadził do ślubu i jak liczne grono przyjaciół i znajomych podejmowane było w znanym z gościnności domu rodziców panny młodej. Ona dzienników żadnych nie czytywała; dawniej ich pożywała, ale dziś, cóż ją obchodziły sprawy, nieznane, sprawy, z którymi nie miała nic do czynienia, sprawy świeckie. Gorąca jej istota, zrażona nędzą ziemską utraciwszy wszystko, co ukochała, zwróciła się do nieba, bez żadnej wstecznej myśli i wszystko tutaj przestało dla niej istnieć lub przedstawiało się tylko w formie odnośnej do myśli głównej, która nią rządziła. Widziała ubogich, którym, o ile to było w jej mocy, świadczyła miłosierdzie, nieszczęśliwych, których starała się pocieszyć i wspomóc trudem własnym, dobrą wolą, modlitwą. O tych nie potrzebowała dowiadywać się z pism publicznych, widziała

ich dość wokoło siebie. Wśród wielkiego miasta, żyła ona jakby na wyspie, odcięta od zwykłych zabiegów i zajęć jego.

Od śmierci Adolfa pani Słońska przestała odwiedzać swoją dawną koleżankę; miała do niej żal wielki, w którym mieszał się dziwnie złamany los syna i garnitur tumakowy. Pomimo nieproporcjonalności tych dwóch przedmiotów, nie wiadomo który z nich przeważał w jej głowie, bo ostatecznie Adolf umarł na suchoty i niepodobna było dociec, w jakiej mierze pani Bajorska przyczyniła się do rozwinięcia choroby, gdy przeciwnie, co do garnituru tumakowego, nie było wątpliwości żadnej. Z tego powodu rzadkie stosunki pomiędzy koleżankami zerwały się ostatecznie i pani Słońska nie wiedziała, iż starsza panna Bajorska została żoną Konrada.

Czy się to stało zabiegami matki? Czy Chaja przyłożyła ręki do tego małżeństwa? Czy też Konrad zrażony serdecznym zawodem, ożenił się z pierwszą lepszą, która stanęła mu na drodze? Czy wreszcie miały tu miejsce te wszystkie razem wzięte powody? Dość, że małżeństwo doszło do skutku, jak wiele innych, nie skojarzonych ani zobopólną miłością, ani interesem.

Panna Felicya, spotkawszy ich, pozostała, jakby gromem rażona. Oni przeszli oddawna i zginęli w tłumie, podczas gdy czarno ubrana kobieta stała na chodniku, potrącana przez przechodniów, których zdawała się nie spostrzegać. Na chwilę jedną odżyły w niej wszystkie dawne bóle i gryzły ją, jak węże zbudzone nagle z uspienia; dawne uczucia powróciły do niej tłumnie, odczuwała różowe zorze nadziei i kiry rozpacz i w tej błyskawicznej chwili przeżyła znów przeszłość całą.

Potem, wolnym krokiem, jak istota złamana, powlokła się do kościoła, padła na kolana w najciemniejszym kącie jego i modliła się, szepcząc gorąco: „Panie! święć się wola Twoja!”

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

F
2164